KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/67 1953



• «La Culture» • Revue mensuelle •

José FERRATER MORA:
DWA ZNAKOMITE DZIEŁA

K.A. JELEŃSKI:
NOTATKI O ŻAŁOBIE

TAJNA RADA MIN. R. P. W 28.XI.1930

SPIS RZECZY:

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj – Mai 1953

Numer poświęcony

po raz czwarty

Legionowi Młodych Polek

W CHICAGO, U.S.A.

INSTYTUT  LITERACKI

Ogłaszamy przedpłatę
na V-ty ZESZYT KRAJOWY

Położenie Kościoła
i
sprawy młodzieży
w Polsce

,,Położenie Kościoła w Polsce'' opracowane przez J. Szułdrzyńskiego omawia następujące problemy:

Rola Kościoła. Zerwanie Konkordatu. Laicyzacja ,,Caritasu''. Próba uregulowania stosunków Kościoła i państwa. Administracja kościelna na Ziemiach Zachodnich. Stosunek do Watykanu. Postawa katolików świeckich. Dualizm wychowania.

Ponadto M. Biesiekierski omawia *Organizację młodzieży* a T. Cząstka *Podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży*.

Cena Zeszytu w przedpłacie wynosi fr. 500 ($ 1,50; 10 sh.)

Przy zamawianiu powyżej 10 egz. udziela się 25 % rabatu.

Wpłaty należy kierować do adm. ,,Kultury'', 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.) France, lub do przedstawicielstw.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIIIe)

Pytanie brzmi - jak?

(*Na marginesie ,,Containment or Liberation'' J. Burnhama*)

Krytycy amerykańscy omawiając książkę Jamesa Burnhama pt. *Bierny opór czy wyzwolenie* słusznie podkreślają, że najlepszą jej częścią jest świetnie przeprowadzona krytyka ,,containment''. Natomiast tytułowy problem tj. polityka wyzwolenia potraktowany jest b. szkicowo. W czytelniku z środkowo-wchodniej Europy ostatnie rozdziały książki Burnhama budzić muszą jeszcze inne refleksje.

W jakże jasnych barwach maluje autor szerokie perspektywy polityki wyzwolenia. Pisze z entuzjazmem, jakby to było pięknie, gdyby na przykład... ,,wolna ukraińska jednostka zdobyła wzgórze na Korei, albo przepędziła oddziały Ho Chi Minch w Indochinach''.

W dniu, w którym kończyłem lekturę książki Burnhama prasa angielska rozpisywała się o ,,latającym Polaku'', Józefie Antoniaku przerzucanym z lotniska na lotnisko jak paczka bez adresu. P. Antoniak jest marynarzem i w Nowym Jorku zszedł na ląd pragnąc zaciągnąć się na inny statek. Władze amerykańskie zabroniły mu szukać pracy i zarządziły jego deportację. Antoniaka ktoś poinformował, że w Tangerze można zejść na ląd bez wizy. Zakupił więc bilet lotniczy i wsiadł w samolot ,,Trans World Airlines''. Niestety jednak po przybyciu do Tangeru władze aresztowały Antoniaka i zażądały od linii ,,TWA'', by go zabrały. To samo powtórzyło się w Paryżu, więc z Paryża przewieziono go Shannon. Okazuje się, że w wolnym świecie nie ma dla niego miejsca i jeżeli jakiś kraj nie ulituje się w końcu nad nim, Antoniakowi przyjdzie chyba przez resztę życia krążyć w samolotach linii ,,TWA'' nad wolnymi lądami i morzami Zachodu.

Takie rzeczy dzieją się w chwili, gdy rząd amerykański wydaje miliony dolarów na tzw. ,,wojnę psychologiczną''.

Czy p. Burnham sądzi, że Antoniak znalazłby w sobie jakąś wewnętrzną rację, by zdobywać na Korei strome wzgórze? — Myślę, że nie.

Między Antoniakiem przerzucanym bezmyślnie jak bezpański bagaż z kontynentu na kontynent, z lotniska na lotnisko a wizją wolnych ukraińskich, polskich czy rumuńskich pułków zdobywających wzgórza na Korei — brak jest ogniwa pośredniego. I tego ogniwa nie znajdujemy w książce Burnhama.

Lecz wpierw przyjrzyjmy się polityce wyzwolenia, tak jak ją widzi Burnham. ,,Celem polityki wyzwolenia jest uwolnienie ludzi od totalistycznej tyranii komunizmu'' — stwierdza autor. Jak widzimy cel został postawiony jasno i wyraźnie. Ale cel — to jeszcze nie polityka. Przez politykę należy rozumieć odpowiedź — choćby przybliżoną — jakimi środkami i metodami zakreślony cel należy osiągnąć. Polityka składa się bowiem z celu i programu działania. Sam cel polityką nie jest. Książka Burnhama w oryginale amerykańskim liczy 254 strony. Z tego około 248 stron poświęconych jest krytyce ,,containment'' a tylko na kilku ostatnich stronach autor omawia czołowy problem.

Cele polityki Zachodu już niejednokrotnie formułowano na wysokim poziomie ideologiczno-moralnym. Wystarczy wspomnieć choćby tzw. Kartę Atlantycką. Lecz jedną z przyczyn poczucia zawodu i pewnej nieufności do polityki Zachodu był rozdźwięk jaki rysował się między proklamowanym celem a polityką. I dlatego dziś re-definicja celu — nie wystarczy. Ci, którzy wpatrzeni są w Zachód, którzy swe nadzieje wiążą z Ameryką — czekają na program, na teorię działania, na politykę.

Polityka wyzwolenia w ujęciu Burnhama jest tylko sprecyzowaniem celu i usystematyzowaniem argumentów przemawiających za tym celem. Ale ktoś może powie, że w chwili obecnej nie można nawet w przybliżeniu określić jakim zespołem środków można będzie kiedyś wyzwolić narody ujarzmione. Jeżeli stoi się na takim stanowisku, a wydaje się, że to jest pogląd wielu ludzi na Zachodzie — w takim razie, w obecnym stadium, nie może być w ogóle mowy o polityce wyzwolenia. Co innego bowiem jest pragnąć wolności dla ujarzmionych ludów a co innego jest w tym kierunku działać.

Są pewne ,,i'', które jeżeli nie stawia się nad nimi kropek nic nie znaczą. Burnham nie tylko nie stawia kropek nad ,,i'', lecz stara się wyraźnie pomniejszyć ewentualny szok jaki jego śmiała książka może wywołać w mózgownicach zachodnich czytelników. A więc stwierdza, że polityka wyzwolenia w znacznie większym stopniu pomniejszy ryzyko wojny niż polityka ,,containment''. Odmalowuje również sugestywnie gamę możliwości, które mają zilustrować tezę, że zainteresowani w pewnym momencie sami się uwolnią i wówczas należy im w tym pomóc.

,,Mogą być nowe sytuacje'' — pisze Burnham — ,,gdy np. Albańczycy wspomagani przez emigrantów i pomoc z zagranicy zdecydują się oderwać od Sowietów, jeżeli narodowe wojska chińskie otrzymają zezwolenie na lądowanie na kontynencie Chin, jeżeli titoitowski polski rząd zwróci się (do Zachodu) z prośbą o uznanie i protekcje, jeżeli — w późniejszym lecz nie wykluczonym stadium — narody Czechosłowacji, wschodnich Niemiec

i Bułgarii powstaną przeciw swym komunistycznym tyranom i domagać się będą od Zachodu, by przeszkodził interwencji armii sowieckiej''.

Nie wydaje mi się, żeby to była dobra propaganda polityki wyzwolenia. Jest rzeczą oczywistą, że Burnham, który jest znakomitym znawcą tego osobliwego ,,przedmiotu'' jakim są Sowiety — wie doskonale, iż żadna nowoczesna totalna dyktatura nie może upaść bez czynnej interwencji z zewnątrz. Czasy barykad, powstań, nocy listopadowych itp. należą do historii. W Polsce, która jest największym krajem ujarzmionym przez Sowiety w Europie środ.-wschodniej — próba jakiegokolwiek uniezależnienia się czy to ,,titoitowskiego'', czy jakiegokolwiek innego nie wchodzi w ogóle w rachubę z uwagi na setki mil wspólnej granicy z Rosją, a brak wspólnej granicy z Zachodem.

Ale nawet jeżeli założymy tak absurdalną tezę, to czy jakikolwiek z narodów za ,,żelazną kurtyną'' zaryzykuje nową wersję powstania warszawskiego nie mając pewności, że otrzyma efektywną pomoc (i na czas !) z Zachodu. A gdzież jest ta pewność ? Gdzie jest pewność, że parlamenty zachodnie nie sprzeciwią się interwencji na korzyść powstańców i wypowiedzą się za ,,zlokalizowaniem konfliktu'', by nie dopuścić do powszechnej wojny i uratować pokój.

Dlatego zagadnienie trzeba odwrócić. Tylko realna polityka wyzwolenia, prowadzona skutecznie i z powodzeniem może z czasem wytworzyć sytuację, że narody ujarzmione uznają za możliwe podjąć akcję zbrojną w oparciu o aktywną pomoc Zachodu. Politycy zachodni winni przyjąć za całkowity pewnik, że narody ujarzmione same nie zrzucą jarzma Sowietów i bez interwencji z zewnątrz, która może mieć różne formy — wyzwolenie nie nastąpi. Twierdzić inaczej oznacza mówić ,,liberation'' a myśleć w dalszym ciągu ,,containment''.

Wydaje mi się również, że Burnham nie uwypuklił dostatecznie faktu, że przejście od polityki ,,containment'' do polityki wyzwolenia nie jest zagadnieniem gabinetowym.

Polityka ,,containment'' jeżeli chodzi o zwykłego obywatela na Zachodzie jest usymbolizowaniem odwiecznej a dziś przebrzmiałej tradycji, że trzeba bronić granic i przedpola i jeżeli obrona jest skuteczna — wcześniej czy później przychodzi rozejm i mniej lub więcej zgodne współżycie wczorajszych przeciwników.

Dla pewnych kół lewicowych intelektualistów ,,containment'' oznacza zgodę na powolną ,,ewolucyjną'' kapitulację. Zdają oni sobie sprawę, że w gruncie rzeczy ta doktryna jest formułą zwycięstwa Sowietów ale wierzą, że zapewnia również stopniowy proces socjalizacji Zachodu bez wstrząsów i bez interwencji armii czerwonej.

Dla zawodowych biurokratów dyplomatycznych, których mentalność ukształtowała się i skostniała przed r. 1939 — polityka ,,containment'' jest żałosną próbą adaptacji starych ana-

chronistycznych metod polityczno-dyplomatycznych vis à vis fenomenu Sowietów.

Jeżeli chodzi o świat Zachodu jako całość — polityka ,,containment'' jest wylęgarnią ,,wishful-thoughts'' i metodą ,,odrealniania'' sowieckiego niebezpieczeństwa. Mentalność ,,containment'' towarzyszyła upadkowi wszystkich wielkich cywilizacji w historii.

Mojżeszem, który uderzył w skałę Zachodu i wyczarował gejzer niewyczerpany ,,pobożnych życzeń'' jest prezydent Tito. Wbrew swym zamiarom wyrządził on fatalną usługę Zachodowi. Ponieważ obecny reżim w Jugosławii nie może być w żadnym wypadku zainteresowany w osłabianiu sił obronnych Zachodu — ministerstwo propagandy marszałka Tito winno dniem i nocą tłumaczyć Anglikom i Amerykanom, że ,,titoizm'' jest czysto jugosłowiańskim zjawiskiem, że formuła Tity — z wyjątkiem jednej może Albanii — nie ma żadnych szans realizacji w imperium sowieckim, że Rosja zerwała z Jugosławią a nie odwrotnie i że nie ma żadnych danych, by sądzić, że Kreml popełni ten sam błąd w stosunku do Chin.

Popularność Tity na Zachodzie polega na tym, że jest on symbolem najmniej kłopotliwego rozwiązania problemu sowieckiego. Gdyby jego śladem poszli Bierut i inni ,,prezydenci'' sateliccy, komunizm rozpadłby się na dziesiątki sekt, Związek Sowiecki skurczyłby się do znośnych wymiarów z r. 1939 i wszyscy byliby szczęśliwi. Jednak największą, choć na pewno nie zamierzoną, usługę propagandzie sowieckiej wyświadcza marszałek Tito faktem, że służy wszystkim ,,uspakajaczom'' Zachodu za klasyczny argument w przedstawieniu tezy, iż współpraca kapitalizmu z komunizmem jest całkowicie możliwa i jak najbardziej pożądana. Osobiście sądzę, że to jest logiczny argument. Trzeba tylko wpierw potencjał Sowietów zredukować do wymiarów Jugosławii. Wówczas pokojowa współpraca z Rosją z całą pewnością okaże się możliwa.

Niezmiernie mały procent ludzi na Zachodzie po obu stronach Atlantyku zdaje sobie sprawę z tego co się naprawdę stało w krajach za ,,żelazną kurtyną''. W krajach ujarzmionych, tak ci co są za komunizmem jak i ci, którzy są przeciw komunizmowi — żyją w innej epoce historycznej niż Zachód. To jest zagadnienie olbrzymie, lecz tutaj interesuje nas tylko jeden jego aspekt a mianowicie przebudowy systemu międzynarodowego.

Narody ujarzmione obecnie przez Sowiety na przestrzeni ostatnich 100 lat walczyły wielokrotnie o wolność, były ,,uwalniane'', wskrzeszane do suwerennego bytu państwowego a następnie znów ćwiartowane i oddawane w niewolę. Równocześnie na przestrzeni ostatnich lat wolność małych i średnich narodów, które w epoce atomowej nie są w możności bronić swej wolności własnymi siłami — stała się problemem otwartym na który do tej pory nie ma odpowiedzi. Jeżeli wolność ma być udziałem wszystkich a nie tylko przywilejem producentów atomowych jest rzeczą oczywistą, że świat musi być inaczej zorganizowany. Dziś

deklaracja Woodrow Wilsona, która w punkcie 14 mówiła o niepodległości Polski — byłaby czysto papierowym instrumentem.

To są pytania dla Amerykanów być może akademickie — dla ludzi za ,,żelazną kurtyną'' istotne i zasadnicze.

Wolność od komunizmu to wiele ale jednak nie wszystko. Czy mamy być uwolnieni na to, by stracić część, a może całe ziemie nad Odrą i Nisą na rzecz Niemiec i wejść w układ zorientowany na Berlin zamiast na Moskwę ? Czy po uwolnieniu, które być może kosztować nas będzie drogo, staniemy się znów obiektem przetargów względnie pozostawieni sami sobie będziemy wprawdzie wolni lecz wolnością bezbronnego w pośrodku dżungli, gdzie jedynym prawem jest siła a jedyną polityką monachijskie ,,tuczenie'' krokodyla.

Za ,,żelazną kurtyną'', powtarzam, ludzie żyją w innym okresie historycznym. Polityka sowiecka realizuje tam swoje własne koncepcje ,,integration''. Polska wywozi do Czechosłowacji elektryczność. W okolicy Koszyc powstaje wielka siłownia wodna, która dostarczać będzie prądu elektrycznego południowej Polsce. Powstają mieszane ,,kombinaty'' przemysłowe węgiersko-czeskie i rumuńsko-węgierskie. Co się ma z tym wszyskim stać po uwolnieniu ? Do czego mamy wrócić — do szachownicy suwerennych państewek, które nie były zdolne przeżyć nawet 20 lat ?

Przyszłość polityczna Europy środkowo-wschodniej jest masą upadłościową bankruta. Sowiety organizują te kraje według całkowicie nowego planu. Temu planowi polityka wyzwolenia przeciwstawić musi inny nowy plan organizacyjny. Bo jedno jest pewne. Epoka w której było można mówić o wolności z barykady na paryskiej ulicy czy nawet z pokładu jachtu na Atlantyku, czy stopni Kapitolu — należy do przeszłości. Wolność w sensie politycznym w drugiej połowie XX wieku oznacza sprawiedliwą organizację i bezpieczeństwo w skali światowej. Narody ujarzmione przez Sowiety zdają sobie z tego lepiej sprawę niż społeczeństwa zachodnie.



Trudno o bardziej fałszywą teorię niż ta, która głosi, że dziś nie czas precyzować jak ma wyglądać polityka wyzwolenia. Zwolennicy tej tezy mniemają, że z uwagi na nastroje społeczeństw zachodnich nie można przejść zbyt nagle od polityki ,,containment'' do polityki wyzwolenia. Wydaje się, że Burnham idzie również po tej linii i stara się amortyzować ewentualny szok.

Okazuje się jednak, że tego typu taktyka przynosi skutek wręcz odwrotny od zamierzonego. Jak wynika bowiem z recenzji w prasie amerykańskiej główny zarzut jaki krytycy wysuwają pod adresem książki Burnhama brzmi : ,,The Question is — how ?'' (Pytanie brzmi : jak ?).

Wniosek jaki należy z powyższego wysnuć jest prosty. Amerykanie a więc ludzie, którzy mają realizować politykę wyzwole-

nia — będą ją uważali za ,,pobożne życzenie'' dopóki nie będzie odpowiedzi na owo kardynalne : how ? Nie musi się wyjawiać tajnych planów, ani zdradzać sztabowych tajemnic ale niemniej zwolennicy polityki ,,wyzwolenia'' chcąc zdobyć poparcie społeczeństwa amerykańskiego będą zmuszeni — choćby w ogólnych zarysach odpowiedzieć na owe : jak ? Jest po prostu rzeczą niemożliwą propagowanie koncepcji ,,wyzwolenia'' bez równoczesnego ujawnienia ogólnego planu politycznego, który by pozwolił osądzić w jakiej mierze owa koncepcja jest realna. Przekonywać ludzi, że byłoby rzeczą korzystną i pożądaną, by Rosja Sowiecka wycofała się na granice z 1939 r., lub jeszcze dalej na wschód — jest zbędne, bo w wolnym świecie pod tym względem panuje dość znaczna jednomyślność opinii. Innymi słowy koncepcja ,,wyzwolenia'' sprowadza się w praktyce w całości do odpowiedzi na pytanie jak ów pożądany cel należy osiągnąć.

Sądzę, że ogólny zarys polityki wyzwolenia powinien obejmować następujące punkty :

a) Oświadczenie, że St. Zjednoczone nie pogodzą się nigdy z faktem ujarzmienia narodów za ,,żelazną kurtyną'' i nigdy nie uznają tego stanu za legalny.

b) Zdeklarowanie, że celem polityki St. Zjednoczonych jest zorganizowanie narodów świata w system czy systemy zbiorowego bezpieczeństwa i poddanie energii atomowej międzynarodowej kontroli.

c) Zdeklarowanie, że St. Zjednoczone w chwili przez siebie wybranej wysuną pod adresem Związku Sowieckiego żądanie, by armia czerwona wycofała się z krajów ujarzmionych i że celem rozbudowy potencjału zbrojeniowego Ameryki jest nadać powyższemu żądaniu odpowiednią wagę.

Sowietów nie można niczym sprowokować. Pod tym względem Burnham ma całkowitą rację. Po ogłoszeniu tego typu oświadczeń wojna z całą pewnością by nie wybuchła. Natomiast wpływ takich oświadczeń na narody ujarzmione byłby przełomowy. Poczucie, że obecna sytuacja jest przejściowa, że dzień wyzwolenia choć może jeszcze daleki niemniej nadejdzie z całą pewnością, że najpotężniejsze państwo świata jest ich sojusznikiem — przeobraziłyby całkowicie rzeczywistość ,,zakurtynową''.

Książka Burnhama niewątpliwie wzmoże niepokój w państwach ,,starego porządku'' europejskiego. Pewni politycy na Zachodzie obawiają się czy wolnościowy idealizm amerykański w zespoleniu z atomową potęgą Stanów Zjednoczonych nie przeistoczy się w ducha krucjaty. Polityki wyzwolenia boją się przede wszystkim ci, którzy wierzą, że z Rosją można by się porozumieć za cenę nie-interwencji w jej stosunki wewnętrzne. Politycy tej szkoły zdają się wierzyć, że państwo suwerenne jest tylko przed Bogiem odpowiedzialne za sposób w jaki traktuje swych obywateli rdzennych i ,,nabytych''. Dziewiętnastowieczny metternichowski legitymizm jest do dziś dnia fundamentem politycznej tradycji europejskiej. Amerykanie winni jednak pamię-

tać, że buntowi przeciwko temu legitymizmowi Stany Zjednoczone zawdzięczają swoje powstanie.

Politykę wyzwolenia Ameryka winna prowadzić w sojuszu z masami krzywdzonych narodów. To te narody są naturalnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i w pierwszym rzędzie te narody zainteresowane są w organizacji nowego systemu międzynarodowego, który by położył kres ,,legitymizmowi'' kongresów wiedeńskich czy jałtańskich, gdzie carom białym czy czerwonym oddawano miliony ludzi w niewolę.

Ameryka potrzebuje przyjaciół i sojuszników a nie amerykańskich urzędników wschodnio-europejskich narodowości.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Notatki o żałobie

Prasa światowa doniosła (choć trudno nam to zrozumieć), że śmierć Stalina wywołała prawdziwy żal szerokich warstw sowieckiej ludności. Reakcja ta będzie może dziwić przyszłych historyków, tak jak historyków dziewiętnastowiecznych dziwiła trzydniowa rozpacz jaka zapanowała w Rosji po śmierci Iwana Groźnego. Wówczas również umarł tyran, pod którego panowaniem nikt nie był pewien własnej głowy — nawet najpotężniejsi bojarowie. A przecież historyk opisuje tłumy płaczące ,,ojca srogiego ale dobrego''. Wytłumaczenia tego zjawiska nie trzeba szukać w żadnych obiektywnych elementach ludowego sądu, ale w głębokiej psychologii narodu rosyjskiego. Rosjanie mają w najwyższym stopniu rozwinięty ,,kompleks ojca''. Prawosławie, w przeciwieństwie do religii katolickiej'', jest religią ,,patriarchalną'' (mowa tu oczywiście o ludowej intuicyjnej psychologii religijnej, nie o teologii). Podczas gdy w krajach śródziemnomorskich Madonna przejęła spuściznę pierwotnej ,,Wielkiej Bogini'' (poprzez Reę, Demeter, Izydę), a nawet północne ludy katolickie uciekają się najchętniej pod opiekę Matki, w prawosławiu niepodzielnie króluje Ojciec (czy będzie nim brodaty Stwórca, czy Christos Pantokrator, czy srodzy, sztywni biskupi i mnisi, święci Bazyli i Mikołaj). Car był zawsze ,,batiuszką'', małym ojcem poprzez magiczny eufemizm, a zarazem wielkim, srogim, troskliwym ojcem, którego istnienie w dalekim Kremlu czy w Zimowym Pałacu zwalniało od odpowiedzialności, pozwalało żyć nadal dziecinnym życiem, w cieple i mroku. Rozmawiałem kiedyś z rosyjskim emigrantem, który uszedł z Sowietów i świadomie, doskonale sobie zdawał sprawę z sowieckiej rzeczywistości. Mówił o zbrodniach Stalina, aż nagle uśmiechnął się z pewnym rozczuleniem : ,,A jednak Stalin jest jak gospodarz. Okrutny, chytry, gospodarz, który dba o swoją zagrodę''...

A więc kiedy rozchodzi się wieść o śmierci Stalina, ludzie płaczą na ulicach Moskwy, tak jak płakali po śmierci Iwana Groźnego. Jest w tym może i ulga, nerwowy płacz po latach grozy i napięcia, jest może i trwoga, że oto zaczyna się okres nowych,

niewiadomych niebezpieczeństw, ale zapewne także atawistyczny płacz po śmierci ojca-tyrana. Wiersze, mowy, peany jakie drukowała ,,Prawda'' czy ,,Literaturnaja Gazeta'' po śmierci Stalina, nadchodzące ,,ze wszystkich krajów Związku Sowieckiego'' są oczywiście wykwitem klimatu dyktatury, terroru i zakłamania, ale mogą mieć przynajmniej pewien związek z podświadomością mas. Są — być może — częścią rytuału, który sięga głębiej niż polityczna współczesność.

◆

Nikt oczywiście nie płakał na ulicach Warszawy. Stalin dla nikogo w Polsce nie był ,,srogim ojcem''. Przyszła tam wieść o śmierci moskiewskiego tyrana, który co najwyżej dla ułamka społeczeństwa był wcieleniem ,,nieubłaganego biegu historii''. A jednak ,,Trybuna Ludu'', ,,Nowa Kultura'', ,,Życie Literackie'' i cała prasa drukowała tygodniami te same wiersze, mowy, peany, napisane przez setki Polaków. Juliusz Sakowski podał w ,,Dzienniku Polskim'' krótkie zestawienie tych utworów, które nazwał ,,Pochroniową Stypą''. Smutna lektura tych źródeł nasunęła mi nieco odmienne uwagi. Myślę, że nie wystarczy mówić o ,,upodleniu'', skoro upodlili się wszyscy niemal znajdujący się w Kraju poeci polscy. Czy nie warto zastanowić się głębiej nad mechanizmem podobnej produkcji ? Nad problemami psychologicznymi i literackimi, które stanęły przed poetą X, po telefonie od redaktora ,,Nowej Kultury'' : ,,Słuchaj, oczekuję od ciebie żałobnego wiersza. Obiecał mi Y. i Z. Na jutro. Przynieś wcześnie. Rozumiem że jesteś złamany, ale właśnie dlatego trzeba działać. Napisz to co czujesz. Po prostu''.

◆

,,Nowa Kultura'' i ,,Życie Literackie'' poświęciły całkowicie numery z 8 i 15 marca żałobie po Stalinie (echa tej żałoby powtarzają się jeszcze w numerach z 22 marca, ale na pierwszy plan wybija się tam żałoba po Gottwaldzie). Marcowa ,,Twórczość'' zawiera również bogatą żałobną sekcję. W numerach tych zamieszczono 30 wierszy polskich poetów ku czci Stalina (niektóre z nich powtórzono parę razy w różnych pismach). W tym pięć dawnych wierszy, wybranych spośród pokaźnej ilości ód pochwalnych napisanych ku czci Stalina przez polskich poetów jeszcze za jego życia : ,,Słowo o Stalinie'' Broniewskiego, ,,Epos'' Tuwima, ,,Największa z ofensyw'' Grzegorza Tymofiejewa, ,,Rzeka'' Adama Ważyka, ,,Stalin inżynier naszych marzeń'' Krzysztofa Gruszczyńskiego.

Ciekawsze są okolicznościowe wiersze, napisane specjalnie na śmierć Stalina : ,,Serce twoje bić nie przestało'' Borуńskiego, ,,Prowadź Partio'' Grodzieńskiej, ,,Do Towarzyszy'' Bieńkowskiej, ,,5.III.1953'' Ficowskiego, ,,Serce Stalina'' Słobodnika, ,,Do Współczesnych'' Sterna, ,,On w partii żyje'' Pollaka, ,,Posłuchaj Synu'' Sztautyngera, ,,Umarł Stalin'' Gałczyńskie-

go, ,,Dziewiąty Marca'' Putramenta, ,,Ten dzień'' Szymborskiej, ,,Jego serce bije coraz głośniej'' Zycha, ,,On żyje wśród nas'' Nowaka, ,,Stalin'' Włodka, ,,Idziesz z nami dalej'' Pasternaka, ,,Na wiadomość o chorobie Józefa Stalina'' Tymofiejewa (poszło jako wiersz pośmiertny — pośpieszył się i poeta i Stalin), ,,Do Towarzysza Stalina'' Zagórskiego, ,,5.III.1953'' Millera (nie porozumiał się z Ficowskim), ,,Poprzez Ból'' Woroszyłowskiego, ,,Przyszło, za gardło ścisnęło'' Międzyrzeckiego, ,,List do Stalina'' Putramenta (jako prezes polskich literatów — dwa wiersze).

Ciekawsze literacko — dlatego że tego rodzaju masowa produkcja poetycka jest chyba nowością w żałobnej poezji elegijnej.



Pomiędzy wczesnym renensansem i osiemnastym wiekiem opiewano oczywiście w poezji śmierć królów, papieży i możnych tego świata. Były to oficjalne zamówienia, pisane według z góry ustalonej formy, zawierające listę wyczynów zmarłego, jego genealogię i umieszczające go — zależnie od pobożności w gronie świętych, albo alegorycznych dam (jak Gloria, Pamięć Potomnych, Muzy, Kraje itd.), wręczających mu kask, wawrzyny, mapę podbojów. Ograniczano się zresztą zazwyczaj do jednej ,,oficjalnej'' elegii, którą tworzył ,,poeta laureatus'', a w braku tej funkcji poeta bliski dworu zmarłego. W dziewiętnastym wieku poeci chętniej opiewali zmarłych ,,patriotów'', przywódców walk rewolucyjnych, czy innych wieszczów, niż panujących. Stalin jest pierwszym wielkim dyktatorem dwudziestego wieku, który umiera własną śmiercią i nie jednocześnie ze stworzonym przez siebie reżimem. Przypuszczalnie naturalna śmierć Hitlera czy Mussoliniego w chwili rozkwitu nacjonalsocjalizmu czy faszyzmu dostarczyłaby podobnych przykładów żałobnej poezji. Żałobna poezja po śmierci Piłsudskiego tkwiła jeszcze korzeniami w romantyzmie : Marszałek ze swym anachronizmem, tajemniczością, związaniem z 63 rokiem i walkami rewolucyjnymi nadawał się do elegii dziewiętnastowiecznej. Toteż śmierć Piłsudskiego skłoniła polskich poetów do imitowania norwidowego ,,Rapsodu''. Poeci opłakiwali indywidualnego bohatera bardziej niż wodza narodu. W wierszach tych przebijała również nuta prawdziwego niepokoju : poeci zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie stanowili dla Polski ,,spadkobiercy'' Piłsudskiego. Chociaż na pewno jacyś literaccy karierowicze klecili (zwłaszcza po prowincjonalnych i młodzieżowych piśmidłach) ,,zamówione'' wiersze o Kasztance i świątle, które zgasło w Belwederze, było parę autentycznych wierszy, wyrażających lęk poetów, którzy śmierć Piłsudskiego łączyli z przeczuciem zbliżającej się klęski.



Tym razem pobudka do poetyckiej twórczości była ściśle *formalna* i musiała w rezultacie dać nową *formę* żałobnej ody, równie konwencjonalną jak renesansowe czy barokowe żale po

zmarłych potentatach. Konwencja jest tu jednak zjawiskiem spontanicznym : ma się po prostu wrażenie, że każdy z poetów zastanowił się jak *powinien* być napisany żałobny wiersz po śmierci Stalina i że na skutek długiego i gruntownego terminu w socrealistycznym rzemiośle każdy doszedł do tego samego wniosku. W rezultacie mamy 20 wersji tego samego wiersza. Wszystkie bez wyjątku dzielą się na trzy części :

1) Poeta dowiaduje się o tragicznej wiadomości : ból, rozpacz, wątpliwość, niemożność uwierzenia, wreszcie zdanie sobie sprawy z ogromu nieszczęścia.
2) Wielkość Stalina : największy z ludzi, wódz nowej ludzkości, oswobodziciel Polski, budowniczy pokoju i radosnego jutra, geniusz zmieniający bieg rzek itd.
3) Nie trzeba poddawać się rozpaczy. Ból zostanie. Ale ,,On'' nakazuje by dalej prowadzić ,,Jego'' dzieło. Związek Radziecki, Polska, postępowa ludzkość, maszyniści, elektrycy, traktorzyści, a także i sam poeta staną w pierwszym szeregu kontynuatorów ,,Jego'' dzieła.

Wzór ten przestrzegany jest tak jednolicie i wiernie, że możemy niemal dosłownie zestawiać poszczególne części różnych wierszy, jak w tych wycinankach podzielonych na trzy części, z których dzieci składają istoty o głowie generała, tułowiu kominiarza i nogach baletnicy. Tylko że w tych poetyckich wycinankach nie dojdziemy nigdy do zabawnych absurdów : złożony wiersz trzech poetów równa się wierszom każdego z tych poetów z osobna. Mało tego. Można nawet zrobić składankę z tytułów. Oto na przykład składanka w której pierwsza i trzecia strofa pochodzi z wiersza Seweryna Pollaka (,,On w Partii żyje''), druga strofa z ,,5.III.1953'' Jerzego Millera, czwarta zaś jest Tadeusza Nowaka (,,On żyje wśród nas'') :

5.III.1953 : ON W PARTII ŻYJE WŚRÓD NAS

Długo w nocy siedziałem przy radio
I słuchałem z daleka wieści
I nie mogłem sobie dać rady
Serce żalu nie mogło pomieścić

Gdzieś głęboko w sercu ukrywałem
Promyk wiary dziecięco naiwnej
Że śmierć z twoim nie spotka się ciałem
I że ono nigdy nie ostygnie.

Gdzie tu znaleźć właściwe słowo
Które by w sobie zamknęło
Ludzką miłość wielomilionową
Jego troskę i Jego dzieło?

Nie będzie dźwigać bólu pieśń rzewna
Choć nam zbyt wielki ciężar gnie barki
I w rękach ludu przetrwa broń Twoja,
Bo jest nierdzewna.

Albo inny wiersz, złożony z „Serce Twoje bić nie przestało" Włodzimierza Boruńskiego (pierwsza strofa), „Serce Stalina" Włodzimierza Słobodnika (druga strofa) i „Dziewiąty Marca" Jerzego Putramenta (trzecia strofa).

DZIEWIĄTEGO MARCA SERCE STALINA BIĆ NIE PRZESTAŁO

Nie mówimy nic bo milczenie
Więcej może powiedzieć niż słowo
Ból podchodzi do gardła kamieniem
Wargi ściska swą prawdą surową

A ból ten rąk nie załamuje
Jak błahe smutki małe troski
Lecz każe twardo walczyć nadal
W myśl mądrych wskazań stalinowskich

Z jego ludem szeregi zwieraj,
Łam trudności, odpieraj wroga!
Poprowadzi Bolesław Bierut
Naszą Polskę stalinowską drogą.

◆

Wszystkie niemal wiersze pozbawione są jakiejkolwiek wartości literackiej, są to smutne rymowane wypracowania. Wyjątej stanowi jak zawsze Gałczyński, który posiada midasowy sekret przemieniania każdego narzuconego mu tematu w poezję :

„Do pół masztu zwieszona flaga,
flagę wiatr przedwiosenny targa.
To nie wiatr, to szloch na wszystkich kontynentach
i archipelagach.
Umarł Stalin".

Długa strofa szlochu, no i magiczne „archipelagi" ratują tu poetę. Albo te reminiscencje z serbskich bylin, w których często rzeki płaczą albo broczą krwią :

„Krzyczy Wołga. Szlocha Sekwana.
Woła Dunaj. Jęczą rzeki chińskie.
Broczy Wisła jak otwarta rana.
Lamentują potoki gruzińskie".

Juliusz Sakowski w swoim artykule w ,,Dzienniku'' dzieli żałobnych poetów na ,,podłych'' i ,,podlejszych''. Wydaje mu się, że Gałczyński przekracza tym wierszem jakąś normę upokorzenia. Muszę powiedzieć, że nie widzę moralnej różnicy pomiędzy tymi rzekomo ,,bardziej wstrzemięźliwymi'' wierszami, w których Stalin jest ukochanym ojcem, inżynierem dusz itd., a kosmicznym lamentem Gałczyńskiego. Jest natomiast literacka różnica. Podczas gdy Pollak, Ficowski, Miller i inni piszą wypracowania na temat ,,Stalin'', Gałczyński pisze wiersz na śmierć jakiegoś mitycznego średniowiecznego władyki. Wychodzi z historii i wkracza w mit. A w krainie mitu może pozostać poetą.

◆

,,Nowa Kultura'' z 15 marca przeznacza pierwszą stronę na cytaty z dzieł Stalina pt. ,,Stalinowski geniusz przewidywania''. Jedna z nich świadczy o braku poczucia śmieszności redakcji (bo chyba nie o wyrafinowanej ironii?) : ,,Doświadczenie historyczne uczy, że hitlerzy przechodzą i odchodzą, a naród niemiecki, a państwo niemieckie — pozostaje''.

◆

,,Trybuna Ludu'' była w trudnym położeniu. Trzeba było zamieścić artykuł, który przewyższałby inne, który byłby godzien figurować obok oficjalnych komunikatów partii i rządu. Zwrócono się do reżimowej Lilli Wenedy — Wandy Wasilewskiej. Oto ustępy z jej ,,Wielkiej Miłości'' :

,,Kochamy w nim Jego geniusz, Jego mądrość, Jego naukę. Ale my, Jego współcześni kochaliśmy w nim także — prostego człowieka. Człowieka który z nami żył, był wśród nas, wszędzie obecny i zawsze żywy. Człowieka który ani na chwilę nie opuszczał nas, którego istnienie wydawało się nam niezbędne dla życia, jak powietrze...''

,,Rozum dyktował, że w olbrzymim ludzkim oceanie na naszej ziemi, w naszym kraju, nie może On znać wszystkich. Ale serce mówiło inaczej : On zna każdego. Tak silnie każdy czuł się osobiście z Nim związany...''

Jakże ciekawie mogą się przejawić reminiscencje z lekcji katechizmu u marksistowskiej pisarki !

◆

Sekcja ,,Czytelnicy piszą'' w ,,Trybunie Ludu'' jest kroniką drobnych donosów na ,,niedopatrzenia'' biurokratów, na złe funkcjonowanie ,,aparatu'', na niedbałość kolegów robotników, na tzw. ,,brakoróbstwo''. Jest to oczywiście komunistyczna wersja ,,demokracji'' : donosy służą usprawiedliwieniu wszelkich niedociągnięć i braków przez niedbałość ,,biurokratów'' i jednocześnie mają wytworzyć pewną iluzję swobodnej krytyki : prasa służy ludowi. Jest to jeden z najobrzydliwszych przejawów reżimu. Po śmierci Stalina w kronice tej widzimy szereg listów za-

wiadamiających, że przodujący robotnicy danej fabryki na wiadomość o zgonie wodza postanowili wstąpić do PZPR ,,aby jeszcze wydajniej służyć Polsce ludowej'' itd. A więc wstąpił do partii Stefan Majewski, przodujący palacz, przodownik pracy Wiesław Szymborski, wszyscy jeszcze czekają na Marię M. czy Janinę D...

◆

,,Ostprobleme'', amerykańskie pismo w języku niemieckim, zawierające przedruki ,,sowieticów'' z całego świata, zamieszcza reprodukcję (z ,,Trybuny Ludu'') komunikatu bierutowskiego o zgonie Stalina. Na komunikacie zakreślone są piórem redaktora ,,Ostprobleme'' wyrazy zaczynające się od wielkich liter, jak ,,Wielki'', ,,Jego'', ,,On'', ,,Wódz'', ,,Geniusz'' itd. W notatce objaśniającej pisze ,,Ostprobleme'', że w języku polskim nie pisze się przyimków, rzeczowników i przymiotników z dużej litery i że wyłom zrobiony w tym wypadku dowodzi deifikacji Stalina. Niestety, w grę wchodzi tu tylko polski służalczy ,,usus''. ,,On'', ,,Jego'', ,,Jemu'' itd. — pisaliśmy tak nie tylko o prezydentach, nie tylko o Piłsudskim, ale o byle wojewodzie otwierającym ,,Tydzień L.M.K.''.

◆

W powyższych notatkach zestawiałem polskie reakcje po śmierci Stalina z reakcjami po śmierci Piłsudskiego. Oczywiście nie chodzi w tym wypadku bynajmniej o dodatnią czy ujemną ocenę roli Marszałka w polskiej historii. Ale zarówno za życia jak po śmierci Piłsudskiego zarysowało się i utrwaliło szereg rysów polskiego charakteru na które łatwo było przeszczepić obecną formę patosu, służalczości i banału. Wszystko to ma korzenie w tej naszej niedojrzałości i niepewności, z którą walczy Gombrowicz. Oto zasadnicze pytanie : czy w żałobnym upodleniu polskich literatów w kraju oburza nas tylko to, że przedmiotem tej komedii jest znienawidzony Stalin, czy też mierzi nas także sama służalczość, sam banał, sam patos, sama łatwizna. Jeśli brzydzi nas formacja psychologiczna, która umożliwia pewien ton, pewien gatunek radosnego upodlenia (cała klasa stoi i ma łzy w oczach razem z panem nauczycielem i wszystkim nam jest smutno i ciepło w serduszkach), to musimy sobie zdać sprawę, że w moralnym tonie polskim nie tak wiele się zmieniło. Czy jest różnica poziomu pomiędzy ,,Strzępami Meldunków'' Sławoja i wskazaniami Bieruta ? Ten sam ton ,,psiego'' przywiązania, ten sam ,,żołnierski'' styl, ten sam elementarz prostoty i wierności przeznaczony dla idiotów. Cóż tak dziwnego w nieśmiertelności ,,Wielkiego Stalina'', jeśli w wolnej Polsce przeprowadzono ,,ochronę imienia'' ? Dlaczego nas tak dziwi, że wszyscy teraz w Polsce ,,ślubują'', kiedy ,,ślubowanie'' jest tradycyjną formą polskiego infantylizmu ? Jakaż jest różnica pomiędzy tonem Wasilewskiej i Iłłakowiczówny ? A zresztą ta forma uległo-

ści, półświadomej hipokryzji przeżyła przecież sanację czy ,,ślubowania jasnogórskie'' oenerowców i przeszła na emigrację, jak to nam przypomniał Jeśman w swoich rubensowskich wspomnieniach. Naturalnie, że jest zasadnicza różnica w obiektywnej treści : teraz ślubuje się w Kraju zaborcom, kadzi się krwawej dyktaturze narzuconej z zewnątrz. Zgoda. Ale gdyby nie pewna deformacja polskiego charakteru, gdyby nie gotowość zostania dobrym uczniem i chęć przypodobania się panu nauczycielowi, gdyby nie polska tendencja do banału, cała ta żałobna literatura mniej byłaby żenująca.

Sakowski pisze, że ten żałobny plon przywodzi mu na myśl ,,nie szyję na obroży, ale ryj w korycie''. Że ,,jak w ,,Folwarku Zwierzęcym'' Orwella patrzymy to na świnię, to na człowieka, ale nie można już rozpoznać czyja twarz do kogo należy''.

Najsmutniejsze jest jednak właśnie, że sam język polski nie protestuje przeciw tej ponurej komedii. Że daje się wdrożyć w ramy, które mogą nas mierzić, ale nie razić *formalnie* — gdyż przyzwyczajono nas do nich za czasów Polski niepodległej. Że najrozmaitsze sowieckie slogany i chwyty psychologiczne pasują, jak ulał, do naszych dawnych nawyków. Termin ,,radosna twórczość'' wydaje się stworzony dla dzisiejszego reżimu — jeśli się go nie używa, to tylko dlatego że został już zdyskontowany przez sanację i Ozon. Ton entuzjastycznego zachwytu i zakłamania z jakim się pisało o COPie jest przecież tym samym tonem w którym się opiewa sowieckie fabryki. Rozumiał to kiedyś Tuwim kiedy pisał, że o B.G.K. i policji mówi się u nas nie jak o banku i publicznej straży bezpieczeństwa, ale jak o niemal duchowych zjawiskach otoczonych nimbem transcendentalnym.

I dlatego, mimo tradycji polskiego patriotyzmu, mimo autentycznego przywiązania do niepodległości, żargon stalinizmu, a przez to i jego wyraz moralny został zaszczepiony w polskiej prasie, w polskiej literaturze z łatwością która byłaby nie do pomyślenia w Anglii czy we Francji. Na to żeby dać wizję doszczętnej sowietyzacji Anglii, Orwell musiał wprowadzić ,,newspeak'', rozumiejąc że póki istnieje duch języka angielskiego w jego dzisiejszej formie, nie można całkowicie zmienić charakteru narodowego.

To są, jak mi się wydaje, dla nas, ,,wolnych'' Polaków, główne lekcje żałoby po Stalinie. Mówimy może aż nadto często o ,,wolności'' we wszystkich jej formach. Ale czy zastanowiliśmy się dostatecznie nad tym, że najważniejsza jest wolność wewnętrzna człowieka, która chroni go przed uleganiem ,,atmosferze'' stada ? I że nawyk konformizmu jest kamieniem węgielnym wszystkich dyktatur ?

K. A. JELEŃSKI

Dwa znakomite dzieła

Polacy dokonali podziwu godnych rzeczy w różnych dziedzinach; jedną z nich jest — zwłaszcza od końca drugiej wojny światowej — matematyka i logika. Kto orientuje się w tych naukach, ten rozpozna zapewne nazwiska, które wymieniam tytułem przykładu, w porządku alfabetycznym : Ajdukiewicz, Bocheński, Chwistek, Czeżowski, Drewnowski, Jaśkowski, Kotarbiński, Krokiewicz, Kuratowski, Leśniewski, Łukasiewicz, Mostowski, Salamucha, Słupecki, Sobociński, Tarski, Wajsberg, Zawirski. Kto choć trochę jest z logiką obeznany, ten bez wątpienia przypomni sobie, że widział te nazwiska raz czy dwa w dziełach logicznych, matematycznych albo semiotycznych. Fakt, że są one tak często cytowane, nie może dziwić : bo wkład do logiki, metalogiki, matematyki i metamatematyki współczesnej grupy zwanej ,,szkołą polską'' czy ,,kołem warszawskim'' (dokładniej ,,kołem warszawsko-lwowskim'') jest ogromny. Nie wchodzimy tu w różnice, zachodzące między wymienionymi autorami, choć są one niekiedy bardzo znaczne : jedni z nich (jak Jaśkowski, Sobociński, Tarski) są wyłącznie logikami i matematykami, inni (jak Chwistek i Kotarbiński) stawiają sobie za cel przeprowadzenie zupełnej rewolucji w myśli filozoficznej — inni jeszcze (jak Bocheński i Salamucha) zastosowali z niemałym powodzeniem nowoczesną technikę logiczną do pojęć tradycyjnej metafizyki. Z tej mnogości kierunków wybierzemy dziś jedno : zainteresowanie historią. W przeciwieństwie do tego, czego byliśmy świadkami w ciągu dość długiego czasu (a co na szczęście ustało) u wielu logików zachodnich naszych czasów (wyjątki jakimi są Scholz, Boehner, C.I. Lewis i paru innych potwierdzają regułę) — wielu logików polskich interesowało się od dawna historią swojej nauki i postawiło sobie za cel odtworzenie tej historii w świetle, które nowa logika na nią rzuca. Wyniki ich wysiłku były, jak dotąd, nader pomyślne. Wbrew poglądom niektórych logików, którym entuzjazm dla nowości nie pozwalał dojrzeć bogactw przeszłości, kilku spośród najwybitniejszych polskich pracowników tej nauki udało się wykazać, że krytyki kie-

rowane pod adresem logiki poprzedzającej Boole'a i Frege'go nie zawsze były uzasadnione. W swoim *„Skrócie logiki matematycznej"* („Précis de logique mathématique", F.G. Kroonder, Bussum, Pays Bas, 1948, p. 8) Bocheński pisze : „J. Łukasiewicz, J. Salamucha i inni dowiedli, że cały okres nowożytny nie znał prawdziwego sensu wielu tekstów Arystotelesa, niemal całej logiki stoickiej, prawie całej logiki scholastycznej". Dzięki tym pracom wiemy dziś, że w sylogistyce arystotelesowej, w stoickiej logice zdań, w średniowiecznych dziełach o supozycji, konsekwencjach i *de modis significandi* kryją się prawdziwe skarby, których nie znali filozofowie nowożytni, a których upierali się niedoceniać pierwsi logicy matematyczni.

Omówimy tutaj pokrótce książki dwóch Polaków, którzy odznaczyli się na polu logiki matematycznej, a zarazem uprawiają z doskonałą ścisłością i w wysoce samodzielny sposób historię logiki : prof. J. Łukasiewicza i o. I.M. Bocheńskiego O.P. Pierwszy z nich jest, w ścisłym słowa znaczeniu, inicjatorem tych badań : w r. 1934 ogłosił w „Przeglądzie Filozoficznym" w Warszawie (tom 37, str. 417-437) studium pt. „Z historii logiki zdań", przetłumaczone następnie na język niemiecki („Zur Geschichte der Aussagenlogik" *Erkenntnis,* 5, 1935-36, 111-131). Obecnie, przebywając na wygnaniu w Irlandii jako profesor w Royal Irish Academy w Dublinie, wydał podstawowe dzieło : *Aristotle's Syllogistic from the Standpoint of Modern Formal Logic* (Oxford. At the Clarendon Press, 1951). Autor pisze w nim, że początek tej książce dał referat przedłożony w czerwcu 1939 r. Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Streszczenie tego referatu zostało złożone w tym samym roku, ale nie mogło być ogłoszone z powodu wojny. W lecie 1939 r. Łukasiewicz opracował szczegółową monografię na ten sam temat; otrzymał już był pierwsze korekty, kiedy, we wrześniu, drukarnia uległa zbombardowaniu a skład zniszczeniu; równocześnie bomba zniszczyła wraz z biblioteką znakomitego logika także rękopis pracy. Dopiero w siedem lat później dane było Łukasiewiczowi zrekonstruować i rozszerzyć swoją pracę — najpierw w formie wykładów w dublińskim University College, następnie, na podstawie tych wykładów, w postaci obecnej książki.

Bocheński, żyjący również na wygnaniu (jest profesorem Uniwersytetu Fryburskiego w Szwajcarii), odznaczył się w dziedzinie historii logiki począwszy od roku 1936. Oto tytuły niektórych jego prac z tej dziedziny : *Historia Logicae Formalis.* Ad usum privatum I-II (Romae, 1936); *Elementa Logicae Graecae* (Romae, 1937); „Notes historiques sur les propositions modales" (*Revue des Sciences Philosophiques et Théologiques,* 16, 1937); „De consequentiis Scholasticorum earumque origine" (*Angelicum,* 15, 1938); *„Z historii Logiki zdań modalnych"* (Lwów, 1938); *„La logique de Théophraste",* (ta praca, napisana w r. 1937, złożona i wydrukowana w r. 1939, uległa zniszczeniu w okolicznościach podobnych do tych, w których zginęło

dzieło Łukasiewicza; odtworzona począwszy od r. 1945 na podstawie niepełnego zestawu korekt przechowanych w Rzymie, została opublikowana, jako drugie wydanie, nakładem *Collectanea Friburgensia* Uniwersytetu Fryburskiego, w r. 1947) *); ,,Wstęp do teorii analogii'' (*Roczniki Filozoficzne*, I, 1948) — opracowanie podobne do włączonego w omawianą tutaj książkę — i inne jeszcze. Ostatnio ogłosił on znakomite streszczenie wyników swoich studiów w książce pt. *Ancient Formal Logic* (North Holland Publishing Company, Amsterdam 1951), wchodzącej w skład doskonałej biblioteki *Studies in Logic and the Foudations of Mathematics* pod redakcją L.E.J. Brouwera, E.W. Betha i A. Heytinga.

Bocheński był uczniem Łukasiewicza i przypisuje swojemu nauczycielowi w przedmowie książki ,,jej ducha i podstawowe idee''. Omawiamy więc dwie prace ściśle wzajemnie związane przez narodowość ich autorów, przedmiot, a także przez wypadki i ducha, który je ożywia.

Nie będziemy wchodzili w niepotrzebne szczegóły techniczne, ani formułowali zarzutów, których zrozumienie zakłada dostateczną znajomość przedmiotu. Ograniczymy się do krótkich *informacji* o treści obu dzieł i do wygłoszenia paru niewielkich zastrzeżeń, jakie wywołują pewne zawarte w nich twierdzenia ogólne, podlegające, naszym zdaniem, dyskusji. Te zastrzeżenia — zakładając nawet że są uzasadnione — nie pomniejszają w niczym wartości omawianych prac. Pragnęlibyśmy podkreślić, — jeśliby czytelnik nie był o tym już przekonany — że mamy do czynienia z dwiema naprawdę kapitalnymi książkami. Przynoszą one prawdziwy zaszczyt ich autorom, dyscyplinie do której należą i, tym samym, nauce polskiej.

,,Sylogistykę Arystotelesa'' **) Łukasiewicza można podzielić na dwie części. W pierwszej (rozdz. I-III) autor wykłada elementy systemu sylogistyki arystotelesowej, jej tezy (tj. zdania prawdziwe w systemie dedukcyjnym) i sam system. W drugiej części daje wykład tegoż systemu w (własnej) pisowni symbolicznej (r. IV) i wyjaśnia tzw. problem decyzji (r. V). Wobec tego, że zgodnie z tytułem tego omówienia, zajmujemy się pracami z dziedziny historii logiki, interesuje nas przede wszystkim część pierwsza. W tej części autor zaczyna od sprostowania pew-

---

*) Coś podobnego spotkało prof. Adama Krokiewicza, który stracił rękopis pracy o logice stoików (częściowo zrekonstruowany w artykule ,,O logice stoików'', *Kwartalnik Filozoficzny*, 17, zesz. 3-4, 1948). Nie wydaje się bezpodstawnym przypuszczenie, że — aby się ograniczyć do dziedziny historii logiki — zaginęły także rękopisy Salamuchy, zmarłego w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 r.

**) Chodzi, niestety, tylko o sylogizm kategoryczny. Dodatkowe opracowanie sylogizmu modalnego u Arystotelesa byłoby bardzo pożądane. Nikt nie jest lepiej przygotowany do spełnienia tego zadania od samego Łukasiewicza.

nych uporczywych błędów, spotykanych ciągle w wielu tekstach, które omawiają sylogistykę. Chodzi w pierwszym rzędzie o traktowanie sylogizmu kategorycznego Arystotelesa, jak gdyby był rozumowaniem następującej postaci :

Wszyscy ludzie są śmiertelni
Sokrates jest człowiekiem,
a więc
Sokrates jest śmiertelny

Jak dobrze wie każdy, choć w pewnej mierze obeznany z logiką matematyczną, rozumowanie to w każdym razie nie jest sylogizmem; jest podstawieniem sprzęgu

$$((x)(Fx \supset Gz).\ Fy) \supset Gy,$$

a nie sprzęgu

$$((x)(Gx \supset Hx).\ (x)(Fx \supset Gx)) \supset (x)(Fx \supset Hx),$$

który jest schematem trybu *Barbara* z kwantyfikatorami ***).

Nie jest także arystotelesowym sylogizmem rozumowanie następującego typu :

Wszyscy ludzie są śmiertelni,
Wszyscy Grecy są ludźmi,
a więc
Wszyscy Grecy są śmiertelni,

w którym nie znajdujemy wyrażeń „jeśli — to" ani „i" i gdzie, zamiast zmiennych, występują wyrażenia stałe. Otóż samemu Arystotelesowi nie można zarzucić podobnych nieporozumień. Rzecz pewna, że w tekstach Starigyty nie ma przykładów sylogizmu w formie nowoczesnej, takich jakie posiadamy w odpowiadających sylogizmom prawach logiki kwantyfikatorów. Ale przykłady zawarte w *Organon* świadczą, że nie wprowadza on przynajmniej do swoich sylogizmów wyrazów jednostkowych, że *zazwyczaj* nie uważa sylogizmu za dyrektywę wnioskowania *) [1]) i że ma tendencję do formułowania schematów rozumowania sylogistycznego przez wprowadzanie zmiennych [2]) w miejsce nazw

***) Używamy dobrze znanej pisowni *Principiorum Mathematicae* Whiteheada i Russella. Jak już wspomnieliśmy, Łukasiewicz używa symboliki, pozwalającej na opuszczenie nawiasów. Tak np. schemat *Barbara* ma w pisowni Łukasiewicza następującą postać :

CKAbcAabAac,

gdzie „*C*" zastępuje „jeśli...to". „*K*" — „i". „*A*" — „wszystkie", podczas gdy „*a*", „*b*" i „*c*" są zmiennymi.

*) Piszemy „*zazwyczaj*", aby zaznaczyć, że ten punkt nie jest jasny dla samego Arystotelesa i że, jak podnosi William Kneale w swojej recenzji z książki Łukasiewicza (*Philosophy* 17, 1952, 281), logicy tradycyjni mają pewną podstawę do referowania teorii arystotelesowej sylogizmu kategorycznego jako teorii dyrektyw wnioskowania.

UWAGA : Dopisy tłumacza oznaczone cyframi od 1) do 10) zamieszczone są na końcu artykułu.

przedmiotów, które te zmienne zastępują. I tak, poprawnym przykładem arystotelesowego sylogizmu jest następujące rozumowanie :

Jeśli *A* orzeka się o każdym *B*
i *B* orzeka się o każdym *C*,
to *A* orzeka się o każdym *C*.

Poświęciliśmy nieco miejsca temu prostemu dowodowi, który stanowi tylko pierwszy ustęp książki Łukasiewicza, a to aby pokazać Czytelnikowi sposób w jaki autor omawia swój przedmiot. Wszędzie podchodzi on do zagadnień sylogistyki arystotelesowej za pomocą dwóch narzędzi : logiki matematycznej i samych tekstów Stagiryty. Plon nie mógł być obfitszy. Krok za krokiem wykazuje Łukasiewicz, że błędy wypełniające zwykłe wykłady tego przedmiotu pochodzą stąd, że autorzy (Trendellenburg, Waitz, Prantl czy Maier) znali co prawda dobrze język grecki, ale posiadali bardzo nikłą albo żadną znajomość formalizmu logicznego — czasem na odwrót (ten wypadek spotykamy u Russella) znali doskonale logikę, ale oczywiście bądź nie zajrzeli do tekstu greckiego, bądź go nie zrozumieli.

Inne wyjaśnienie Łukasiewicza stawiają fakty w równie jasnym świetle. Widzimy zupełnie wyraźnie różne rzeczy; wymienimy między innymi następujące :

1. Że Arystoteles dobrze znał użytek zmiennych w logice — jak to zauważył Ross w swoim niedawnym wydaniu Analityk (*Prior and Posterior Analytics*. Oxford. At the Clarendon Press, 1949 **).

2. Że wyrażenie ,,musi'' — ἀνάγκη — występujące w konkluzji ,,*A* musi być orzeczone o każdym *C*'' nie jest równoznaczne ze skrótem ,,a więc'', wprowadzonym przez logików tradycyjnych, ale ogólnym kwantyfikatorem [3]), który może być opuszczony, jako że stoi na początku prawdziwego zdania.

3. Że logika arystotelesowa jest wprawdzie logiką formalną, ale nie sformalizowaną, jak logika stoików.

4. Że sylogizm arystotelesowy jest (złożonym) zdaniem i że, jako taki, musi być prawdziwy albo fałszywy, w przeciwieństwie do sylogizmu tradycyjnego, który jest zbiorem zdań.

5. Że Arystoteles (w przeciwieństwie do tego, co wielu autorów twierdziło) uznawał czwartą figurę, bo, chociaż opuścił ją w wyliczeniu figur, przynajmniej raz zastosował ją z pełną świadomością roli, jaką ta forma sylogizmu spełnia. Że, poza tym, dzieje uznawania względnie odrzucania czwartej figury związane są z zupełną nieznajomością tekstów Galena. Ten ostatni mówi, w rzeczywistości (jak wynika z tekstu wydanego przez M. Wal-

---

**) Wymienimy także z naszej strony Fryderyka Solmsena w pracy *Die Entwicklung der aristotelischen Logik und Rhetorik*, 1929, zeszyt 4. *Neue Philologische Untersuchungen*, wyd. w Berlinie — i komentatorów, jak Aleksandra z Afrodyzji i Jana Filopona.

liesa ***) o sylogizmach zawierających cztery wyrazy, a nie o niezłożonych sylogizmach Arystotelesa. Czwarta figura, *w postaci, w jakiej została ona uznana przez tradycję*, pochodzi od jakiegoś późniejszego logika, prawdopodobnie żyjącego nie wcześniej niż w VI-tym wieku.

6. Że dowody jakie Arystoteles daje na swoje sylogizmy, były dotąd bardzo źle zrozumiane, gdyż pisarze, którzy obszernie je omawiali, nie wiedzieli, że obok systemu arystotelesowego istnieje system bardziej podstawowy : system logiki zdań, wynaleziony przez stoików. Ten system składa się nie z tez, ale z dyrektyw wnioskowania. Można by wprawdzie powiedzieć, że skoro Arystoteles nie opracował takiego systemu dyrektyw wnioskowania, pominięcie go jest uzasadnione — ale nie ulega wątpliwości, że Stagiryta używał intuitywnie praw logiki zdań w swoich dowodach niedoskonałych sylogizmów; nie jest więc rzeczą niewłaściwą widzieć jego sylogistykę w tym właśnie świetle.

Korektury wniesione przez Łukasiewicza do zwyczajnych interpretacji nie ograniczają się naturalnie do wymienionych. Skądinąd, logik polski wypowiada w toku swojego wykładu systemu Stagiryty wiele uwag pomocnych dla zrozumienia tekstu greckiego, nieraz dość niejasnego. Autor podkreśla także niektóre błędy Arystotelesa — na przykład jego definicję wyrazów większego, mniejszego i środkowego w opisie pierwszej figury. Ogólne wrażenie jakie się wynosi z lektury pracy Łukasiewicza jest, że system Arystotelesa, jaki znajdujemy w tekście greckim, jest bez porównania ściślejszy, niżby można było sądzić po wykładzie tego systemu przez nowożytnych autorów. Można nawet powiedzieć, że książka Łukasiewicza jest *restytucją* sylogistyki Stagiryty w jej pierwotnej czystości a niekiedy także *wzbogaceniem tej sylogistyki*. Nie usprawiedliwia ona, co prawda, ,,powrotu do Arystotelesa'' w logice, bo, jak wspomnieliśmy, system logiczny Stagiryty jest bardzo ograniczony. Uzasadnia jednak twierdzenie, że Arystoteles nie jest tym marnym logikiem, za jakiego niektórzy go podawali na skutek nieznajomości jego tekstów.

Powiedzieliśmy już powyżej, że, wierni tytułowi tych uwag, ograniczamy się do omówienia części historiograficznej dzieła Łukasiewicza. Nie znaczy to, by część systematyczna nie była interesująca i ważna. Wręcz przeciwnie, ta część właśnie zainteresuje zapewne najbardziej logików współczesnych. Łukasiewicz daje w niej mianowicie sformalizowany wykład sylogistyki arystotelesowej, którego nie może pominąć nikt spośród badaczy

***) Chodzi o *Ioannis Philoponi in Aristotelis Analytica Priora Commentaria*. Berolini 19505, tom XIII, 2 *Commentaria in Aristotelem graeca*. Por. też w tej sprawie J. W. Stakelum ,,Why Galeniam Figure'' (*The New Scholasticism*, 16, 1942, 289-296).

logiki Stagiryty. Szczególnie zajmujący jest rozdział V, w którym autor omawia zagadnienie decyzji. W rzeczy samej, zespół aksjomatów i dyrektyw podanych przez Łukasiewicza, nie wystarcza do ścisłego określenia sylogistyki arystotelesowej. Istnieją wyrażenia, których nie można dowieść za pomocą tych dyrektyw i z tych aksjomatów — a zarazem nie można na ich podstawie udowodnić ich fałszywości [4]). Powstają w ten sposób dwa zagadnienia, które należy rozwiązać, aby otrzymać rozwiązanie zagadnienia decyzji. Pierwsze brzmi : czy liczba wyrażeń nierozstrzygalnych jest skończona ? Jeśli jest skończona, problem decyzji rozwiązuje się przyjmując prawdziwe spośród nich jako nowe aksjomaty, a odrzucając automatycznie fałszywe. Tej metody — pisze Łukasiewicz, za którym idziemy tutaj niemal dosłownie — nie możemy zastosować, o ile liczba wyrażeń nierozstrzygalnych jest nieskończona, bo nie możemy ani uznać ani odrzucić nieskończonej liczby aksjomatów. W tym wypadku powstaje drugie zagadnienie : Czy można uzupełnić nasz system aksjomatów w taki sposób, by można było na ich podstawie zawsze rozstrzygnąć, czy dane wyrażenie ma być uznane czy odrzucone ? Słupecki znalazł przeczącą odpowiedź na pierwsze pytanie, a twierdzącą na drugie. Łukasiewicz idzie w tej sprawie za Słupeckim, ale przedstawia jego argumentację w postaci znakomicie uproszczonej do użytku tych, którzy nie posiadają dostatecznego wykształcenia matematycznego. Wynik jest w wysokim stopniu zadawalający i świadczy raz jeszcze o tym jak dalece Łukasiewicz jest nie tylko znakomitym i samodzielnie myślącym logikiem, ale także świetnym pisarzem.

Powiedzieliśmy, że sformułujemy parę drobnych zarzutów nie-technicznych. Ściśle mówiąc, zarzuty te sprowadzają się do jednego. Łukasiewicz zdaje się zbyt często zakładać, że wprowadzanie myśli filozoficznych — chodzi, nawiasem mówiąc, o niesprecyzowane pojęcie — jest *zawsze* szkodliwe dla logiki. Mogłoby się wydawać, że przykład Maiera i Prantla dowodzą dostatecznie tej tezy. Rozpatrując jednak rzecz dokładniej, widzimy, że, fatalne nieporozumienia są u Maiera wynikiem nie tyle jego języka filozoficznego, który zazwyczaj nie szkodzi jego analizom, ale jego dbałości o *Gründlichkeit,* to jest o zupełność, w dociekaniach w których wymagana jest nie *Gründlichkeit,* ale *Exaktheit.* Dzieło Maiera jest rezultatem sławetnej cnoty niemieckiej : chcąc koniecznie powiedzieć wszystko, *niektórzy* Niemcy kończą na tym, że nie mówią niczego. Nie znają słynnego powiedzenia Graciana : ,,Màs valen quintaessencias que faragos'', albo nie uznają go. A jeśli chodzi o Prantla, jego błędy są skutkiem nie tylko nieznajomości mechanizmu logiki, ale także zdumiewającej dowolności. Prantl nie ograniczył się, jak należało, do zebrania tekstów i analizy ich znaczenia, lecz pozwalał sobie także na wypowiadanie swojego oburzenia, albo entuzjazmu dla nich. Zapomniał, że historia logiki nie zawsze jest podobna do historii poezji lirycznej. Nie mniej, jeśli wypadek Maiera i Prantla dowodzą tezy odnośnie Maiera i Prantla, nie dowodzą niczego prze-

ciwk użytkowi filozofii *simpliciter* w logice. Wprowadzanie jej powinno być, ma się rozumieć, bardzo oszczędne. W większości wypadków powinno się ograniczyć do minimum, aż do zupełnego zanikania. Co do mnie, lubię widok tekstów logicznych wolnych od filozoficznej problematyki. Ale ten dezyderat nie zawsze może być urzeczywistniony i — nie zawsze jego urzeczywistnienie jest pożądane. Mówię, ,,nie zawsze'', bo wprowadzenie filozofii *może* być płodne nawet wtedy, gdy musimy tę filozofię odrzucić jako niemożliwą do przyjęcia. Twory ludzkiego umysłu nie występują pod kloszem pneumatycznym, który eliminuje wszelką nieczystość. Jako zjawiska psychologiczne i historyczne, potrzebują jej humusu. Nie chcę przez to powiedzieć, że filozofia jest zawsze takim humusem ani że ma być zawsze uważana za rodzaj nieczystości, która jest niestety konieczna, ale od której można abstrahować. Podejrzewam, że posiada ona swoje własne usprawiedliwienie. Ale nawet gdy na nią patrzymy jako na humus trzeba przyznać, że jest, przynajmniej praktycznie, płodna. Łukasiewicz przyznaje sam w związku z odkryciem przez Leibniza (w 1679) interpretacji arytmetycznej sylogistyki Arystotelesa równoważnej z interpretacją izomorficzną, że intuicje filozoficzne, którymi Leibniz kierował się w tych dociekaniach, dały doskonały wynik. Logik polski nie dopuszcza jednak, by ,,ekstrawaganckie'' spekulacje filozoficzne mogły prowadzić do całkowicie poprawnych rezultatów. Otóż w tym punkcie natrafia na coś, co każdy naukowiec pracujący w dziedzinie pozytywnej musi uznać : *na fakt*. Jest faktem, że takie wypadki zdarzają się — i to często. Zamiast dziwić się, żałować, albo się oburzać, lepiej by było je przeanalizować i dać zrozumienie ich mechanizmu. To zrozumienie będzie, być może, leżało poza logiką *stricto sensu*, być może jednak nie wyłącznie w granicach psychologii. Rozumowania ludzkie są czymś więcej niż procesy psychiczne czy drgania elektroniczne w mózgu. W każdym razie osiągnęłoby się na tej drodze przynajmniej jeden wynik pozytywny : zrozumienie jak działają — nawet gdy działają ułomnie — głowy ludzkie.

Książka ojca Bocheńskiego, ucznia Łukasiewicza, nie przynosi wstydu znakomitemu dziełu mistrza. Jest także pracą z dziedziny starożytnej logiki formalnej i posiada te same zalety, którymi odznacza się rzecz Łukasiewicza : doskonałe opanowanie logiki nowoczesnej, bezpośrednią znajomość tekstów greckich, precyzję stylu, jasność budowy i ścisłe operowanie dyrektywami używanego języka. Dziedzina historii objęta pracą Bocheńskiego jest oczywiście znacznie szersza od omawianej w dziele Łukasiewicza i zmusza autora do przechodzenia nader szybko nad niektórymi problemami. O. Bocheński wie o tym ograniczeniu : stawia sobie za cel po prostu ,,zebrać niektóre dane, dostępne w obecnym stanie nauki, i ułożyć je w rodzaj zarysu''. Aby móc dokonać czegoś więcej, potrzeba by więcej studiów monograficznych niż te, którymi dysponuje współczesny historyk logiki starożytnej. Mamy co prawda, doskonałe szczegóły w studiach

Scholza i Betha; leży już za nami znaczna praca dokonana podczas ostatnich dziesięcioleci w historii logiki starożytnej, począwszy od domysłów Venna i Peirce'a, od monografii Vailatiego, Rüstowa i Łukasiewicza. Lista nazwisk pracowników tej dziedziny jest już długa : T. Czeżowski, G. Capone-Braga, A. Krokiewicz, Albrecht Becker, M. Hurst, J.W. Stakelum, R. Chisholm, R. Feys, A. Virieux-Reymond, Ivo Tomas, Benson Mates, Karl Dürr, E. van den Driessche, Joseph Clark — i sam Bocheński. Posiadamy poza tym nadzwyczaj wnikliwe i ważne prace takich filologów jak Friedrich Solmsen i W.D. Ross. Niemniej, historyk czuje się dość niepewnie. Bocheński stwierdza to otwarcie i wylicza niektóre zagadnienia niedotknięte przez pracę badawczą. Jest ich niemało : dialektyka przedsokratycka, logika formalna Platona, logika Topik, sylogistyka asertoryczna i semiotyka[5]) arystotelesowa, sylogizmy ,,oparte na hipotezie'', szkoła perypatetycka po Teofraście, Sekstus Doświadczeniec, Galen (choć Stakelum zbadał jego *Wstęp do logiki*). Aleksander z Afrodyzji, Porfiriusz, Amoniusz, Boecjusz (Dürr pisał o jego logice zdań), Simplicjusz, Filopon, Apulejusz z Madaury, Cyceron... nie mówiąc już o pochodzeniu doktryn stoicko-megaryjskich ani o logice po Chryzypie. Dodajmy, że wydania tekstów jakie posiadamy nie zawsze zadawalają (*Stoicorum Veterum Fragmenta* von Arnima, chociaż cenne, nie są wystarczające dla tego celu; zbiór tekstów u Prantla, aczkolwiek użyteczny, ma wiele braków). Można by więc sądzić, że trudności są nie do przezwyciężenia. A jednak jest rzeczą oczywistą, że Bocheński potrafił już obecnie przezwyciężyć wszystkie te trudności. Powiedzmy wyraźnie : jego praca jest pierwszą *przyzwoitą* książką o starożytnej logice formalnej *jako całości*. Wszystko co przyjdzie później będzie musiało zakładać — z koniecznymi poprawkami — to dzieło, skromnie nazwane przez autora ,,szkicem''.

Dzieli się ono — poza wstępem — na pięć części, z których każda odpowiada jednej ściśle określonej epoce historii logiki starożytnej : poprzednicy (przed Arystotelesem); sam Arystoteles; dawni perypatetycy (Teofrast i Eudem); szkoła stoicko-megarycka; ostatni okres (po Chryzypie). Rozmiary rozdziałów poświęconych poszczególnym okresom są nierówne : podczas gdy wiele miejsca poświęcono omówieniu Arystotelesa (str. 19-71) i szkoły stoicko-megaryckiej (str. 77-102), bardzo schematycznie potraktowano poprzedników (str. 14-18), dawnych perypatetyków (str. 72-76) i logikę po Chryzypie (str. 103-109). Ta nierównomierność jest jednak umotywowana. Niektóre z podanych przyczyn — jak np. niska ocena przez autora logiki przed-arystotelesowej, w szczególności logiki platońskiej *) — mogą być

*) W tym miejscu czytelnik nie uniknie pewnego zdziwienia. Bocheński pisze z jednej strony — w sposób niesprawiedliwy i nieprzyjemny — że ,,lektura jego (Platona) dialogów jest niemal nieznośna dla logika, tyle popełnia on błędów'' (str. 17) ; z drugiej strony zwraca uwagę (przy czym

uważane za nieuzasadnione. Natomiast inne są najzupełniej słuszne — np. fakt, że sam autor poświęcił całą książkę logice Teofrasta, okoliczność, że posiadamy odnośnie do czasów po Chryzypie niewiele danych itd. W każdym razie ta nierównomierność nie może być zawsze uważana za brak, a to tym mniej, że sam autor bardzo jasno podkreśla, że wspomniane okresy stanowią tylko *zewnętrzną* historię logiki greckiej i że obok niej wypada brać pod rozwagę *treść tej logiki.* Z tego ostatniego stanowiska odmienny podział jest uzasadniony. Tak, na przykład, inne rozróżnienie pięciu okresów tylko częściowo pokrywa się z podziałem na periody historii zewnętrznej. Tymi pięcioma okresami są : (1) okres w którym myśliciele używają wprawdzie dyrektyw logicznych ale ich nie formułują i nie „znają" ich jako dyrektywy (od pierwszych przedsokratyków do Zenona z Elei); (2) okres, w którym dyrektywy są świadomie stosowane, ale nie formułowane (Zenon z Elei); (3) okres wyraźnego formułowania tych dyrektyw, ale bez użycia specjalnego aparatu logicznego (*Topiki* Arystatelesa); (4) okres wprowadzania do logiki specjalnych środków technicznych, ale jeszcze bez odróżnienia tez od dyrektyw (*Pierwsze Analityki* Arystotelesa); (5) wreszcie okres ich świadomego i dokładnego odróżniania (Stoicy). Ten podział stoi w ścisłym związku z innym, który wspominamy tylko : autor dzieli pod tym względem logikę grecką na przedanalityczną, analityczną i logikę formuł najbardziej oderwanych (których przykładem są sprzęgi „niedowodliwe", „anapodeijkta" Chryzypa). Pełna i wyczerpująca historia logiki będzie niewątpliwie musiała uwzględnić zarówno historię zewnętrzną jak i wewnętrzną i starać się — w miarę możności — uzgodnić je między sobą. Jest to bez wątpienia jedno z przyszłych zadań historii logiki greckiej.

Bocheński poświęca pierwszemu z tych zewnętrznych okresów bardzo niewiele miejsca, a to ze względu na fakt (być może nie tak powszechny, jak autor przypuszcza), że w tym okresie nie formułowano i nie studiowano zasad logicznych jako takich. Poza tym wielkie zainteresowanie dla zagadnień semiotycznych istniejące w tym okresie i nierzadkie stosowanie semiotyki do zagadnień logicznych (tak np. u Sofistów) nie pozwala, przynajmniej jak dotąd, na wytworzenie sobie jasnego obrazu pracy

wyrażenie „wprawdzie" nie znosi różnicy między obu twierdzeniami), że Platon pierwszy pojął i jasno sformułował ideał sprawnych praw rozumowania, że niemal wszystko, co posiadamy w logice Arystotelesa (z wyjątkiem sylogizmu analitycznego i niektórych teorii z dziedziny logiki relatywów) jest „refleksyjnym opracowaniem i rozwinięciem procedur używanych, przynajmniej w postaci embrionalnej, przez Platona" (str. 18). Powrócimy jeszcze do tej sprawy, w której wyraża się postawa — być może przejściowa — współczesnych historyków logiki. Niepewność autora pod tym względem zdradza obfitość zwrotów w rodzaju : „a jednak...", „odkrył... ale w sposób prymitywny", „nie znajdujemy żadnej poprawnej logiki... choć w ciągu całego swojego życia..." itd.

ściśle logicznej wówczas dokonanej. Sytuacja zmienia się z Arystotelesem. Chodzi tutaj nie tyle o stwierdzenie faktów, ile o usunięcie fałszywych interpretacji logiki Stagiryty. Rozdział książki Bocheńskiego o Arystotelesie jest głównie pracą oczyszczającą teren. Sformalizowany wykład systemu przyczynia się znakomicie do osiągnięcia tego celu, nie mówiąc, że jest on jedynym poprawnym podejściem do zrozumienia systemu. Zastosowanie nowoczesnej techniki matematyczno-logicznej do studium logiki przed-matematycznej okazuje się tutaj nadzwyczaj pożyteczne. Bocheński poddaje analizie wszystkie zasadnicze składniki logiki arystotelesowej — pojęcie logiki i metodologię, schematy semantyczne [6]), teorię prawdy, naukę o sposobach orzekania i o kategoriach, teorię (względnie teorie) opozycji, sylogistykę asertoryczną, logikę zdań modalnych itd. Najciekawszą z jego studiów jest część poświęcona sprzęgom, które Bocheński nazywa ,,nie-analitycznymi'' (nie-sylogistycznymi), a którym tradycyjna historia logiki poświęca bardzo mało uwagi. Sam Arystoteles uznał znaczną część tych sprzęgów za coś różnego od sylogistyki; toteż próby ,,sprowadzania'' ich do dwóch pierwszych sprawnych trybów sylogizmu kategorycznego są nie-arystotelesowego pochodzenia. Chociaż niektóre z tych praw zostały odkryte w toku budowy sylogistyki analitycznej, można je zupełnie od niej oderwać; pod tym względem, raz jeszcze, nowoczesny wykład sformalizowany przynosi wiele jasności. Nie będziemy wchodzili w szczegóły tej sprawy, wyjąwszy o tyle, o ile to jest potrzebne, aby dać o niej pewne pojęcie; trzeba jednak stwierdzić, że jest to jeden z najważniejszych przyczynków zawartych w pracy Bocheńskiego. Inni pisarze (Scholz, Solmsen, Dürr, Ivo Thomas) zwrócili, ma się rozumieć, uwagę na niektóre prawa nie-analityczne, występujące w *Organon,* ale Bocheński jest na pewno pierwszy, który dał dostateczny systematyczny wykład tych praw.

Znajdujemy wśród nich różne prawa należące do logiki klas. Wyraźnie należą tutaj na przykład :

$$(A \subset B) \supset (-B \subset -A)$$
$$(-A \subset -B) \supset (B \subset A),$$

które znajdujemy w *Top,* B 8, 113b 17 nn. względnie tamże B 8, 113 b 25 nn.; należą one do praw logiki klas, które czytelnik znajdzie w każdym nowoczesnym podręczniku logiki. Niemniej zajmującym jest fakt występowania niektórych praw należących do logiki relatywów. Przykładem takich praw jest formuła występująca w *Top* B 8, 114 a 18 nn. i w innych tekstach *Organon :*

$$(A \subset B) \supset (R''A \subset R''B).$$

W tym prawie użyto pojęcia, dziś klasycznego, obrazu (względnie projekcji); jest to prawdziwa teza logiki zdań, co dowodzi, wbrew poglądowi De Morgana, że logika arystotelesowa może udowodnić zdanie : ,,jeśli konie są zwierzętami, głowy koni są głowami zwierząt'', jako że powstaje ono przez podstawienie we

wspomnianym prawie. Znajdujemy w *Organon* nie mniejszą ilość praw z logik zdań. Tak np. w *An.Pr.* B 2, 53 b 12 nn. występuje prawo

$$(p \supset q) \supset (\sim q \supset \sim p)$$

sformułowane w zwyczajnym języku, jeśli chodzi o stałe, a z użyciem zmiennych „*A*" i „*B*" jako zmiennych zdaniowych [7]), zamiast „*p*" *i* „*q*" *). Czytelnik obeznany z logiką nowoczesną zauważy, że chodzi o połowę równoważności znanej w rachunku zdań pod nazwą „prawa transpozycji".

Logika Teofrasta przedstawiona jest z jednej strony jako rozszerzenie logiki arystotelesowej, z drugiej jako przygotowanie logiki stoickiej. Jeśli o tę ostatnią tezę chodzi, Bocheński przyjmuje ją zapewne jako hipotetyczną; już w swojej pracy *La logique de Théophraste,* cytowanej powyżej (wyd. 2. 1947, str. 15) zauważył on, że historyk ograniczony jest w swoich dociekaniach nad logiką ucznia Arystotelesa do źródeł z II wieku, a więc z okresu, w którym elementy stoickie przeniknęły logikę grecką i że, z tego powodu, należy być bardzo ostrożnym, gdy się mówi o tych problemach. Nie mniej wydaje się rzeczą pewną, że Teofrast wprowadził do systemu arystotelesowego znaczne zmiany; polski logik ma tu na myśli logikę zdań modalnych i sylogizmów hipotetycznych.

Mniej ostrożności wymaga natomiast omówienie logiki stoickiej, albo ściślej, stoicko-megaryckiej. Ta część dzieła — jedna z najpełniejszych — opiera się oczywiście na uprzednich podstawowych odkryciach Łukasiewicza, który wykazał, że wszystkie prawa sformułowane w logice stoicko-megaryckiej należą do logiki zdań [8]) w przeciwieństwie do tego, co zachodzi w logice arystotelesowej, która — pominąwszy wspomniane powyżej wyjątki — *ma tendencję* do tego, aby być logiką nazw [9]).

Ale różnica między obiema logikami zdaje się być bardzo wyraźna, zwłaszcza gdy zauważymy, że Arystoteles formułował większość swoich tez w języku przedmiotowym, podczas gdy dyrektywy wnioskowania Stoików i Megaryków sformułowane

---

*) Przykład tradycyjnej interpretacji, w której nie bierze się pod uwagę, że Arystoteles używa tutaj liter „*A*" i „*B*" jako zmiennych zdaniowych znajdzie Czytelnik w komentarzach J. Tricot, do jego (zresztą bardzo polecenia godnego) francuskiego przekładu *Organon. (Les Premiers Analytiques*, Paris, Vrin, nowe tłumaczenia i dopisy, 1947, str. 4, dopisek 4). Tricot daje jako podstawienie wymienionej powyżej tezy logiki zdań następujące wyrażenie : „Si est homo, est animal; ergo si non est animal, non est homo", podstawiając zatem za zmienne nie zdania, ale nazwy, wchodzące w skład zdań. To mu nie przeszkadza zresztą przytoczyć na tej samej stronie (dop. 5) wyjaśnienia Sylwestra Maurusa *In Ar. (Aristoteles Opera*, t. I. Romae 1668, str. 224), z którego wynika jasno (jak sam Tricot wskazuje w tym miejscu), że „*A*" zastępuje poprzednik, a „*B*" następnik, rozumiane jako przesłanka i konkluzja — a więc popiera interpretację tekstu arystotelesowego w sensie logiki zdań.

są w języku metalogicznym[10]). Jak słusznie zwraca uwagę Bocheński, ta różnica nie powinna, ma się rozumieć, prowadzić do wniosku, że mamy do czynienia z dwoma różnymi logikami, jak to wyobrażali sobie niektórzy pisarze, opierając się w tym zresztą na poglądach starożytnych. Ściśle mówiąc, wszystko sprowadza się do twierdzenia, że Arystoteles i szkoła stoicko-megarycka rozwinęli dwie różne części logiki. Skądinąd, wobec tego, że znajdujemy u Arystotelesa prawa analogiczne do wielu praw stoickich, podczas gdy inne są formułowaniem praktyki logicznej Stagiryty — wolno przypuszczać, że zachodzi historyczny związek między obiema logikami i że Teofrast może być uważany w tym wypadku za most między nimi. Nie zamierzamy dyskutować tego zagadnienia; do jego wyjaśnienia potrzeba nowego zbadania dzieła Arystotelesa pod kątem widzenia historyczno-filologicznym **). Ograniczymy się do stwierdzenia, że te związki są prawdopodobnie znacznie ściślejsze niż się zwykle sądzi. Bocheński rozważa to zagadnienie, oczywiście głównie z punktu widzenia logiki; niemniej jego badania terminologiczne (dotyczące zmian wprowadzonych przez Stoików do terminologii „tradycyjnej") rzucają po raz pierwszy światło na sprawę. Wypadnie je wzmocnić i rozszerzyć. W każdym razie nie tylko logicy, lecz również historycy (i to nie tylko historycy logiki) przeczytają z wielkim pożytkiem tę część jego książki.

Mniejsze znaczenie posiada natomiast rozdział o logice greckiej po Chryzypie. Bocheński ogranicza się tu do dania spisu logików (należą do nich główni komentatorowie Arystotelesa i niektórzy spośród filozofów neoplatońskich), którzy czekają jeszcze na wyczerpujące studia. Książkę kończy krótka analiza logiki Galena (część tej logiki zbadał, jak powiedzieliśmy już, Stakelum), oraz krótki referat logiki Boecjusza, zwłaszcza jego praw formalnych sylogizmu hipotetycznego, które znajdujemy w dziele *De syllogismo hypothetico libri duo*. Tę część książki należy uzupełnić przez studia Karola Dürra (*The propositional Logic of Boethius*. Amsterdam 1951) i R. van den Driessche („Sur le „De syllogismo hyphotetico" de Boèce", *Methodos*, I. 1949, 293-307). Znajdujemy w nich pełny dowód doniosłej nowości, którą ten filozof wprowadził : podstawiania za zmienne funkcji zdaniowych.

Książce Bocheńskiego można postawić różne zarzuty. Niektóre z nich — np. błędy w odnośnikach i zbyt schematyczne potraktowanie niektórych zagadnień — można będzie łatwo uwzględnić. Większą wagę przywiązujemy do zarzutu, który już wspomnieliśmy, mówiąc o wypowiedzi autora na temat logiki platońskiej : chodzi nam o nieco niezrównoważony język, jakiego niekiedy używa, a który wywołuje *wrażenie*, że naukowy obiekty-

**) Jaeger i Solmsen dali wiele doskonałych przyczynków do takich studiów. Niedawno wydana książka Józefa Zürchera *Aristoteles' Werk und Geist* (Paderborn, F. Schöning, 1952) aczkolwiek skrajna i problematyczna w swoich konkluzjach, może być pożyteczna pod innym względem, a mianowicie przy wyjaśnienianiu tej interesującej sprawy.

wizm — o zawsze wysokim poziomie — został poświęcony na rzecz raczej pogardliwej postawy, nieco w stylu „z góry na dół". Mówię „*wrażenie*", podkreślając, że poziom obiektywizmu naukowego autora jest zawsze bardzo wysoki. Nie chcemy też przez to twierdzić, by autor nie miał racji w swoich krytykach; niestety ma rację i to bardzo. Historia logiki była aż do czasów stosunkowo niedawnych nader biedną nauką. Jak już wspomnieliśmy, tekst Prantla roi się od błędów i nieprzemyślanych twierdzeń. Obszerne dzieło Maiera zawiera, aby powtórzyć za Quevedą, więcej śmiecia niż kwintesencji. Rzecz pewna, że Adamson popełnił kapitalny błąd, gdy poświęcił 16 stron w swojej krótkiej historii logiki autorowi *Krytyk,* a tylko pięć okresowi, który się rozciąga od Arystotelesa do Bacona; i tak dalej i tak dalej. Wszystko to jest, istotnie, pożałowania godne. Ale błędy popełnione przez historyków XIX wieku nie zawsze były skutkiem ich osobistej głupoty; należy je tłumaczyć jako wynik atmosfery filozoficznej, którą ci historycy oddychali. Co więcej, być może, że niektóre takie wypadki mają poza-logiczne „uzasadnienie". Przeszłości nie należy zawsze obrzucać obelgami; bardziej poprawne jest starać się ją wytłumaczyć. Wspomniana postawa jest prawdopodobnie przejściowa. Jest rzeczą zrozumiałą, że w heroicznych czasach narodzin i w pierwszym okresie rozwoju nowej dyscypliny kładzie się nacisk na jej nowość i że brak wtedy wyrozumiałości dla poglądów, panujących uprzednio. Trzeba jednak, aby polemiczna i pogardliwa postawa stopniowo zanikała. Przyjdzie czas, kiedy „historia logiki" będzie po prostu historią logiki, wolną od wzmianek o jej pseudo-historii.

Nie potrzebujemy podkreślać, że Łukasiewicz i Bocheński przyczynili się wybitnie do powstania tej historii. Nie powinno też nikogo dziwić, że ich dwie ostatnie książki nazwaliśmy znakomitymi dziełami.

José FERRATER MORA

Bryn Mawr, Pensylvania, w lutym 1953.

DOPISY TŁUMACZA

1) Logicy współcześni odróżniają tezy od dyrektyw logicznych : pierwsze mówią coś o tym co *jest*, drugie wskazują jak należy *postępować*.

2) Zmienna : litera, za którą można podstawiać tzw. stałe; litery „x", „y" itp. w algebrze są zmiennymi, natomiast liczby „1", „2" itp. stałymi.

3) Kwantyfikator ogólny : odpowiednik zwrotu „dla każdego...", np. we formule „dla każdego x : $x=x$".

4) Wyrażenia nierozstrzygalne.

5) Semiotyka : nauka o znakach.

6) Semantyka : część semiotyki badająca relacje między znakami a tym czego one są znakami (desygnatami, znaczeniami itd).

7) Zmienna zdaniowa : zmienna za którą wolno podstawić tylko zdania a nie inne wyrażenia, w szczególności nie nazwy.

8) Logika zdań : teoria praw, w których wszystkie zmienne są zmiennymi zdaniowymi.

W tekście oryginalnym : „La logica de las proposiciones (logica sentencial en nuestro vocabulario)". Nawias opuściliśmy w przekładzie, gdyż ma on sens tylko w odniesieniu do *angielskiego* tekstu o. Bocheńskiego („propositional logic") a nie do polskiego wzgl. niemieckiego tekstu prof. Łukasiewicza, który zawiera wyłącznie wyrażenia „logika *zdań*", „*Aussagen*logik" odpowiadające właśnie słowom stojącym w nawiasie. Wyjaśniamy, że po angielsku w logice dzisiejszej odróżnia się *zdanie* (sentence, énoncé, Aussage) od tego co to zdanie znaczy (sąd w obiektywnym znaczeniu, proposition, Satz).

9) Logika nazw : teoria praw zawierających zmienne, za które wolno podstawiać tylko nazwy. Np. teza „każde A jest identyczne z A" należy do logiki nazw, bo za litery „A" wolno podstawiać tylko nazwy.

10) Język przedmiotowy składa się ze symboli *przedmiotów* pozajęzykowych; natomiast język w którym mówimy o *symbolach* tego języka nazywa się jego „meta-językiem"; język metalogiczny, to metajęzyk logiki. Np. zdanie „pies jest zwierzęciem" należy do języka przedmiotowego, gdyż mowa w nim o poza językowym przedmiocie (psie) ; natomiast zdanie „ „pies" jest rzeczownikiem" należy do metajęzyka, gdyż mowa w nim o *nazwie* „pies".

Prawda czy konwenans

Kiedy się widzi, jakimi godnymi starcami umierają jeden po drugim pionierzy sztuki, która zrywała z całą tradycją artystyczną Europy, patrzy się nie bez dreszczu zgrozy na ludzi, dla których ta sztuka — dziś już klasyczna — wciąż jeszcze jest niezrozumiała. Ale wystarczy zobaczyć naraz większy zbiór obrazów np. kubistycznych, by zdać sobie sprawę, że to, co w nich jest osiągnięciem a nie eksperymentem, dziełem a nie próbą, słowem co w nich jest trwałe — łączy najbardziej rewolucyjną sztukę w sposób jakby organiczny z najbardziej klasyczną tradycją. Ta obserwacja pogłębia jednak pierwotne zdumienie. Bo jeżeli między sztuką nowoczesną — w jej najwyższych osiągnięciach — a sztuką klasyczną nie ma zasadniczej różnicy, to nie tylko powstaje pytanie, dla czego właściwie sztuka nowoczesna wydaje się tylu kulturalnym ludziom wciąż jeszcze niezrozumiała, lecz budzi się podejrzenie, że ludzie ci i ze sztuki klasycznej nie wiele musieli zrozumieć.

POGLĄD POPULARNY

Inteligentny ignorant stawia sztuce współczesnej z reguły dwa zarzuty : że ,,nie oddaje rzeczywistości'' i że stawia ,,technikę'' wyżej niż ,,treść''. Każdy laik uważa się za kompetentnego do cenzurowania wysiłku artysty i do wykazywania ,,niedociągnięć'', zwłaszcza w zakresie ścisłości anatomicznej i perspektywicznej. Bawi się w to nie tylko na wystawach młodych artystów, ale nawet w muzeum. Im dalej wstecz, tym więcej ma do tego okazji, aż wreszcie sztuka prymitywów daje mu możność pławienia się w rozkosznym poczuciu własnej wyższości. To poczucie pozwala mu wybaczać prymitywom ich ,,naiwności'', a nawet odczuwać je jako wzruszające. Wiadomo powszechnie, jaka rzeczywistość jest naprawdę, taka mianowicie ,,jaką widzimy ją wszyscy''. Niektórzy malarze XIX wieku uchwycili ten obraz rzeczywistości ,,obiektywnie'' i oddali go w sposób,

którego nie można już udoskonalić. Fotografia udowodniła jego obiektywizm. Może dla tego właśnie — myśli inteligentny ignorant — następcy tych mistrzów poczęli rzeczywistość ,,deformować'', bo inaczej musieliby już tylko naśladować swoich poprzedników. Malarstwo osiągnęło swój szczyt i daremnie broni się przed upadkiem : może tylko mnożyć symptomy rozkładu, nie może zejść z równi pochyłej, na jakiej znalazło się po osiągnięciu doskonałości.

Różnice stylistyczne, jakie dadzą się zauważyć — nawet bez przygotowania — między poszczególnymi klasykami, sprowadza się najchętniej do ,,techniki''. Istnieje technika realistyczna, impresjonistyczna, ekspresjonistyczna, technika szkicu, miniatury, mozaiki i witrażu, technika ,,czysto malarska'' i technika ,,raczej rzeźbiarska'' itd. Artysta wybiera tę, która najbardziej mu odpowiada i oto tajemnica indywidualności jest rozwiązana. Niemniej prosta jest sprawa z tajemnicą stylu. Styl, to epoka. W stylu wyrażają się wierzenia i poglądy danego czasu. Są style, dla których świat jest odbiciem zaświatów, są i takie, dla których poza światem widzialnym nic nie ma; istnieją style, odpowiadające hierarchii społecznej danej epoki : style hieratyczne czyli ascetyczne i style arystokratyczne czyli hedonistyczne; istnieją style spekulacyjne i uczuciowe czyli klasyczne i romantyczne. Nawet sztuka współczesna, choć schyłkowa, ma swój styl, jest to styl dekadencki, styl anarchii. I nad czym się tu zastanawiać ?

Cóż stąd, że Rafael umieszcza swoją Świętą Rodzinę w domyślnym trójkącie równoramiennym ? Ta ,,sztuczka techniczna' nie czyni Świętej Rodziny ani trochę mniej czy bardziej Świętą Rodziną. Te trzy postacie odpowiadałyby naszemu wyobrażeniu Świętej Rodziny nawet, gdyby były umieszczone w kwadracie czy w kole, a nie w trójkącie. Cóż stąd, że Leonardo malując Madonnę wśród Skał, szukał przede wszystkim ,,tajemniczych cieni'', jeżeli ten bzik nie przeszkadzał mu odtworzyć naszego wyobrażenia o Madonnie ? Manii Rafaela do trójkątów i Leonarda do tajemniczych (niech mu będzie) cieni zawdzięczamy arcydzieła sztuki religijnej i to jest istotne. Malarstwo uczy nas odkrywać urok świata, jeżeli sami nie mamy na to czasu czy sił, albo potwierdza nasze odkrycie, gdy się na nie sami zdobywamy. Malarz w każdym razie utrwala ten urok świata i w ten sposób powstaje kultura, a z biegiem czasu jej bogactwo.

Możemy współczuć malarzowi Uccello, który w technice rzutowania perspektywy na płaszczyźnie odkrył labirynt, tak go fascynujący, że się w nim zatracił. Możemy współczuć Van Goghowi, że w technice utrwalania światła przy pomocy kolorów odkrył metafizykę, która tak go opętała, że popadł w obłęd. Ale czyż stąd wynika, że musimy ulegać tym samym pokusom i narażać się na podobne oderwanie od rzeczywistości ? Goya widział wszystko na ponuro, bo miał nieuleczalną chorobę, ale to cierpienie pozwoliło mu stworzyć szereg pięknych obrazów. On

za nas zapłacił cenę tego piękna — cóż mamy kontemplować w tej sztuce : jej podejrzane, a w każdym razie tragiczne motywy, czy kwiat, który na tej zatrutej glebie wyrósł ? Artysta ma swój świat intymny, jak każdy człowiek, ale jeżeli poprzez tę intymność nie dotrze do czegoś obiektywnego, powszechnie obowiązującego, jeżeli nie rozwiąże swoich wewnętrznych sprzeczności w konwenansie, staje się wypadkiem klinicznym a nie mistrzem. Goya i Van Gogh, choć mogą być i bywają traktowani jako wypadki kliniczne, stali się przede wszystkim podziwianymi powszechnie mistrzami, bo przezwyciężyli swój osobisty sposób patrzenia na rzeczywistość, swoje uprzedzenie do świata, tak bliskie chorobliwości i stworzyli obraz świata, zrozumiały dla każdego z nas. To jest zasada ogólna. Gdzie choćby tylko poszlaka, że Picasso czy Braque uczynili tej regule zadość ?

Zapewne, tej regule, tak oczywistej, Picasso i Braque nie czynią zadość. Niektóre ich obrazy przypominają z daleka obrazy starych mistrzów. Jest coś w zestawieniu kolorów i form, co im nadaje jakąś jedność, czasem nawet monumentalność. Ale któżby poprzestawał na oglądaniu obrazu z daleka ? Zbliżając się do obrazu starego mistrza, który ,,już od wejścia'' (jak mawiał Baudelaire) fascynuje nas swoim kolorytem i zrównoważeniem mas, zaczynamy na nim ,,rozpoznawać'' postacie i przedmioty, zaczynamy go ,,rozumieć''. Formy obrazu naprzód umieszczamy w wyobrażonej przestrzeni, ba, nawet w czasie (tu pomocna nam jest kostiumologia), wreszcie dostrzegamy przedstawioną na nim ,,scenę'' i jeżeli dostatecznie znamy historię czy odpowiednią mitologię, analizujemy w swoim umyśle ,,treść'' obrazu, bo w końcu wiemy nie tylko co artysta chciał ,,przedstawić'', ale i co chciał ,,powiedzieć''. Jeżeli nas ta treść zainteresuje, możemy oddać się jej kontemplacji i wtedy artysta albo nas poucza albo przejmuje do głębi albo bawi. Ten proces pogłębionej kontemplacji pozwala nam poznać jego ,,filozofię'' i — jeżeli stać nas na to — ustosunkować się do niej. Więcej nikt od nas nie może wymagać !

A cóż po ,,harmonii kolorystycznej'' czy ,,jedności kompozycji'' obrazu Picassa czy Braque'a, oglądanego z daleka, jeżeli zbliżając się do niego nie tylko nie mamy co rozumieć, ale nawet zatracamy to pierwotne poczucie harmonii i jedności ? Harmonia kolorystyczna zamienia się w potworną kakofonię, jedność — w dziki chaos niechlujnych dotknięć pędzla, którego fizyczną obecność czuje się w każdej plamie. Jakże dyskretnie starzy mistrzowie zacierali ślady swego warsztatu, jak wysoko rozwinęli swoją technikę, skoro często i pod lupą nie można odgadnąć, jak to było zrobione ! Obraz nowoczesny jest prawdziwą pułapką : z daleka wygląda jak wcielony konwenans — nie rzeczywistości wprawdzie, ale obrazu — z bliska otwiera przed nami otchłań osobowości, która jest osobowością nieuka i anarchisty. Nie tędy droga do wielkości, nie tędy droga do muzeum ! Louvre niedarmo odcięty został połową Paryża od Musée d'Art Moderne.

Sztuka starych mistrzów godzi nas ze światem, sztuka no woczesna rozstraja nas. Jaka szkoda, że sztuki nowoczesnej ni można pokazać Starożytnym — mieliby „dreszczyk", któreg nie dostarczała im wolno rozwijająca się sztuka ich czasów. Nam dreszczyków nie potrzeba — nam potrzebne jest kojące działa nie sztuki klasycznej. Ona mówi nam, że mamy rację widzą rzeczywistość taką, jaką jest, ona z naszego poczucia i wyobra żenia rzeczywistości nie szydzi. I tak zbyt często to poczuci i wyobrażenie zatracamy w naszym coraz trudniejszym życiu po wszednim. Zawód nasz zwykle zatrudnia tylko część naszej du szy i dokładnie zdajemy sobie sprawę z jej coraz większego ka lectwa. W muzeum staramy się ożywić jej nie używaną resztę jak na boisku sportowym uruchamiamy mięśnie, które w jedno stronnym wysiłku naszej pracy zawodowej wiotczeją i grożą za nikiem. Dość mamy zmartwień z naszą osobowością, zagrożona ze wszech stron — nie potrzeba nam ekshibicjonizmu malarz współczesnych, którzy swoje najbardziej intymne kłopoty wy stawiają bezwstydnie na widok publiczny. Sztuka nowoczesn rozkłada osobowość — sztuka klasyczna ją rekonstruuje.

Mam nadzieję, że udało mi się streścić popularny pogląd n sztukę nowoczesną ze zrozumieniem, obiektywizmem i współczu ciem. Niech mi wolno będzie oczekiwać ze strony uważnego czy telnika tego samego zrozumienia, obiektywizmu i współczucia dla poglądu przeciwnego. Tuszę sobie, że jestem w tym szczęśli wym położeniu, iż rozumiem oba i choć pogląd popularny wy daje mi się błędny, bo niesprawiedliwy i oparty nie tylko na zby skąpych informacjach, ale i na zbyt płytkiej introspekcji (obser wacji własnych przeżyć), nie uważam wcale, by pogląd przeciw ny, tj. nie popularny, był doskonały i pozbawiony złudzeń. Poz snobizmem istnieją jeszcze i inne podejrzane motywy modernis tycznego zelanctwa, zwłaszcza u malujących. Tak więc zada niem, jakie sobie tu stawiam, nie jest tylko popularyzacja, al zarazem i polemika. Czytelnikowi, którego mogłaby dotkną świadomość, że jest pouczany, powinno to dać przyjemne poczu cie, że nie bierze udziału w demonstracji, ale w walce.

KONWENANS

By rozproszyć obawy, że wystawiam na pośmiewisko regułę według której artysta powinien przezwyciężać subiektywizm swoich uprzedzeń na rzecz obiektywizmu konwenansu, pragn zastrzec się z góry, że regułę tę i ja uważam za powszechnie obo wiązującą. Artysta, który by sądził, że to, co jemu się wydaje jest ważniejsze od tego, na co mogą zgodzić się wszyscy, zmie rzałby do domu wariatów, a nie do muzeum.

Ale konwenans tylko na pozór jest umowny. Nie jest o w każdym razie zwyczajem odświętnym. Żyjemy samymi konwe nansami. W pewnym sensie konwenansem jest nawet i to, ż chodzimy na dwóch nogach, a nie na czworakach i przed siebie

a nie np. rakiem. Z konwenansów składa się nie tylko życie towarzyskie, ale cała kultura, a więc także nasze życie osobiste, intymne. Konwenans jest sposobem traktowania tego, z czym mamy do czynienia. Nie możemy obejść się bez konwenansów i gdy ,,zrywamy z konwenansami'', zrywamy zawsze tylko ze śmiesznie drobną ich cząstką. Większość konwenansów pozostaje nie tknięta i... nie zauważona ! Konwenanse bowiem automatyzują się i stają się przyzwyczajeniem czy nawykiem, który może ,,wejść w krew''.

Konwenans jest równocześnie umowny i organiczny, ale — wbrew pozorom — jest on organiczny zanim staje się umowny. Organiczny, to znaczy, że odpowiada żywotnym potrzebom chwili, wypełnia jakiś istotny brak, rozwiązuje jakieś trudności, odkrywa sposób postępowania w nowej sytuacji i tworzy wzór postępowania, gdy sytuacja się utrwala. Każda mniej więcej trwała zmiana sytuacji wywołuje zmianę konwenansów. Konwenans jednak ze swej strony kształtuje rzeczywistość, skoro jest ustalonym sposobem ujmowania jej. Przechodząc w nawyk, może stać się przeszkodą w zauważaniu zmian, jakie tymczasem zaszły. Całe warstwy społeczne często płacą swą egzystencją za zbytnie przywiązanie do konwenansów, które ustaliły ich pozycję i przywileje, a przestały odpowiadać rzeczywistemu układowi sił.

Jeżeli cały świat, wraz z naszymi organizmami, naszym życiem wewnętrznym i formami współżycia, jest zbiorem przyzwyczajeń (jak ,,przyzwyczajają się'' do siebie zbiory planet, warstwy skał, gatunki zwierzęce, narody, słowa, znaki), bo tak się te rzeczy ułożyły, że należą do siebie i na wzajem się warunkują, to konwenansami są tylko te przyzwyczajenia, te zbiory form, których przynależności do siebie pilnujemy, czy dla tego, że tak nam wygodnie, czy dla tego, że rozbicie ich umownego ale ustalonego związku grozi nam jakimiś niebezpieczeństwami. Niebezpieczeństwo, jakie nam w takich wypadkach grozi, określamy zwykle słowami ,,anarchia'' czy ,,barbarzyństwo''. Tak więc konwenans, broniąc ustalonego porządku rzeczy, chroni wartości, które w tym porządku znalazły swój wyraz. Jest to banał i dobrze, że to jest banał, bo tym sposobem uczymy się szanować banały o tyle, o ile na to zasługują : rozważanie to bowiem pokazuje nam równocześnie ich granice.

PRAWDA

W tym przydługim nieco wywodzie musiała uważnego czytelnika uderzyć rzecz szczególna : to, co tu nazywamy konwenansem, a w jego formie zautomatyzowanej przyzwyczajeniem, nazywało się dawniej prawdą. Geniusz odkrywał nowe prawdy i dla tego burzył konwenanse czyli stare prawdy. Konieczność nie robi nam propozycji, konieczność nas przymusza. Prawda nie pozostawia wyboru : narzuca się nam z całą potęgą swej oczy-

wistości. Tylko kultury upadające reagują na Prawdę ironicznym pytaniem Piłata : „Cóż to jest prawda ?” Otóż w tej różnicy terminologii kryje się cała różnica między sztuką nowoczesną a sztuką klasyczną. Tracąc wiarę w rzeczywistość, zastąpiliśmy prawdy hipotezami. Klasyk miał do czynienia z rzeczywistością — modernista już tylko z konwenansami. Sztuka klasyczna potwierdzała poczucie rzeczywistości, sztuka współczesna potwierdza niepewność rzeczywistości.

Ale dawne poczucie rzeczywistości miało oparcie w teologii a nasza niepewność rzeczywistości ma oparcie w nauce. Dla starego mistrza czas i przestrzeń były kategoriami, w których pewnie i bez wątpliwości ujmował rzeczywistość. Czas i przestrzeń były kategoriami eschatologicznymi, ta metafizyka była wiarą a nie nauką. Przez trzysta lat twórcy nauki nie mogli się obejść bez metafizyki, ale woleli o niej nie mówić. Żyli jak Kartezjusz w „małym domku” prawd konwencjonalnych wiary, dopóki „wielki pałac” nauki nie będzie gotowy. Dziś Wielki Pałac jest gotowy i mały domek popada w ruinę, bo już nikt w nim nie mieszka. Metafizyczne kategorie czasu i przestrzeni stały się złudzeniami : dla fizyka rzeczywistość istnieje albo jako czas albo jako przestrzeń, a najprawdopodobniej nie jest ani jednym ani drugim. Świat ma cztery wymiary, nie wyobrażalne, ale obliczalne i w tych czterech wymiarach czas i przestrzeń są tylko sposobami patrzenia, przyzwyczajeniami, konwenansami.

Artysta współczesny żyje w świecie idej, stworzonych przez naukę, która zbudowała Wielki Pałac prawd matematycznych, wyludniając mały domek prawd metaficznych czyli teologicznych. Ale artysta nie jest sam : wszyscy żyjemy — jeżeli nie w tym samym świecie idej — to w świecie, którym te nowe idee — czyli konwenanse — rządzą. Rozkazodawstwo przeszło z małego domku do Wielkiego Pałacu i nie jest mniej stanowcze, choć tylko na pozór jest mniej tajemnicze. Podlegamy temu rozkazodawstwu wszyscy.

Gdy malowali starzy mistrzowie, ludzie znacznie częściej robili to, co myśleli, dziś już prawie wyłącznie robią to, do czego są zmuszeni. Dawniej życie stosowało się do myśli, dziś stosuje się do układów rzeczy, które tak szybko się zmieniają, że myśl nie może za nimi nadążyć i rezygnuje z prawd, zadowalając się hipotezami. Filozofowie proponują nam hipotezy wiedząc, że układ rzeczy może się zmienić i zmusić ich do zmiany hipotez. Cóż pozostaje artyście, jak iść w ślady filozofa ? Kłamałby, gdyby powszechną niepewność rzeczywistości próbował zastępować fałszywym poczuciem rzeczywistości. Rzeczywistość istnieje tylko jako konwenans, praktyczny, ale tymczasowy. Artysta proponuje nam więc coraz to nowe konwenanse.

Jeżeli to jest barbarzyństwo i anarchia — barbarzyństwo to i anarchia są tragiczne i tragizm ten jest naszym nieuchronnym udziałem. Są one nowym konwenansem naszej kultury, do którego trudno nam się przyzwyczaić, ale który już nas obowiązuje i będzie obowiązywał coraz bardziej. Aż nauka odkryje w fun-

damentach ,,wielkiego pałacu'' Prawdę, porzuconą w ,,małym domku'' i fizyk stanie się teologiem. Wówczas być może skończą się hipotezy, konwenanse się ustalą i będziemy znowu mogli żyć prawdami. Rzeczywistość będzie zapewne inna, niż dawniej, ale przestanie być niepewna.

Popularny pogląd na sztukę nowoczesną nie uwzględnia więc przewrotu umysłowego, jaki dokonał się, gdy fizyka odkryła, że rzeczywistość jest konwenansem, bo materia jest złudzeniem. Gdy zmienia się obraz świata, zmienia się także stosunek do rzeczywistości. Kto wymaga, by artysta patrzał na świat jako na zbiór rzeczy istniejących obiektywnie i trwale, popełnia ten sam błąd, jakim zgrzeszyłby, gdyby od fizyka wymagał, by udawał, że atom jest niepodzielny.

Sztuka, która naśladowała rzeczywistość, związana była z epoką, gdy wierzono w rzeczywistość jako coś, do czego wystarczy się przystosować. Dopóki rzeczywistość była duchowa, nie materialna, sztuka nie ,,naśladowała'' rzeczywistości : świat był odbiciem zaświata i tak go malowano. Poprzestawanie na rzeczywistości zmysłowej — nigdy zresztą kompletne i ostateczne — było eksperymentem, awanturą intelektualną. Awantura ta trwała czterysta lat. Nauka, która miała nam dać panowanie nad rzeczywistością ,,obiektywną'', odkryła jej subiektywizm : umysł nasz jest elementem zjawisk, nie może więc stawać poza nimi. Człowiek nie jest świadkiem wydarzeń, sam jest wydarzeniem.

SZTUKA WSPÓŁCZESNA

Ten nowy pogląd na świat znajduje wyraz w sztuce współczesnej. Dla naturalisty, rzeczy układają się w przestrzeni jedna za drugą. By je przedstawić zgodnie z regułą, że świat dostępny nam jest przez zmysły, trzeba je przedstawić perspektywicznie. Wynaleziono perspektywę linearną, a później perspektywę powietrzną i obraz w ramach stał się widokiem przez okno. Formy i barwy na płótnie oddawały doznania naszego wzroku. Mieliśmy pełne poczucie, że sztuka mówi nam prawdę. I była to prawda, dopóki nie przestaliśmy w nią wierzyć. Oczywiście, rzeczywistość ,,odtworzona'' na obrazie była fikcją, a perspektywa sztuczką. Obraz nie dawał rzeczywistości, dawał tylko jej złudzenie. Sztuka naturalistyczna była aktem zaufania do jednego zmysłu : wzroku. Malarz był kaleką, jego ,,deformacją zawodową'' był przerost jednej władzy duchowej.

Sztuka współczesna stara się bardziej kompletnie uchwycić stosunek człowieka do świata. Zaczyna od przywrócenia obrazowi jego rzeczywistego charakteru : obraz jest powierzchnią, nie przestrzenią. Na tej powierzchni można przy pomocy perspektywy oznaczyć przestrzeń, ale człowiek dostrzega rzeczy nie tylko w przestrzeni, dostrzega je także w czasie. Dla czego malarz miałby abstrahować od czasu ? Świat w kategoriach samej

przestrzeni jest abstrakcją. Twarz, przedstawiona równocześnie *en face* i z profilu, dokładniej oddaje to, co o niej wiemy, niż jej rzut perspektywiczny. Konwenans realizmu nie pozwala nam dostrzec, że sztuka współczesna jest bardziej realistyczna, niż sztuka naturalistyczna.

Realista wychodził z założenia, że rzeczywistość istnieje obiektywnie, tzn., że jest taka sama dla wszystkich. Fikcja ta mogła być utrzymana tylko, jeżeli za kryterium obiektywizmu uznane były zmysły, a ściśle biorąc jeden z nich : wzrok. Była to asceza, która sztucznie wytwarzała *consensus omnium*. Rzeczywistość osiągano na drodze abstrakcji od całej reszty naszego stosunku do rzeczywistości. Świat przemawia nie tylko do wzroku i w optyce się nie wyczerpuje. Najdokładniejszy katalog wzrokowych cech jakiejś rzeczy nie wyczerpuje nawet w części naszych doznań wobec tej rzeczy. Z całego tego katalogu wystarczy nam zazwyczaj tylko kilka elementów, by — wraz z innymi, już nie wzrokowymi, doznaniami — rzecz dla nas ożyła. Nie chodzimy przecież po świecie jako urzędnicy katastru — żyjemy w świecie pełnym życiem. Sztuka powinna dawać nam obraz świata taki, jaki nam się przedstawia, gdy świat dla nas ożywa, gdy coś dla nas znaczy.

Przed-realistyczna sztuka europejska odkryła cały szereg sposobów, by tę głębszą, bardziej osobistą prawdę przeżyć wyrazić na powierzchni obrazu. Nic więc dziwnego, że artyści współcześni sięgnęli do tego arsenału wypróbowanych środków artystycznych i że sztuka przed-realistyczna stała się nam tak bliska, iż wielkiej wystawie sztuki przedhistorycznej w Paryżu można było dać nazwę „40 tysięcy lat sztuki nowoczesnej". Malarstwo, które według kryteriów naturalistycznych było „prymitywne", „niedołężne" i „naiwne", okazało się wyrafinowane, zręczne i mądre. Na tym tle barbarzyństwem okazuje się okres naturalistycznych uprzedzeń, który przerywał żywą tradycję artystyczną i sztucznie zubożał kulturę. Sztuka współczesna jest nie tylko bardziej realistyczna, niż naturalizm — jest także bardziej sztuką, skoro odnajduje związek z wielką tradycją artystyczną świata, rozerwany przez naturalizm.

Streśćmy się : popularny pogląd na sztukę współczesną jest wyrazem ignorancji, niesolidarności z postępem intelektualnym naszych czasów, niewrażliwości na wielką tradycję artystyczną i gnuśności umysłowej oraz oschłości serca. Sztuka nie jest dla ludzi, którzy pragną przeżyć „kwadrans duszy". Sztuka potwierdza człowieczeństwo, jeżeli osiągnięte ono zostało także w pozostałych dwudziestu trzech godzinach i trzech kwadransach. Kto do muzeum przychodzi z lasu, powinien mieć pretensje do siebie, nie do artystów.

Jan ULATOWSKI

Czy Amerykanin wraca do domu?

I.

Kilka lat temu w uroczym Shenandoah National Park, w Górach Błękitnych Virginii, spotkałem pewnego starego farmera z Oregonu. Na wakacjach znajomości wszędzie są zawierane bardzo łatwo. A cóż dopiero w Ameryce, gdzie ludzie w ogóle są wylewni i gdzie tak szybko powstają przyjaźnie. Mój nowy znajomy był człowiekiem przeszło siedemdziesięcioletnim i wielkim gadułą. Dość że już po kwadransie znałem w skrócie jego biografię.

Nie było w tym życiorysie nic specjalnie osobliwego. Podobne rzeczy mógłbym zapewne usłyszeć od tysięcy Amerykanów w tym samym wieku. Rodzina jego była z Kentucky. Gdy miał lat szesnaście, ojciec jego przeniósł się do Colorado. Była to wówczas dzicz zupełna. Mój znajomy opowiedział mi o walkach z Indianami, w których brał udział i w których brat jego odniósł ranę. Opowiadał mi dalej o swej młodości w stopniowo cywilizującym się Colorado i o tym, że przed laty blisko czterdziestu powędrował dalej na zachód — do Oregonu. I tam osiadł. Powodziło mu się dobrze — nie, skarżyć się nie może. Ma piękną ranch — hoduje owce, ma też duży sad jabłkowy. Widać było, że jest to człowiek dostatni i z życia zadowolony.

Ale rodzina jego się rozproszyła. I to rzecz zwykła w życiu amerykańskim. Jeden syn powrócił do Colorado, drugi osiadł w Illinois, a córka wyszła za mąż aż do dalekiej Nowej Anglii. Owszem, dzieci często go odwiedzają. Ale on i jego żona (również po siedemdziesiątce) uważają za punkt honoru teraz, gdy już mogą odpoczywać, część roku spędzać na wizytach u swych dzieci. Biorą więc swoje auto — piękny, potężny Packard — i ruszają w drogę. Najpierw do Colorado, później do Illinois, na koniec do Massachusetts. A na drodze powrotnej jeszcze coś zwiedzają, bo są ciekawi i innych okolic swej kolosalnej ojczyzny. W tym więc roku skręcili na południe, by porównać łagodne góry południowego wschodu z potężnymi masywami Oregonu i Colorado.

Oto wszystko. Historia bardzo zwykła, banalna bez mała. Ludzi, którzy takie wędrówki rok rocznie odbywają, znajdziecie tysiące na drogach Stanów Zjednoczonych. Co jednak jest w tej historii interesujące, to jej wybitnie amerykański charakter. I to nie dlatego, że zawiera ona romantyczny szczegół o walkach z Indianami. Jej amerykańskość polega na tym, że głównym jej bohaterem jest — auto.

Lat temu przeszło trzydzieści udoskonalenie technologiczne spowodowało wielką rewolucję w życiu amerykańskim. Wtedy to Ford wypuścił na rynek swój słynny Model-T. Był to samochód bardzo tani, produkowany w sposób masowy. Stał się on prekursorem samochodów znacznie doskonalszych, droższych, ale także produkowanych masowo i dostępnych dla najszerszego ogółu.

Model-T stał się punktem wyjściowym wielkiej przemiany w życiu amerykańskim, w obyczajach i stylu życia każdego Amerykanina od Maine do Florydy i od New Yorku do brzegów Pacyfiku. Amerykanie stali się ,,narodem na kołach'', narodem-fanatykiem samochodu.

Gruntownie zmieniło się pojęcie przestrzeni. ,,Jak sobie dajecie radę z zakupami?'' — pytaliśmy się naszych przyjaciół, którzy osiedli na farmie. ,,Och to głupstwo — w dziesięć minut jesteśmy w sąsiednim miasteczku, a tam wszystkiego się dostanie''. Zmieniło się pojęcie sąsiedztwa, rzecz ważna dla rolniczej Ameryki, gdzie farmy są rozrzucone i ludzie żyją w izolacji. ,,Nasi sąsiedzi są od nas bardzo blisko — wszystkiego pięć minut''. Nie zaznaczają, że pięć minut autem — to się sami przez się rozumie.

Auto głęboko wrosło w życie amerykańskie. Tak głęboko, jak bodaj żadne inne z nowoczesnych udoskonaleń technologicznych. Stało się miernikiem powodzenia i stopy życiowej. Amerykańskie ,,to live up to the Joneses'', czyli nie dać się zasłonić przez sąsiadów, znalazło w aucie swój miernik. Jak mogę jeździć Chevroletem, skoro moi znajomi mają Cadillaca? Kiedy spis ludności roku 1940 ujawnił, że blisko 30 procent amerykańskich farmerów nie ma aut, Amerykę ogarnęło przerażenie. Jak farmer może żyć bez auta, i jak w ogóle on żyje, jeżeli nie może sobie pozwolić na taką konieczność życiową, jak samochód? Prawda, że były to czasy, które nastąpiły bezpośrednio po strasznych latach Wielkiego Kryzysu, prawda, że owi farmerzy to byli nędzarze-komornicy na Południu, ale wstrząs był ogromny. Oczywiście dziś jest to przeszłością, i odsetek bezautowych farm jest bardzo niski. Albowiem rolnik amerykański nie może istnieć bez auta, jak rolnik polski — bez konia czy krowy.

Amerykanin od dziecka związał się z autem: widziałem kiedyś brzdąca dziewięcioletniego, prowadzącego traktor. Czteroletni synek przyjaciół ze znawstwem rozprawia o rodzajach aut i od razu poznaje nie tylko marki, ale i roczniki.

Całe życie amerykańskie przystosowało się do auta. Najlepiej o tym mówią teatry, restauracje i inne miejsca publiczne ty-

pu ,,drive-in''. Możesz wjechać autem do środka i, nie wysiadając z niego, zjeść obiad, obejrzeć film, wysłuchać przemówienia. Wakacje polegają na wędrówkach, dalszych lub bliższych, zależnie od czasu, którym się rozporządza. Przystanki dłuższe robi się w miejscu, które szczególnie wpadnie w oko. Wzdłuż dróg po całym kraju stoją domki (cabins), zawsze wygodne, często komfortowe — ale na ogół niekosztowne — obliczone na zatrzymanie się, spędzenie nocy albo dwóch.

Głęboko zmieniło się życie rodzinne. Dom przestał być tym, czym był kiedyś. Skoro się ma auto i skoro czas i przestrzeń mało znaczą, to dom przestaje być ośrodkiem życia i zainteresowań. Wsiadasz i jedziesz, dokąd chcesz. Drogi są doskonałe i wszędzie cię zaprowadzą. Młodzież szczególnie dała się porwać przez maszynę. Zabawa i praca, miłość i przygoda — wszystko to związało się z samochodem.

Niewątpliwie auto nie było jedyną, ani nawet główną przyczyną rozpadu amerykańskiego życia rodzinnego i domu, jako instytucji życia zbiorowego. Trudno jest nawet nazywać je przyczyną tego rozpadu. Było ono raczej narzędziem, czynnikiem, który rozpad ten przyśpieszył i uczynił bardziej jaskrawym. Dom przestał być centrum zainteresowań, przestał być ogniskiem. Stał się miejscem, gdzie spędza się noc — a i to nie zawsze — i miejscem chwilowych i luźnych kontaktów członków rodziny. Dzięki autu Amerykanin wyjechał z domu i dzięki autu zaczął dom traktować jako miejsce noclegowe.

Amerykanin i przed autem był istotą wędrującą. Cała cywilizacja amerykańska rozwinęła się pod znakiem ciągłej wędrówki, która doprowadziła do podboju olbrzymiego kontynentu. Auto niezmiernie wzmogło te tendencje. Dla mojego znajomego z Oregonu — człowieka starego — niczym było przejechać w obie strony cały kontynent i jeszcze skręcić do Virginii. Weźcie do ręki mapę i sami zbadajcie, o jakie przestrzenie tu chodzi ! Dom, jako punkt stały, stracił tu swoje dawne znaczenie, stał się dodatkiem, stał się elementem ciągłej wędrówki. Dziś dom mój jest w Seattle, za tydzień może być w Bostonie. Nic dziwnego, że wielu Amerykanów mieszka stale w hotelach.

Oczywiście olbrzymia większość Amerykanów ma własne domy i domki i mieszka w nich. Co więcej, ambicją każdego Amerykanina jest mieć swój własny dom. A gdy go ma, wkłada dużo starań w jego urządzenie. Ale posiadanie domu fizycznego nie jest równoznaczne z istnieniem tych duchowych wartości, jakie w życiu osiadłym skoncentrowały się dokoła domu. I stąd Amerykanin, mając swój własny dom i ,,mieszkając'' w nim, nie przestaje być człowiekiem ,,na kołach'', i to nie tylko w sensie fizycznym. Jeśli jakaś zmiana w okolicznościach życiowych sprawia, że rozsądniej jest dom sprzedać, to nie będzie to połączone z żadnym przeżyciem emocjonalnym. Na innym miejscu kupi się dom nowy, jeszcze lepszy od poprzedniego.

II.

Czasy dzisiejsze przyniosły nowe udoskonalenie technologiczne, które zdaje się przeciwdziałać następstwom Modelu-T. Udoskonaleniem tym jest telewizja. Oczywiście w chwili obecnej byłoby przedwczesne i przez to ryzykowne wyciąganie zbyt daleko sięgających wniosków na temat zmian, jakie aparat telewizyjny wniesie w życie amerykańskie. Wiemy jednak, że już dziś wnosi on zmiany bardzo duże. Jak głęboko one sięgną i czy będą trwałe, o tym powie nam przyszłość.

W tej chwili zmiany są tak ogromne i tąk rzucające się w oczy, że już dziś na ich temat powstaje cała literatura. I to nie tylko w samej Ameryce. Jedna z najcenniejszych książek, poświęconych przemianom, jakie telewizja wnosi w życie amerykańskie, jest napisana przez Francuza i po francusku. Mamy tu na myśli książkę Louis Merlin'a *Christophe Colomb redécouvre l'Amérique* *).

W tej chwili w Stanach Zjednoczonych jest w użyciu zapewne 19 milionów aparatów telewizyjnych i liczba ta rośnie z każdym dniem. Dziewiętnaście milionów to znaczy, że z gruba licząc, blisko połowa Amerykanów może co wieczór u siebie oglądać widowiska telewizyjne. W ciągu najbliższych dwóch lat, w miarę powstawania nowych stacji nadawczych (w ciągu tego czasu przeszło 600 nowych stacji ma rozpocząć działanie) ilość odbiorników ma urosnąć do 30 milionów, czyli że w prawie każdym domu amerykańskim znajdzie się aparat telewizyjny. Znając Amerykę, można być pewnym, że w bardzo wielu domach będzie tych aparatów więcej niż jeden !

Merlin słusznie zauważył, że w Stanach Zjednoczonych telewizja staje się przede wszystkim rozrywką warstw najuboższych. W domu, w którym mieszkam, pierwszy odbiornik telewizyjny zjawił się w mieszkaniu naszego superintendenta, czyli, mówiąc po polsku ,,dozorcy domowego''. ,,The kids just love it'' — tłumaczyła mi jego żona, choć nie ulegało wątpliwości, że obok ,,kids'' i dorośli stali się namiętnymi widzami.

Aparat telewizyjny jest tani. Już za sto dolarów można mieć całkiem możliwy odbiornik. A w Ameryce nikt inaczej nie kupuje niż na długoterminowe rozpłaty. Nawet więc niezamożny człowiek może sobie pozwolić na ten sprawunek bez większego uszczerbku dla swego budżetu. A jaka wygoda i jaka oszczędność. Nie musisz dwa czy trzy razy w tygodniu chodzić do kina, nie potrzebujesz wydawać pieniędzy na bilet na zawody baseballowe czy footballowe, zaoszczędzisz na benzynie, latem mniej jeżdżąc na pikniki. Knajpiarze pierwsi ocenili sens przemiany, spowodowanej przez nowy wynalazek. W każdym ,,barroom''

*) Merlin Louis. *Christophe Colomb redécouvre l'Amérique*, Ed. René Julliard, Paris, 1952.

znalazł się odbiornik, umieszczony tak, by każdy gość mógł wygodnie oglądać zawody baseballowe czy konwencję polityczną. Dziś telewizja jest częścią składową amerykańskiego ,,saloon'u''.

Sukces jest więc kolosalny. Telewizja wstępnym bojem podbiła Amerykę. Ale właśnie rozmiary tego sukcesu i jego tempo sprawiły, że telewizja od razu stanęła wobec szeregu bardzo trudnych zagadnień.

Od samego początku rozpoczęła się zacięta wojna między telewizją a innymi działami przemysłu rozrywkowego. Oczywiście ani teatr właściwy ani sala koncertowa nie czują się specjalnie zagrożone przez telewizję. Mają swoją publiczność, która ich nie zdradzi. Ale kinematograf, ale stadion sportowy ! — Tu już sprawa jest zupełnie inna. Amerykańskie kinoteatry już dziś bardzo boleśnie odczuwają inwazję telewizji na ich teren. Bronią się też, jak mogą. Wytwórnie filmowe nie sprzedają stacjom telewizyjnym swych nowych filmów. Ale sprzedają stare i takie, które nie miały powodzenia. W telewizji zaś — jak o tym będzie mowa osobno — mają one powodzenie. Również i stadiony próbowały się bronić przed telewizją. Wielkie imprezy sportowe nie były nadawane przez telewizję. Ale mniej ważne były. I coraz częściej robione są wyłomy w oporze gigantycznych przemysłów sportowych.

Te wyłomy stają się źródłem poważnych kłopotów i dla przemysłu sportowego (bo i sport amerykański uległ całkowitej komercjalizacji !) i — w stopniu jeszcze większym — dla przemysłu filmowego. To ostatnie jest szczególnie interesujące.

Widz telewizji nie ma nadziei na to, by u siebie w domu oglądać najlepsze i najświeższe produkty Hollywoodu. Ale może oglądać i ogląda filmy starsze i mniej pierwszorzędne. A możność oglądania filmu w swoim fotelu, u siebie w domu, wygodnie, sprawia, że przymyka się oczy i na wiek filmu i na jego jakość. Zresztą telewizja robi tu niespodzianki : filmy, które zawodziły w kinoteatrze, porywają widzów, gdy ukazują się na ekranie odbiornika. Jako przykład może tu posłużyć fantastyczna kariera Hopalong Cassidy.

Opowiada o niej szczegółowo Merlin w swej książce o telewizji amerykańskiej. Przed laty młody człowiek, imieniem Bill Boyd, szukał szczęścia w Hollywood. I rzeczywiście — jak wielu przed nim i po nim — początkowo je znalazł. Ale dość szybko — jak i to było losem wielu innych przed nim i po nim — gwiazda jego zbladła. Był używany do roli cowboya w podrzędnych filmach, typu tzw. Westerns, czyli przedstawiających przygody — z szeryfami, końmi, rewolwerami i pięknymi blondynkami — na Dzikim Zachodzie. Sam też zabrał się do nakręcania takich filmów, w których był głównym bohaterem, noszącym nazwisko Hopalong Cassidy.

Były to filmy bardzo złe. Przynajmniej taka była o nich powszechna opinia. Nie miały też powodzenia. A Boyd sfabrykował ich aż 26 ! Kosztowały dużo pieniędzy, zrujnowały swego twórcę, i nikt ich nie chciał.

A przyszła telewizja. I od razu stanęła przed swym wielkim zagadnieniem : skąd brać programy. Widzom trzeba było coś pokazać. A materiału brakło. Otworzyła się kolosalna szansa dla Boyda i jemu podobnych. National Broadcasting Company wzięło wszystkie 26 obrazów z Hopalong Cassidy. I nie pożałowało swej decyzji. Sukces był fantastyczny.

Hopalong Cassidy stał się postacią znaną od Pacyfiku do Atlantyku i od granicy meksykańskiej do kanadyjskiej. Ba, nie tylko znaną ! — Stał się ideałem, bożyszczem milionów widzów — bardzo młodych i całkiem nie młodych. Merlin twierdzi, że 65 procent wielbicieli Hopalonga to ludzie dorośli. Zapewne ma rację.

W każdym razie młode pokolenie Amerykanów znalazło swój nowy ideał. To ów dzielny, rycerski, stający w obronie pokrzywdzonych a przeciwko gwałcicielom prawa, cowboy. Sklepy z ubraniami dziecięcymi zaczęły sprzedawać kostiumy à la Hopalong Cassidy. Wszędzie zaroiło się od jego portretów, jego statuetek, kapeluszy à la Hopalong Cassidy itd. Nawet różne produkty spożywcze noszą jego imię i jego podobiznę na opakowaniach.

Ludzie, którzy nie chcieli Hopalonga oglądać na ekranach kinoteatrów, szaleją za nim, gdy pokazuje się na ekranie odbiornika. Czy jest to dlatego, że wymagania widza telewizji są inne, niż tego samego widza, gdy znajduje się w kinematografie ? Czy może działa tu jakiś moment specjalnej intymności, jaki towarzyszy telewizji ? Czy też może telewizja wydobywa jakieś specjalne, jej tylko właściwe walory, obce kinematografii ? — Nie wiem. Wiem tylko, że raz jeden próbowałem oglądać obraz telewizyjny z Hopalongiem. Po pięciu minutach miałem dosyć. Było to potężniejsze, niż moja sumienność w dochodzeniu prawdy. Poddałem się. Film był potworny.

III.

Kariera Hopalonga Cassidy wprowadza nas in medias res wielkiego problematu telewizji : jak wypełnić czas, jak stworzyć program ? Pamiętajmy o tym, że w telewizji dany program na danej stacji może być powtórzony dopiero po długim odstępie czasu. Że często w ogóle nie może być powtórzony. Że w samym New Yorku jest obecnie siedem odrębnych stacji telewizyjnych, że każda z nich pracuje przez kilkanaście godzin dzień w dzień, i że liczba stacji telewizyjnych na całym terenie Unii przekracza 200, a w ciągu najbliższych kilku lat ma przekroczyć 600.

Oczywiście program, który miał powodzenie na jednej stacji nadawczej, może być powtórzony i na innych, w innych miastach. Ale nie każdy i nie zawsze. Słowem — zagadnienie wypełnienia czasu jest sprawą bardzo trudną.

Zwłaszcza że wymagania finansowych patronów są bardzo duże. Jak i radiofonia amerykańska, tak i telewizja jest ściśle

i bezpośrednio związana z reklamą handlową. Firma, która ogłasza swe produkty, zakupuje dla siebie odcinek czasowy programu. Ten odcinek jest wypełniony przez słuchowisko, reportaż, koncert itd., w co zostaje wplecione ogłoszenie finansującej firmy.

Ta, rzecz jasna, chce za swe pieniądze mieć jak najlepszy program. Chodzi tu o program, który by przyciągnął możliwie jak największe ilości widzów czy słuchaczów i dał im sposobność dowiedzenia się o zaletach danego samochodu, mydła czy piwa. „Sponsorzy" programów nie żałują pieniędzy (godzina programu telewizyjnego kosztuje przeciętnie 50 tysięcy dolarów), ale też stawiają wymagania bardzo wysokie. Mają ze swego punktu widzenia zupełną rację. A nie jest to i bez korzyści dla widza. Gotów jestem przemęczyć się przez historię o zaletach piwa, którego kupować przecież nie muszę, byleby wysłuchać czy zobaczyć naprawdę pierwszorzędny i interesujący program. A mój czas i cierpliwość stracone na reklamy to jedyna opłata — bo używanie aparatów jest bezpłatne.

Naturalnie to, co ja uważam za interesujące, niekoniecznie musi zainteresować miliony innych widzów czy słuchaczów. A właśnie na tych milionach zależy „sponsorom". Jednakże i dla nich najcenniejszy jest taki program, który potrafi zainteresować *każdego* widza — i wybrednego i takiego, który emocjonuje się losami Hopalonga Cassidy. Jako przykład takich programów można wymienić aktualności polityczne. I tu telewizja rzeczywiście osiąga poważne wyniki i staje się czynnikiem całej rewolucji, której konsekwencji nie można w tej chwili przewidzieć.

Jeżeli w Anglii powstały wątpliwości, czy *przystoi* nadawać telewizyjnie przebieg koronacji królowej Elżbiety, to w Ameryce obiekcje takie w ogóle powstać by nie mogły. Nie byłyby nawet zrozumiane. Dla Amerykanina jest rzeczą jasną i bezsporną, że każde ważniejsze wydarzenie powinno mu być dostarczone do domu, jeżeli istnieją po temu możliwości techniczne.

W rezultacie głośne wydarzenia chwili — inauguracja nowego Prezydenta, obrady konwencji, posiedzenia komisji śledczych Kongresu — są z reguły przedmiotem transmisji telewizyjnych. „Sponsorów", gotowych finansować taką telewizyjną imprezę, nigdy nie zabraknie. Nikogo zaś nie będzie raziło, że przebieg inauguracji Prezydenta będzie poprzedzony, zakończony, a nawet tu i ówdzie przerywany wyliczeniem zalet nowego modelu samochodowego !

Konsekwencje takich transmisji dla życia zbiorowego są bardzo poważne. Ich bezsporną stroną pozytywną jest to, że miliony ludzi są bezpośrednio wciągane w sferę działania mechanizmu demokracji współczesnej. Miliony te *widzą* konwencje, nie tylko słyszą ale i widzą mówców, którzy przestają być tylko *głosem,* ale stają się konkretnymi postaciami ludzkimi. Telewizja odegrała kolosalną rolę w ostatniej kampanii wyborczej. Znaczyła ona znacznie więcej, niż radiofonia. Zalety oratorskie same przez się przestały wystarczać. Musiały mieć swe uzupełnienie

w walorach fotogeniczności. Odtąd *wygląd* będzie zasadniczym czynnikiem każdej kariery politycznej.

W roku 1951 cały przebieg dochodzeń słynnej komisji Kefauvera, badającej przestępczość w Stanach Zjednoczonych, był nadawany telewizyjnie. Był to rzeczywiście program fascynujący. Widziało się, jak przed komisją stawali jeden po drugim bohaterowie amerykańskiego świata ,,racketu'', słyszało się ich zeznania. Panowie ci, którzy dotąd starali się być możliwie jak najmniej widzialni, teraz zostali pokazani w całej okazałości. Po tej prezentacji nikt nie mógł mieć wątpliwości co do słuszności wyroku, który ,,króla'' nowojorskiego ,,racketu'' Costello posłał do więzienia. A wygląd Costello (nie mówiąc o jego języku) zmuszał do smutnych refleksji : więc taki typ mógł być potęgą polityczną w New Yorku i przyjacielem dygnitarzy miejscowych !...

Równocześnie transmisje te uczyniły z przewodniczącego komisji Senatora Kefauvera bohatera dnia. Transmisjom tym zawdzięcza Senator z Tennessee to, że w czasie ostatniej konwencji demokratycznej stał się jednym z najpotężniejszych kandydatów do demokratycznej kandydatury na Prezydenta. W rzeczywistości był znacznie popularniejszy od Stevensona.

Ale takie programy telewizyjne nie mogą zdarzać się codziennie. Są one czymś wyjątkowym, wyjątkową gratką dla kierowników stacji nadawczych, dla ,,sponsorów'' i dla publiczności.

A przecież czas trzeba zapełniać. Stacje telewizyjne i ,,sponsorzy'' są w ciągłym poszukiwaniu materiału. I z konieczności biorą wszelkie programy. Są jednak świadomi tego, że nie może to być polityka na długą metę. Publiczność, przyzwyczajając się do telewizji, zaczyna być bardziej wybredna.

Rzecz znamienna, że ostatnio wielkie stacje telewizyjne poszły po drodze tworzenia własnych, nowych i oryginalnych programów dobrej jakości. Są to programy przeznaczone dla tych, których Hopalong Cassidy zadowolić już nie potrafi.

Tak więc jedna z wielkich stacji zamówiła u Sherwooda Andersona siedem sztuk, które mają być specjalnie użyte przez telewizję. Jest to doskonała zapowiedź. I jakie szerokie perspektywy otwierają się tu przed autorem, reżyserem, aktorami i inscenizatorami ! Inna stacja próbuje stworzyć telewizyjny repertuar operowy. Kilku kompozytorom powierzono opracowanie oper, specjalnie dla telewizji. I tu powstają możliwości kolosalne, zwłaszcza że zwrócono się do kompozytorów bardzo wysokiej klasy. Już zresztą dziś rozpoczęły się transmisje telewizyjne przedstawień operowych. Ze względów handlowych są one na razie ograniczone do ekranów określonych kinoteatrów i trzeba na nie kupować bilety.

Wszystko to jednak są dopiero zapowiedzi. W tej chwili — jak to było przed laty z radiofonią — ilościowy rozwój telewizji poszedł znacznie szybciej niż jej rozwój jakościowy, wyrażający się w poziomie programów.

Przypomnijmy sobie początki radiofonii. I ona od pierwszej chwili była kolosalnym sukcesem ilościowym. I ona bardzo szybko stanęła wobec trudnego zagadnienia tworzenia sobie tylko właściwych programów.

Jak to wtedy wyglądało? — Ktoś słusznie powiedział, że słuchacz w stosunku do radiofonii przeszedł przez trzy kolejne etapy. Najpierw był podziw, że „to gada". Tu decydował triumf strony technicznej nowego wynalazku. Później dopiero przyszedł moment refleksji : „co gada?" Słuchacz był już oswojony ze stroną techniczną wynalazku i zaczął zwracać uwagę na jego stronę humanistyczną. Przestały mu wystarczać słowa i dźwięki, zaczął zwracać uwagę na ich sens. Było to początkiem wielkiego przełomu i oznaką wielkiego kryzysu w dziejach radiofonii. Trzeba było zacząć myśleć o rozsądnej polityce programowej.

Wreszcie przyszła trzecia faza : słuchacz zaczął się zastanawiać nad tym, „jak to gada". Zaczął zwracać uwagę na wykonanie, zaczął rozróżniać między tym, co jest dobre na scenie i na estradzie, a tym, co jest dobre w odbiorniku. I od odbiornika zaczął wymagać rzeczy odbiornikowi właściwych. Wtedy to zaczęła się rodzić sztuka radiofoniczna.

Coś podobnego zachodzi w krótkich dziejach telewizji. Jest rzeczą prawdopodobną, że zawrotny sukces Hopalong Cassidy był w znacznej mierze uwarunkowany tym, iż „to pokazywało". Hopalong przyszedł w tym okresie, gdy widz był przede wszystkim pochłonięty stroną technologiczną telewizji Ostra krytyka, jaka w Ameryce jest podnoszona pod adresem programów telewizyjnych, zdaje się świadczyć, że ów początkowy okres uroku strony czysto technicznej ma się ku końcowi.

Widz zaczyna się zastanawiać nad tym, co jest pokazywane i jak jest pokazywane. Zamówienia, o których wspominaliśmy poprzednio, mówią o tym, że kierownictwo stacji telewizyjnych — a jeszcze bardziej „sponsorzy" — zdają sobie sprawę z tego, co zaczyna się dziać wśród widzów.

IV.

Wszystkie te zagadnienia programowe nie mogą nie mieć związku z najważniejszym aspektem telewizji — z jej następstwami społecznymi. Jakkolwiek już są teatry telewizyjne i jakkolwiek wszystkie „saloony" z miejsca zaopatrzyły się w odbiorniki, to przecież nie ulega wątpliwości, że telewizja jest przede wszystkim składnikiem życia domowego. I to składnikiem w Ameryce bardzo ważnym. Jest rzeczą pewną, że Amerykanin dzięki telewizji spędza dziś w domu znacznie więcej czasu niż jeszcze niedawno, że dzięki telewizji powraca dziś do tego domu, z którego przed laty wyprowadziło go auto. Przemysł amerykański — zawsze czuły barometr nastrojów mas amerykańskich — w lot uchwycił sens tego, co się dzieje. Przemysł meblarski zaczął np. produkować nowe fotele, w których wygodnie ogląda

się programy telewizyjne. Inne przemysły nie pozostały w tyle. Na rynku pojawiła się masa rzeczy, których zaletą ma być to, iż tworzą w domu najlepsze warunki dla oglądania telewizji. Są nawet cukierki, które specjalnie smakują, gdy się patrzy na ekran! Oczywiście wśród tych rzeczy, polecanych przez różne przemysły, nie ma książki. Telewizja nie jest przyjacielem czytelnictwa, choć dziś przedwcześnie byłoby powiedzieć, w jakim stopniu jej postępy wpływają na upadek czytelnictwa. Dodajmy, że są już próby telewizyjnych „comics'ów"...

W epoce telewizji Amerykanin odkrył więc, że dom jego może być miejscem rozrywkowym. Aby przyjemnie spędzić czas („to have a good time"), nie trzeba wsiadać do auta — wystarczy usiąść w swoim mieszkaniu w wygodnym fotelu przed aparatem telewizyjnym i patrzeć na ekran. Dom stał się czymś atrakcyjnym, w domu warto jest posiedzieć.

Czy jednak stąd wynika, że w epoce telewizji dom amerykański staje się czymś więcej niż miejscem rozrywkowym? Cz — innymi słowy — telewizja staje się narzędziem odbudowy domu amerykańskiego jako instytucji, jako ośrodka życia rodzinnego? — Z wyciąganiem takich wniosków trzeba być bardz ostrożnym. Auto nie było przyczyną rozpadu domu amerykańskiego jako instytucji życia rodzinnego. Auto było tylko bardzo ważnym narzędziem, ułatwiającym i przyśpieszającym ten rozpad. Podobnie telewizja sama przez się nie będzie mogła sta się źródłem takiej odbudowy, jeżeli nie wystąpi w zespole innych czynników, które taką odbudowę przyniosą. Te zaś czynniki z natury swej nie mogą należeć do sfery technologii.

Że powrót Amerykanina do domu — choćby tylko jako d miejsca rozrywkowego — nie jest rzeczą łatwą, o tym mówi kroniki sądowe. Jeżeli w domu jest kilka osób a tylko jeden odbiornik, to konflikty są nieuniknione. Będą one na tle zasadnczych różnic w zainteresowaniach telewizyjnych. I doprowadził tu i ówdzie do rozwodów. Oczywiście konflikty takie dadzą si uniknąć przez nabycie tylu odbiorników, ilu jest członków rodziny. Takie rozwiązanie znalazł w swoim czasie Amerykanin w wypadku radia. W wielu mieszkaniach amerykańskich zna dziecie po kilka aparatów radiowych. Ale nie zawsze takie rozwiązanie jest do przeprowadzenia. I to nie tylko ze względu n koszt odbiornika telewizyjnego. Gorszą rzeczą są tu rozmiar mieszkania, zwłaszcza wielkomiejskiego. Ogromna ilość mieszkańców wielkich miast amerykańskich od dawna unika dużych mieszkań. Wystarczają im mieszkania mniejsze, szczególnie gd rodzina jest mała. I tak mieszkanie nie jest po to, by spędza w nim cały czas wolny od pracy zarobkowej. Różnica w komonem między mieszkaniem dużym a małym jest w Ameryce stsunkowo bardzo mała. Istotna różnica jest w koszcie utrzyman mieszkania. W kraju, w którym stała służąca jest luksusem, n który mogą sobie pozwolić tylko bardzo zamożni, utrzyman dużego mieszkania jest rzeczą trudną i bardzo kosztowną. Słwem — w dużej ilości wypadków nie będzie po prostu miejsc

na kilka odbiorników telewizyjnych. I stąd materiał dla konfliktów i dramatów rodzinnych !

Są jeszcze i inne konflikty, o których mówią kroniki sądowe. Jedno z małżonków (częściej mąż niż żona) chce siedzieć przy odbiorniku, drugie — ciągnie do auta i wyjścia z domu. W jakimś wypadku mąż, doprowadzony do szału tym, że reszta rodziny nie odchodziła od aparatu, wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać do ekranu. Ten wybuch doprowadził do sprawy rozwodowej.

Nie trzeba jednak przeceniać znaczenia tych dramatów telewizyjno-rodzinnych. Co prawda świadczą one o tym, jak dalece telewizja pochłania i pasjonuje obywateli Stanów Zjednoczonych. Ale konflikty takie — zwłaszcza w swej krańcowej postaci rozwodowej — nie zdarzają się codziennie i nie stanowią reguły. W olbrzymiej ilości wypadków korzystanie z telewizji odbywa się w atmosferze pokojowej.

Znaczna większość Amerykanów mieszka we własnych domach i domkach — na farmach, w miasteczkach, na przedmieściach wielkich miast. Tu mieszkania są wielopokojowe i łatwiej jest pomieścić kilka odbiorników. Zarazem mieszkańcy tych domów i domków to właśnie ci, dla których dotąd każda rozrywka była w jakimś stopniu związana z samochodem. Ameryka farm, miasteczek i przedmieść jest w stu procentach Ameryką samochodu. Partia bridża u przyjaciół i zawody baseballowe, zabawa u sąsiadów i kinoteatr, piknik i koncert w sąsiednim mieście — wszystko to wymaga auta. Jest też rzeczą prawdopodobną, że powrót Amerykanina do domu będzie na farmie, w miasteczku i na przedmieściu bardziej trwały i kompletny, niż w dużym mieście. A i dom jest tu bardziej atrakcyjny, większy, wygodniejszy, własny.

Ale sam fakt, że Amerykanin rozwiązania swych kłopotów rodzinno-telewizyjnych szuka w nabyciu kilku odbiorników, ma swoją wymowę. Świadczy on o tym, że rozrywka w domu nie musi być doznaniem gromadzkim, zbiorowym, doznaniem całej rodziny. Słowem — telewizja nie koniecznie staje się narzędziem zespolenia, ale może stać się nawet czynnikiem dalszej atomizacji życia rodzinnego. Ażeby stać się czynnikiem łączącym, telewizja musiałaby w swych odbiorcach wytwarzać postawy aktywne i to aktywne w stosunku do całej gromady, tworzącej treść tego, co nazywamy domem. Powstaje pytanie, czy telewizja — taka, jaką znamy w tej chwili — jest narzędziem wytwarzania się jakichś postaw aktywnych w ogóle ?

Zacznijmy od rzeczy najbardziej ogólnych.

Podobnie jak radio, tak i telewizja sama przychodzi do odbiorcy, nie wymaga od niego wysiłku choćby w postaci zmiany miejsca. Jednakże fakt, że radio angażuje wyłącznie nasze ośrodki słuchowe, sprawił, że odbiór radiowy stał się tłem akustycznym dla najrozmaitszych naszych czynności, że — co więcej — wpływa pobudzająco na wykonywanie przynajmniej niektórych z nich. W każdym razie możemy robić najrozmaitsze rzeczy przy

akompaniamencie radia. Każdy samochód w Ameryce jest dzi zaopatrzony w odbiornik radiowy. Kierowca może bezpieczni prowadzić swą maszynę, równocześnie słuchając radia. Ale niec spróbuje ją prowadzić, jednocześnie oglądając program telew zyjny ! Telewizja, angażując naszą uwagę wzrokową, sprawia że nie można jej łączyć z wykonywaniem innych czynności, chy ba że są to czynności całkowicie zautomatyzowane. Ale czynno ści takich jest stosunkowo niedużo. Można robić na drutach, pa trząc na ekran, ale już zmywanie naczyń kuchennych prowad do katastrofy. Nic dziwnego, że w Ameryce rozlegają się skarg na panie domu, które zaniedbują gospodarstwo, tłuką naczy nia itp., gdyż cała ich uwaga jest zwrócona na telewizję.

Telewizja wymaga więc, by odbiorca zachowywał się sta tycznie. Wygodny fotel i akcesoria, umożliwiające odcięcie si od reszty świata — oto najlepsze warunki, towarzyszące dozna niom telewizyjnym odbiorcy. Takie warunki może właśnie da dom i to sprawia, że telewizja staje się par excellence spraw domową. Jednakże w obrębie tej domowej sprawy nie dużo jes miejsca na aktywizację postawy odbiorcy.

Czy aktywizacja taka w ogóle nie zachodzi ? Była już mow o tym, jaką rolę odegrała telewizja w ostatniej kampanii wy borczej i jaki wpływ miały transmisje z posiedzeń komisji Kefau vera. Tu bezspornie telewizja miała wpływ na dalsze zachowa nia się odbiorców, działała na nich aktywizująco, miała swe szer sze konsekwencje społeczne.

Znaczenia jednak tego wszystkiego nie należy przeceniać Przede wszystkim odbiorca programu był tu tylko widzem i be względu na to, jak w dalszych konsekwencjach program wpły wał na jego zachowanie się, jego stosunek do programu był od biorczy, bardziej pasywny niż aktywny. Był świadkiem wyda rzeń, ale nie ich żywym i bezpośrednim uczestnikiem. To ostat nie było niezmiernie spotęgowane przez fakt izolacji, towarzy szący odbiorowi programu telewizyjnego. Siedząc w fotelu, sar jeden w pokoju lub w gronie kilku osób z mej rodziny, jester w stanie izolacji społecznej, nie mam tych doznań zbiorowych jakie są udziałem szerszej gromady ludzkiej.

Tu zdają się kryć poważne niebezpieczeństwa na przyszłość Są one tym poważniejsze, że telewizja nie jest ich źródłem, ż stać się może tylko nowym i jednym więcej czynnikiem ich ro woju.

Od dawna podnoszono, że w społeczeństwie amerykańskii występują tendencje groźne dla działania demokracji. Jedn z tych tendencji jest receptywny, odbiorczy stosunek obywatel do wydarzeń życia zbiorowego. Obywatel przestaje być żywy i bezpośrednim uczestnikiem wydarzeń a staje się tylko ich w dzem. Drugą tendencją jest postępująca izolacja społeczna, słał nięcie tych żywych i mocnych więzi, jakie jednostkę łączą z gr pą. Jedno i drugie podważa sam proces działania mechanizm demokracji.

Z tych niebezpieczeństw w Ameryce nie od dziś zdawano sobie sprawę. Powstała na ten temat bogata literatura, szukano rozwiązań w dziedzinie pracy obywatelsko-wychowawczej. A i sam przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych na własną rękę szukał takich rozwiązań. Z całego swego dziedzictwa historycznego jest on naturą towarzyską, gromadzką. Mówi się o nim, że jest „a big joiner" — wyrażenie trudne do przetłumaczenia a oznaczające skłonność do stowarzyszenia się z innymi. Stąd — jak mało gdzie indziej na świecie — w Ameryce roi się od wszelkich stowarzyszeń, organizacji, zespołów wszelkiego rodzaju. I stąd Amerykanin i w pracy i w rozrywce lubi być w gromadzie. Są to — rzadko kiedy uświadamiane — próby stworzenia namiastek dla rozpadających się tradycyjnych grup społecznych, próby przeciwdziałania postępującej izolacji społecznej jednostki.

W tym samym kierunku idą próby zbiorowego oglądania programów telewizyjnych. Tworzone są teatry telewizyjne, gdzie program nadawany jest dla sali widzów. Jednakże zbiorowe oglądanie telewizji może być tylko drobnym fragmentem w masowym zjawisku doznań telewizyjnych. Zbiorowo oglądać telewizję można tylko od czasu do czasu, a olbrzymia większość widzów tylko u siebie w domu korzysta z programów.

Telewizja zdaje się więc być jeszcze jednym z narzędzi technicznych tych procesów, które już od dawna działają w społeczeństwie amerykańskim i które są groźne dla funkcjonowania demokracji. Niewątpliwie telewizja wraca Amerykanina domowi. Czy jednak oznacza to, że dom ten staje się przez nią bardziej pełny, bardziej bogaty w te specyficzne treści, które tradycyjnie stanowiły sens życia rodzinnego? To wydaje się wątpliwe. Dom, do którego Amerykanin powraca, nie stał się jeszcze przez sam fakt znajdowania się w nim jednego czy kilku aparatów telewizyjnych, żywym środowiskiem, skupiającym w swych ścianach zwarty zespół ludzki, jedną z komórek wielkiego organizmu narodowego.

Takie refleksje nasuwają się dziś, w pierwszych latach masowego rozwoju telewizji. Czy będą one słuszne i w latach następnych — o tym dowiemy się z czasem. Jedno zdaje się być pewne — że odtąd telewizja będzie ważnym składnikiem wszelkich procesów cywilizacyjnych naszych czasów.

Aleksander HERTZ

Notatki z lektury

,,Procesy czarownic'' są tematem bardzo współczesnym Mają one też swoją historię — nieszczególnie sławną. W chwili skazania człowieka za przestępstwa, ustalenie których wymaga głębokiej wiary ze strony skazujących, wszystko zdaje się być w porządku. Dopiero czas przynosi zemstę i okrywa hańbą imiona sędziów.

Książka Huxleya *) jest pożyteczna, bo uwalnia nas od tendencji przesadnego idealizowania przeszłości, do czego nie jeden z nas jest skłonny, kiedy patrzy na horrory XX-go wieku Za mało pamięta się dzisiaj o tym czym było życie codzienne w wioskach i miastach poddanych ścisłej dyscyplinie religijnej — i to nie koniecznie w Średniowieczu. Jak powiada Huxley na przykład życie w niektórych częściach Niemiec XVI-go stulecia musiało przypominać bytowanie ludzi w systemach totalitarnych. Atmosfera podejrzliwości, wzajemnego śledzenia siebie, donosów : bo wróg był stale obecny, jego ,,piąta kolumna'' działała. Wrogiem był diabeł, piątą kolumną — wspólnicy piekła — ci którzy wzywali diabelskiej pomocy, aby szkodzić swoim bliźnim przez odbieranie krowom mleka, sprowadzanie chorób i śmierci, trapienie sąsiadów obłędem czy impotencją.

Powstaje pytanie czy wszyscy oskarżani wtedy o czary — i zatłuczeni kijami przez wioskę czy skazani wyrokiem prawomocnym sądów — byli niewinni, czy też wielu z nich należało rzeczywiście do partii diabelskiej i działało jako agenci piekielnego mocarstwa. Jest to zagadnienie mało zbadane, bo pozytywizm współczesny skłonny jest ograniczać się tutaj do drwiny, jakby te dawne wierzenia były mniej silne czy bardziej absurdalne niż wierzenia współczesne, do których powstania się przyczynił. Z drugiej strony każdy z nas wzrusza ramionami czytając wypowiedzi takich demonologów jak Przybyszewski którzy czarną magię traktowali zupełnie poważnie.

*) Aldous Huxley, *Les diables de Loudun*, Ed. Plon, Paris, 1953 str. 392, cena 690 frs.

A jednak diabeł dla ludzi przeszłości był postacią niemniej realną niż osoby, których mogli dotknąć ręką. Nie brak na pewno było takich, którzy wzywali jego pomocy, podpisywali cyrografy. W jakim stopniu im pomagał — to już inna sprawa. Dzisiaj też nie zawsze bada się jaka jest różnica pomiędzy „obcą ideologią" i aktem szpiegostwa czy szkodnictwa.

Huxley przypuszcza, że „sabaty czarownic" i „czarne msze" nie były fantazją. Chrześcijaństwo — jeżeli mamy autorowi wierzyć — nie zdołało w ciągu wielu wieków wyplenić śladów dawnej religii, która przechowywała się w zapadłych okolicach Europy Zachodniej. Obrzędy o charakterze dionizyjskim odprawiane na różnych Łysych Górach gromadziły wielką ilość potajemnych wyznawców. Uczestniczył w nich szatan — był to przebrany mężczyzna z przyprawionym ogonem i z maską umieszczoną pod ogonem, którą całowali wierni. Prawdopodobnie miał on również przyprawiony członek z rogu albo z metalu (czarownice, jak wiadomo, stale były oskarżane o stosunki miłosne z diabłem). Uczestnicy „sabatów" musieli przeżywać wielkie wzruszenia, wzruszenia *roztapiania się* we wspólnocie (bawiono się tam i tańczono, a uroczystość w punkcie kulminacyjnym zmieniała się w tzw. orgię seksualną — zupełnie jak u niektórych plemion afrykańskich) jeżeli nawet tortury nie mogły zmusić wyznawców do wyrzeczenia się ich „opozycyjnej" wiary i jeżeli umierali oni, do końca proklamując swoje przywiązania.

Jakkolwiek było, warto o tej realności diabła wspomnieć, bo tłumaczy ona w pewnym stopniu proces, który wziął za temat Huxley, mając w tym zresztą poprzedników. Jak wiadomo autor ten wyspecjalizował się w badaniach nad Francją kardynała Richelieu. Wiek, bądź co bądź, rozumu, wiek kartezjański. Ale wielki przewrót umysłowy szedł wtedy w parze z nieco egzotycznymi już dzisiaj instytucjami i poglądami. Klasztor Urszulanek w Loudun został wtedy nawiedzony przez diabła i nie tylko cała Francja huczała od opowieści o miotających się w opętaniu zakonnicach, również z innych krajów ciągnęli do Loudun turyści, aby oglądać ten niesamowity, zaświatowy cyrk. Co więcej, szukano sprawcy opętania zakonnic, który, przez swoje bliskie związki z piekłem, sprowadził na klasztor tę klęskę. Sprawca został znaleziony — był nim miejscowy proboszcz, Urbain Grandier. W r. 1634 w Loudun odbył się jego proces. Straszliwie torturowany, nie przyznał się do winy. Mimo to, sprawiedliwości stało się zadość — żałosny szczątek ludzki, z potrzaskanymi przez oprawców kośćmi nóg, został zawleczony na stos i zginął w płomieniach.

Jak słusznie ktoś powiedział, Kościół katolicki za mało wspomina o zbrodniach których sprawcami byli jego ziemscy przedstawiciele. Za mało, bo już to, że przetrwał pomimo tylu nieprawości, może stanowić dowód jego boskiego pochodzenia. Zarówno opętanie Urszulanek jak tragiczna śmierć proboszcza były, jak wykazuje w swojej monografii Huxley, dziełem nie

demonów ale ludzi, wcale nie mniej od zaświatowej siły demonicznych. Dwie główne postacie dramatu — matka Joanna od Aniołów, przełożona Urszulanek i proboszcz Grandier nigdy się nie widziały, a jednak oskarżenie padło z jej ust. To oskarżenie (wypowiedział je jeden z zamieszkujących ją diabłów) zostało wykorzystane przez wrogów księdza Grandier, miejscowych zakonników, wbrew wskazaniom Sorbony, która zabraniała używać świadectw diabelskich jako dowodów, wychodząc z założenia, że szatan, nawet przymuszony egzorcyzmami, nie mówi prawdy. Ksiądz Grandier przyczynił się zresztą sam do swojej zguby. Był to człowiek krwisty, gwałtowny, dumny ze swoich wyjątkowych kaznodziejskich talentów. Na każdym kroku robił sobie wrogów — zarówno wśród obywateli Loudun, jak i poza miastem — a zdarzyło się, że obraził tego, który w kilka lat później miał stać się kardynałem i niepodzielnym władcą Francji — Richelieu. Ksiądz Grandier był winien poza tym niepohamowanych miłosnych zapędów. ,,Byłem mężczyzną, kochałem kobiety'' — przyznał w czasie śledztwa. Kochał trochę zanadto. Nie wystarczały mu ciepłe wdówki, uwiódł córkę swego przyjaciela, miejscowego notabla, który stał się przez to jego groźnym przeciwnikiem. Wpadłszy z kolei w sidła, bo przejęty osobą nabożną sieroty oddanej pod jego opiekę, Mademoiselle de Brou, sam sobie udzielił z nią potajemnie ślubu i aby uspokoić jej sumienie, napisał traktat teologiczny przeciwko celibatowi; ten rękopis został znaleziony później w czasie rewizji przeprowadzonej w jego domu. Miał w Loudun opinię satyra. Matka Joanna od Aniołów — młoda, o burzliwym temperamencie (i nieco ułomna) zaczęła śnić o nim po nocach. Kiedv, zaproszony przez nią listownie do objęcia stanowiska spowiednika klasztoru, odmówił, znienawidziła go i właśnie wtedy diabły zaczęły nią targać.

Proces księdza Grandier nie odbyłby się, bo nie brak było i niedowiarków, którzy twierdzili, że zakonnice nie były wcale opętane, że ich wizje pochodziły z f u r r o r u t e r i n u s, a proboszcz nic z tym nie miał do czynienia. Ale wszechpotężny kardynał uważał za stosowne nadać jak największy rozgłos sprawie Loudun, bo pielęgnował marzenia o wskrzeszeniu Inkwizycji, która stałaby się użyteczną bronią polityczną w jego ręku. Poza tym Grandier powinien był być ukarany. Laubardemont, który prowadził proces, był zausznikiem kardynała i działał w myśl jego poleceń.

A Matka Joanna od Aniołów? Przez szereg lat, tak jak inne zakonnice, dokonvwała niezwykłych wyczynów. Kiedy mniszka, pod wpływem zaklęć księżv próbujących z niej diabły wygonić, skacze pod sufit, robi doskonałe szpagaty, przegina się w tył, tak że czubkiem głowy dotyka pięt, i w tej pozycji obchodzi kościół, miota potoki sprośności wobec których nie dość dobitnym zdaje się język Rabelego — jest na co patrzeć i jest czego słuchać. Zrobiła zresztą na tym opętaniu wielką karierę. Diabły (był to, nie natychmiastowy, co prawda, skutek zabiegów

świątobliwego Jezuity, Józefa Surin), dały za wygraną i odchodząc wyryły na jej ręku stygmat : całkiem wyraźnie było widać słowa : ,,St. Joseph''. Matka Joanna weszła wtedy w fazę życia świątobliwego i zdarzyło się, że w ciężkiej chorobie zjawił się jej, jak zapewniała, sam Św. Józef, który namaścił ją balsamem. W czasie triumfalnej podróży po Francji jaką odbyła Matka Joanna, tłumy wiernych cisnęły się, aby oglądać jej nocną koszulę z kroplami balsamu. Koszulą tą, wypożyczoną przez dwór, okryto królową-matkę, gdy wydawała na świat dziecko mające nosić imię Ludwika XIV-go.

Jesteśmy dzisiaj już bardzo dalecy od wolteriańskich kpin z zacofania — bo świadomość, że wylęgliśmy nowe fanatyzmy przytarła nam nieco rogów. Czy i w jakim stopniu zakonnice wierzyły, że są w mocy diabłów? Czy i w jakim stopniu wierzyli w to egzorcyści i prokurator? Takie pytania nas przede wszystkim interesują. Ale należy wystrzegać się stawiania ich zbyt prosto. W zakonnicach było wyraźne rozszczepienie osobowości. Pod wpływem egzorcystów (którzy, dzięki sile sugestii, naprawdę spowodowali opętanie) popuszczały sobie cugli, nie bez niewyznanego liczenia się z własnymi korzyściami; ale wtedy druga, głębsza warstwa ich osobowości dochodziła do głosu i trans już stawał się rzeczywisty. Każdy stan głębokiej wiary budzi gwałtowną chęć zaprzeczenia wierze, bluźnierstwa — twierdzi autor. Szatan był niemal dotykalny w ciągu wielu stuleci bo stanowił wielkie p o k a z y w a n i e j ę z y k a przez zawsze krnąbrną część ludzkiej natury. W tragi-komedii z Loudun nie mamy do czynienie z demonizmem najwyższej próby. Matka Joanna, zarówno w swoim szale jak później w okresie świątobliwości, była przebiegłą komediantką (grającą oczywiście wobec siebie samej). Mnisi, torturujący księdza Grandier, pomagali jak mogli diabelskim cudom środkami całkiem przyziemnymi. Kardynał Richelieu uśmiechał się cynicznie.

A przecie w to wszystko był wplątany człowiek z całkiem innej gliny : ojciec Surin. Na jego przykładzie autor chce pokazać, że a u t e n t y c z n e życie wewnętrzne jest czymś głębszym niż terminy jakimi ktoś się posługuje. Surin, łatwowierny, wierzył w opętanie Matki Joanny i chciał ją ratować. Kiedy z kolei on sam uległ opętaniu i przez długie lata żył w śmiertelnej grozie wiekuistego potępienia, nie podziw nad fałszywością istoty ludzkiej to w nas dziś budzi, ale współczucie. Bo Surin padł ofiarą narzuconej sobie ascezy — dlatego nadmiernej, że nie chciał uznać, że do Boga idzie się tylko p o p r z e z świat, a kto chce sięgnąć do niego bezpośrednio i w abstrakcji od świata, pada często ofiarą tych sił w nim samym które pokazują język. Jego postać w monografii — jak również opis ostatnich chwil księdza Grandier, który przed śmiercią wzniósł się do wyżyn prawdziwego chrześcijaństwa — są niezbędne, aby nadać opowieści równowagę zgodną z zamiarem autora. Ten zamiar leżał, jak to widać, poza opisem czysto obyczajowym i poza ironią. Książce można wiele zarzucić : jej części teoretyczne są zbyt

wyodrębnione, za mało związane z akcją i psychologią osób, poza tym niektóre tezy budzą wątpliwości. Ale szacunek dla bogactwa wewnętrznego człowieka, istoty na pewno bardziej niezwykłej niż diabeł na Łysej Górze, bo zawierającej w sobie i tego diabła — jest ukazany, a to najważniejsze.

◆

Na szereg lat przed Huxleyem, polski autor *) sięgnął do tych samych francuskich źródeł. U niego Loudun zmieniło się w miasteczko Ludyń pod Połockiem, o spalonym księdzu Grandier wspomina się jako o księdzu Garncu, a z opętaniem Matki Joanny walczy ksiądz Suryn, wilnianin, z klasztoru oo. Jezuitów w Połocku. Jeżeli Huxley nie jest pisarzem o talencie malarskim, to w każdym razie zebrał on w swojej monografii mnóstwo szczegółów obyczajowych, które pozwalają czytelnikowi wyobrazić sobie to kłębowisko intryg jakim było każde miasteczko (i Francja) owego czasu. U Iwaszkiewicza tło prawie wcale nie istnieje i na próżno próbowaliśmy zobaczyć ów kresowy Ludyń XVII-go wieku. B r a k r z e c z y w i s t o ś c i jest, jak się zdaje, chorobą tego pisarza, którego walory, przede wszystkim językowe, lepiej zaznaczyły się w poezji, niż w prozie. Atmosfera, doznania zmysłowe są jego dziedziną, ale to nie wystarcza kiedy chodzi o przedstawienie codziennego życia większej liczby ludzi. Ta choroba autorów polskich była niemal powszechna i raczej wyjątkiem było *Dwadzieścia lat życia* Uniłowskiego (proza, zważmy to, na pograniczu pamiętnika). Ludyń Iwaszkiewicza nie wiadomo jaki jest — kto tam mieszka, czym się mieszkańcy zajmują, kto są ci miejscowi katolicy itp. Może wolno jest czasem pisarzowi nie wspominać o tym co czytelnicy dobrze znają, naszkicować to kilkoma tylko kreskami. Ale na pewno nie tam gdzie chodzi o minione epoki historyczne. Wymagania wobec autora beletrystycznej prozy są tu nawet surowsze niż wymagania wobec historyka i monografisty.

Jedna z zakonnic skarży się u Iwaszkiewicza, że odkąd diabły je opętały przestano im przysyłać z okolicy dary i głodują. Jest to błąd wynikający z niezbyt jasnego uzmysłowienia sobie tła. Wręcz przeciwnie, opętanie było dla sióstr w Loudun niezwykle intratne i dopiero kiedy stały się tak sławne jak dziś wybitni bokserzy czy gwiazdy filmowe, spiżarnie klasztoru zaczęły opływać we wszystko.

Natomiast dzieje księdza Suryna, który z miłości do Matki Joanny godzi się, aby diabły opuściły jej ciało i aby wstąpiły w niego — są przejmujące. Ksiądz Suryn, pragnąc aby Matka Joanna została zbawiona, bojąc się żeby diabły nie rozmyśliły się i nie wróciły znów od niego do niej, chwyta siekierę i popełnia morderstwo; w ten sposób jest związany z diabelstwem na zawsze.

---

*) Jarosław Iwaszkiewicz. Opowiadanie *Matka Joanna od Aniołów* w tomie *Nowa Miłość*, „Czytelnik", Warszawa, 1946.

Przeróbka jakiej uległa u Iwaszkiewicza postać ks. Surin jest znamienna. Szukanie przede wszystkim w pobudkach erotycznych wytłumaczenia ludzkich postępków było bardzo rozpowszechnione u autorów z pierwszej połowy bieżącego wieku. Nie jest to samo w sobie ani całkowicie słuszne, ani całkowicie niesłuszne, ale zbyt często przeszkadza w odkryciu innych, nie mniej ważnych motywów, które zresztą mogą być powiązane ze zbyt już sławną erotyką. Matka Joanna przez swoje brzydkie chucie spowodowała śmierć księdza Grandier, nie była też od tego żeby i do księdza Surin robić słodkie oczy. Ale jeżeli gorące chętki wyjaśniają niektóre sprawy, nie znaczy jeszcze, że wyjaśniają wszystkie. Opierając się na listach ks. Surin i dziełach o ćwiczeniach duchowych jakie zostawił, skłonni dziś jesteśmy, w wieku wielkich ideologicznych konfliktów, przyznać większą rolę szamotaniu się ks. Surin między siłami zła i dobra, jego bogatemu życiu duchowemu w którym dręczący go problem zbawienia rozwijał się autonomicznie.

Autor ma zresztą prawo przekształcać zaczerpnięty z kronik materiał. Jeżeli o tym wspomniałem, to dlatego, że zajmowałem się tu bardziej samą aferą w Loudun-Ludyniu, niż książkami o niej traktującymi.

MIĘDZY BEREZYNĄ I DNIEPREM

Nikt ostatnio w Polsce, a chyba i prawie nikt na emigracji nie słyszał o olbrzymim tomisku jakie ukazało się w r. 1942 w Buenos Aires — o powieści nieznanego zupełnie autora *). Dopiero po artykule Melchiora Wańkowicza (w ,,Kulturze'') zaczęto gdzieniegdzie tę książkę czytać i doradzać jej przeczytanie w listach do przyjaciół.

Byłem jedną z ofiar : wystarczyło jednej stronicy, żebym uległ wpływowi tego narkotyku i przeczytał jednym tchem 577 stronic dużego formatu. Gdyby państwo zmobilizowało największe jakie sobie można wyobrazić środki finansowe, gdyby zamykało na klucz setki najzdolniejszych autorów w ich celach wymagając od nich codziennej porcji zapisanego papieru — wątpliwe jest, czy przyczyniło by się to do powstania równie ciekawej powieści jak ta, napisana przez człowieka zarabiającego na życie w argentyńskiej fabryce. Jest możliwe, że czytelnika przyciąga coś, co łączy się z jego lekturami z lat dziecinnych. W powieści Czernyszewicza są ,,Krzyżacy'', ,,Potop'' i ,,Pan Tadeusz'' równocześnie. Bohaterowie trochę zbiednieli od dawnych czasów Polski szlacheckiej, ale dzieje Kościka Wasilewszczaka, ,,leśniczonka'' i Karusi Sokołowszczanki z zaścianku Smolarnia nic nie tracą przez to z malowniczości.

---

*) Florian Czernyszewicz. *Nadberezyńcy*, powieść, Buenos Aires, 1942. Str. 577, cena 750 frs.

Nakładem Stow. Literatów i Dziennikarzy Polskich w Argentynie ukazał się obecnie II-gi tom pt. : *Wicik Żywica*, Buenos Aires, 1953, str. 310, cena 650 frs.

Okres mniej więcej 1908-1920. Gdzie szukać w literaturze polskiej obrazu wydarzeń tego okresu? Kilka książek Struga, Kadena i Żeromskiego? To nie wystarcza. Jak w życiu jednostek są „białe plamy" pamięci, rozciągające się nieraz na szereg lat, tak są i białe plamy w pamięci narodów. Przyczyny można wymienić różnorodne. O jednej z nich trzeba tutaj wspomnieć: literatura polska która by mogła ten temat poruszyć, była „inteligencka", a więc, z jednej strony, pole obserwacji powieściopisarzy ulegało ograniczeniu, środowisko oglądane było wąskie; z drugiej strony bohaterowie powieści musieli odznaczać się niezbędną komplikacją, być „na poziomie", bo publiczność inteligencka i krytyka tego wymagały — i nie wiele miejsca już zostawało na fakty, na wypadki, na historyczne tło. Żeromski próbował przedstawić to tło, ale np. jego „Przedwiośnie" zaczyna się w Baku, następnie miejscem akcji staje się dwór w Nawłoci (dwór — to najlepiej znane polskim pisarzom środowisko) a wojna 1920 roku jest białą plamą. Co nie zostało odnotowane przez pisarzy, odrobić się nie da. Gdyby dzisiaj w Polsce jakiś autor przedsięwziął napisanie powieści historycznej z tych lat, natrafiłby na nieprzezwyciężalne przeszkody, bo temat — bardzo jednolitej walki Polaków przeciwko Rosji — jest drastyczny. Nawet zakładając że miałby talent Szołochowa i umiałby pokazać dialektycznie walkę przeciwieństw, zbyt widoczne byłoby w jego utworze przekonanie, że, tak czy owak, wywalczenie niepodległości było zyskiem narodu a nie, jak zakłada punkt widzenia oficjalny, klęską. Dla przekonanego komunisty też nie wydaje się rzeczą pewną, że przybycie Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i Kohna do Warszawy w 1920 r. i los Polski taki jak los Ukrainy byłyby szczególnie godne zachwytów.

Więc okres 1908-1920 — oglądany nie od „góry", ale od strony wielomilionowych rzesz? Tak, ale gdzie to się odbywa? Między Berezyną i Dnieprem. Granica traktatu ryskiego mogła równie dobrze przebiec na wschód od tego obszaru — pod względem rozwarstwienia językowego te okolice Bobrujska nie różniły się szczególnie od wielu powiatów jakie znalazły się wtedy w Polsce. W szkole w miasteczku Wończa do której chodzi przed I wojną światową jeden z bohaterów powieści jest „Żydów 16 %, Polaków 12 %, Tatarów 4 %, a reszta wszystko Białorusini albo starowiercy". Gdyby tak się stało, gdyby ten obszar, który na starych mapach francuskich przedstawiających Polskę XVIII-go wieku figuruje jako „le Palatinat de Minsk" został objęty granicami nowopowstającego państwa, Kościk Wasilewski zrealizowałby pewno swoje marzenia o zbudowaniu chaty ze świetlicą wysłaną wilczymi skórami i żyłby szczęśliwie ze swoją Karusią. Nieszczęście spadło by na nich dopiero w 1939/40 roku; bo wszyscy bohaterowie książki są tym podejrzanym elementem, który sąsiad wschodni uważał za stosowne po 1939 roku ładować w wagony i deportować. „Obcość klasowa" i „obcość narodowa" splatały się tutaj ze sobą: Polak był gajowym, albo siedział w „okolicach" i na chutorach

— a politycznie uchodził za ,,miatieżnika'' (bo nie kochał dobrego cara, ,,opiekuna chłopów'') a później, za ,,kontrrewolucjonera''. Syn Kościka i Karusi prawdopodobnie zwiedziłby pobrzeże Oceanu Lodowatego, a później biłby się w Italii.

Nie snujmy jednak przypuszczeń. Powieść Czernyszewicza urywa się w chwili, kiedy w Bobrujsku stoją wojska polskie, a zaścianek Smolarnia jest już po drugiej stronie frontu. Delegacja zza Berezyny przychodzi z żądaniem, dla niej oczywistym :

,,Panie generale, ja przyszedłem prosić pokornie, ażeby pan naszą zaberezyńską ziemię raczył przyłączyć do Polski''. I argumenty : ,,Panie generale, strony nasze nie gorsze od tutejszych, ani ziemią, ani narodem. Nawet jeszcze lepsze. Co prawda, jest parę dzikich błot i parę kawałków piaszczanej wydmy też jest, ale w większej części to ziemia spadzista, czarnoziemna, godna na chleb i na las. Lasy u nas nieskończone, a stare i drogocenne. Są dęby w naszych puszczach, że przed wojną 40 rubli za sztukę płacili. Łąk tak urodzajnych i pożywnych, jak u nas, w całej gubernii nie znajdzie się''. ...,,I gęsto jest wsiów polskich — miejscami gęściej nawet niż po tej stronie rzeki. Ot, koło nas na przykład, Smolarnia, Jamy, Polanki, dalej Mohilnic, Lizuny, Żerdzianka, Wieżgajłowo, Turkacze, Sakatuszki, Maślaki, Michałówka, Podgarle, Szpyrki, Szeptuny, Grodzianka, Glinokopy, Birki Małe. To tylko zaścianki, a prawie drugie tyle mieszka obok nich na chutorach. Teraz wymienię drugie pasmo zaścianków...''

Czas staje w miejscu; oto rok 1812, ,,Pan Tadeusz'' i słowa zwrócone przez Jankiela do generała Dąbrowskiego : ,,Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza /Czekała długo, jak my Żydzi Mesyjasza''. I referenem powieści Czernyszewicza może być inny dwuwiersz : ,,O wiosno ! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju/ Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju !'' Nie jest łatwo uporać się z tą powtarzalnością historyczną. Z powtarzalnością i z innością historycznej sytuacji : tam, na wschodzie był teraz Trocki, Lenin, tam płomienne poematy pisał Majakowski — i z nimi była sympatia ,,cywilizowanego świata'', nie z ,,białymi Polakami''. A w Polsce, niezależnie od systemu, dopóki młodzież będzie czytać literaturę polską, istnieć będzie automatyzm świadomości : nadzieja przychodzi zawsze z zachodu — głęboko zakorzenił to w umysłach wiek Oświecenia, napoleońskie legiony, ruchy w okresie Wiosny Ludów. Nawet gdyby system zupełnie inny, nie mający w sobie nic z rosyjskiej ekspansji, przychodził ze wschodu, natknąłby się w Polsce na wielkie opory.

*

Powieść Czernyszewicza to dzieje porażki. Osoby działające wierzą w ,,Królestwo Polskie'' (kiedy po raz pierwszy spotykają się z polskim wojskiem dziwią się, że w Warszawie nie ma króla). Wierzą w potęgę polskiego oręża (w owej chwili,

kiedy decydował jeszcze karabin i szabla, wcale znaczną). Polska zostawia ich poza swoimi granicami. To porażka jedna, ale jest i druga, którą przynieść miały dopiero lata 1920-1939. Jako motto swojej powieści Czernyszewicz kładzie zdanie : ,,Nie za burżujów idziemy''. Kościk, Stach i Kazik, trzej główni organizatorzy walki z bolszewikami, z oburzeniem odpierają zarzuty że biją się za panów. Polska jest dla nich wizją sprawiedliwości, wolności, opieki nad pokrzywdzonymi. A więc nie tylko jest swoja i katolicka — również reprezentuje pewien program, który musi zostać wcielony w życie p o n i e w a ż jest słuszny. Na pytanie : ,,Jakaż tedy wasza programa ?'', odpowiadają : ,,Przyznać, w granicach nieszkodliwych rozwojowi innym, własność, znieść stany, zrównać wobec prawa, klasy i narodowości ; dać wolność mowy, wierzeń, pisma i zawodu, umożliwić służbie dworskiej, chłopom małorolnym, nabycie koniecznej do życia ziemi, zaś ubogim rzemieślnikom założenie własnych warsztatów i udostępnić wszystkim naukę. Majątki ziemskie, dwory, fabryki zatrudniające więcej niż członków jednej rodziny, kopalnie, banki, komunikacje publiczne użytku, nadmiar kamienic czynszowych — upaństwowić''.

Gdyby ktoś im powiedział, że te, rewolucyjne bądź co bądź, poglądy są ,,bolszewickie'' rozwaliliby mu łeb. Lata Dwudziestolecia przyniosły zepchnięcie owej programy do rzędu ,,pomysłów bolszewickich'' i nastąpiło zblaknięcie wizji Polski sprawiedliwej. Naiwna wiara zaberezyńskich chłopców może stać się przedmiotem szyderstwa ze strony zwolenników historycznego determinizmu. Niech jednak, szydząc, przypomną sobie *Cichy Don* Szołochowa, który przedstawia tę samą epokę. Zdaje się, że wizji i ,,programy'' brakowało zarówno kozakowi Melechowowi jak innym Białym, a monopol na dziedzictwo wielkich ruchów społecznych XIX-go wieku zagarnęli w wojnie domowej od razu bolszewicy. Natomiast u Polaków w 1919-20 roku wizja istniała — i skutki tego były całkiem istotne.

Książka Czernyszewicza jest nieporównanym rysunkiem obyczajów. Wolę ją niż *Chłopów* Reymonta, bo będąc słabo związany z Polską centralną nie umiem ocenić czy reymontowski język i chłopska egzotyka są prawdziwe. Podejrzewam, że ta egzotyka ,,tężyzny i krzepy'' jest w *Chłopach* fałszywa. Język postaci Czernyszewicza jest mi znany od dzieciństwa, obyczaje bardziej swojskie.

Literacko, powieść leży w tradycji polskiej prozy z okresu pozytywizmu, co może jest lepiej, ponieważ autor dzięki temu jest wolny od późniejszych chorób stylu, które nieraz zachwycały krytyków, ale dość szybko okazywały się złudnym tylko wzbogaceniem artystycznych środków. Prostota, celność określeń, równowaga pomiędzy opisem i dialogiem cechują książkę i są wynikiem bardzo prostego widzenia świata przez autora. Wadą zdaje się być rezonerstwo niektórych rozmów co siłą rzeczy, zmusza do użycia języka ,,książkowego''.

Proste widzenie świata — a więc ,,talent samorodny'', piszący jak mu serce dyktuje. Tutaj trzeba przypomnieć, że w Pol-

sce bardzo rozpowszechnione było traktowanie jako ,,pełnowartościowe'' tylko tych dzieł, które zostały obwąchane przez literacką kawiarnię. A przecież *Pamiętniki chłopów* czy *Pamiętniki emigrantów* są trwalszym pomnikiem polskiej prozy niż setki powieści napisanych w Dwudziestoleciu przez zawodowych literatów. Majsterstwo pisarskie Czernyszewicza wcale nie jest nieporadne — przeciwnie, widać na każdym kroku umiejętność rozłożenia efektów, pełen humoru dystans do opisywanych postaci.

Jeżeli, jak słyszałem, Czernyszewicz pracuje nad dalszymi tomami, grożą mu chyba niebezpieczeństwa. Są dwie, skrajnie różne, metody twórczości. Jedna jest oparta na instynkcie — opisuje się sprawy i ludzi tak jak zjawiają się w naszej pamięci, nie troszcząc się o literackie recepty. Druga metoda wymaga pełnej świadomości tego co się robi, wymaga nauki, nie w sensie uniwersytetów itp. ale w sensie przejścia przez pewne fazy właściwe literaturze czy filozofii współczesnej. Pomiędzy tymi dwiema skrajnościami jest wiele stadiów pośrednich, w których instynkt został stępiony a pełna wiedza nie została osiągnięta (co się ciągle zdarza dzisiaj np. w Polsce). Pełna świadomość ma to do siebie, że zapewnia całkowitą swobodę instynktowi — ale kto z piszących może się dzisiaj tym pochwalić? Należy życzyć Czernyszewiczowi, żeby starał się być wierny temu co sam naprawdę przeżył i widział, bo wierność wobec rzeczywistości jest, zdaje się, najpewniejszym środkiem gdy chodzi o zachowanie praw pisarskiego instynktu.

Czesław MIŁOSZ

Pieśń domu

Jesienią spadają wiatry
I biją w stary nasz gruchot,
150-*letni dom,*
I trzęsą drewnianą ruderą
Pełną szpar, szumów i szmerów,
I jęczy w krokwiach i drzwiach
I w okiennice łopoce
Bezsensowny przybysz, strach,
W te bezsensowne noce.

Gnomie natrętny,
Czymże ty chciałbyś mnie jeszcze przerazić?
Za dobrze na sztuczkach twoich się znam
(Choć przyznaję, że czasem wyłazi mi bokiem,
Jak zimno spod podłóg i źle zbitych okien,
Cały ten kram).

Radzę ci, nie chodź po dachu,
Na próżno się nie włócz po strychu,
Nie jęcz też poza węgłem
Przeciągle ani po cichu,
Wszystko z wiatrem przeminie :
Wiadomo, spaczone trzaskają belki
I twój harmider groźny i wielki
To pandemonium zamieszek
W kominie.

Co prawda tu i tam listwa osłabła
I coś się w skrzypiącym werku popsuło
I w zanadrzu czerwia mam, diabła
Z gogolowską upiorną fabułą,
I ciągnę tak z roku na rok,
Od lat już, zgodzisz się, wielu,
A ty wciąż : straszno, pusto i mrok.
Po co?
Zastanów się, śmieszny
Mój straszycielu.

Co mówisz? Głusza?
I melancholia, w którą mnie wtrąca
Samotność przez długie wieczory
Zadręczająca?
I gorycz?
Wiem, nie poskąpisz mi tego specjału,
Alembiku wystałej goryczy,
Ale po mału,
Mój kusy bracie:
Wiem też, że tylko to się policzy
Co kto wytrzymał a nie co kto stracił.

Sto razy miażdżony kto wstawał,
Zbierał kości, doszczętnie rozbity,
Z gołą pięścią pchał się przez nawał
Gruzów, gdy się ze światem waliły,
I nie zaznał niczyjej pomocy
I jeśli od kogo co brał
To przykazanie mocy
Od kamienia i skał.

Więc żadna nie zetnie mnie z nóg
Nawet najbardziej gorzka gorzała
I jeszcze wydoła szczerbaty próg
I brama się będzie trzymała
I rozklekotany w gontach dom
Spiczastym dachem jak żaglem
Pochwyci wiatry, popłynie jak prom
Pod niebem chmurnem i zdartem
I wszystkie losy, dobre i złe,
Porosłe mszystą warstwą na warstwie
Zmiecie do kąta na ciemnem dnie
Jak Noe na gospodarstwie,
Nie zbije się z kursu, na mapie wód
Nie przerazi go pustka dzika,
I hardo będzie się wiódł
Według własnego tropu
Śród burz i potopu
Stary władyka.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Przedmieście na przedzimiu

W ciasnym staniku z cienkiej gazy
Tęga blondyna kręci włosy
W oknie. Nad gazem grzeje rurki,
A potem szybko, pół ubrana
Palcami ściska czerwone żelazo.
Gdy syknie, chwieje nim w powietrzu.
A później świetnie zwija loki.

Ciężkie i niejasne obłoki,
Czarne, niezdarne pagórki przedmieścia,
Bocznica kolejowa, wodna wieża
Z szarego cementu wkopiowana w niebiosy.
Żaden obraz, życiowe przyzwyczajenie
Z niezdrową, spękaną cegłą kościoła
Opasanego przez niskie, cmentarne murki.

Zapada zmierzch w powietrzu czarnym.
Z kościoła dzwon bezmyślnie woła.
Blondyna zamyśla się na mgnienie.
Z chmur lecą twarde, śliskie krupy,
A potem szumią pierwsze płatki śniegu.
Dziewczyna unosi rurki i szorstko przykłada je,
Zbijając kędzior za kędziorem w złote grudki.

Wreszcie wyfiokowana głowa świeża
Zastygła w kruchych kwiatach z rusztu.
W mieszkaniu z wonią mięsnej zupy
Zapach złotych włosów przygrzanych rurkami się miesza.
Za oknem śnieg z kaszą perłową cicho pada.
Zabielona trawa w kurzu śniegowej rosy
Błyszczy, jak zimne, szklane oczy tłustej młódki,
Która skończyła w kuchni kręcić włosy.

Dama w jedwabnym płaszczu deszczowym

W nyży ulicznej, gdy niska latarnia
Garść siwych winogron gazowych,
Jak rzadkich pereł kiść ciska
Na skąpy, ziarnisty, pryskający deszcz,

Z czoła zlepione włosy odgarnia,
Stojąc na deszczu w kapturze różowym
Woda pije mgłę, mlaskając pode mną.
Samotna dama. — Rosochaty leszcz
Grubymi gronami jesiennych orzechów
Potrząsa, trzeszcząc we wnęce pod murem.
Nierzadko wspólnie na bruki wypryska
Z leszczu i deszczu połączony gruchot
Obu gatunków pereł, jak sturamienny świecznik w okna teatru,
Gdy wiatr naciera zbyt mocno na deszcz,
Spaźmując dziko w samotnej leszczynie.

Na zmiennym tle muru, latarni i wiatru,
W kołysie cieni, nakryta kapturem
Kobieta czeka. Z ulicy jedynie
Widać ścięte przez światło dwa stożki niebieskie
Jędrnego biustu, tam, gdzie przemókł płaszcz.
Nikt nie wie prócz mnie, że szczupła, wykwintna kobieta
Stoi na deszczu samotnie bez ruchu.
W kapturze bieleje młoda, choć zniszczona twarz.
Całej postaci nie widać, bo cienia
Pasma ją skryły przyszyte do ścieków
Szemrzących u nóg bezładnie i głucho.
Dalej jest tylko noc miejska i park,
Bezlistne drzewa, rząd domów za murem i gwasz
Nieoświetlonej dzielnicy. Więc świecą się tylko :
Latarnia i damy jedwabny płaszcz.

A jeszcze się świeci głowa w kapturze i zmienia
Barwę, gdy tylko niska latarnia i deszcz
Razem się chwieją, i kolor i głowa z cieni wypłynie.
Nie widać oczu, tylko dużych warg
Mięsisty kwiat, jakby tchnieniem wiatru
Targany, jęknie. W strugach opadu rozpycha się krzew
Leszczyn we wnęce. Gwałtownieją ścieki,
Drży latarnia, twardy orzechów sypie się groch
Na mur. Kanałów i ścieków zapach surowy
Włazi do gardła, odbiera oddech, drażni powieki.
Deszczu wzmaga się szloch. I widać znowu te same niebieskie
Stożki stromego biustu pod płaszczem deszczowym.
Gdy razem zanoszą się płaczem zziębnięta dama i deszcz,
Oboje opięci w cienki, różowy, z drżącego jedwabiu płaszcz.

Szkarłatny kwiat

Szkarłatny kwiat, jak język wołu,
Mięsisty zwisa z czarnej kępy
Jesiennych krzów, samotny ogromnie.
Jedyny, jak znak, że zima idzie.
Wygląda, jakby wszystkie krzewy
Przed snem go wsparły, aby soki,
Barwy, zapachy do kielicha
Zlać i wystawić je po społu,
Centkując złotem słodkie strzępy
Płatków, jak gruby, ścisły zwój koronek.
A na dnie rosy srebrny dzwonek
Usiadł i tkwi zalśniony skromnie.

Nie ma nikogo w okolicy.
Nawet i ptak co grzebał w gąszczu,
Skacząc wśród liści, mchu i trawy
Drzemie, i w drzemce wciąż połyka
Tłuste pędraki, gąsienice,
Białawe zwłoki mdłych chrabąszczy,
Aksamit ćmy, choć śliczna, miękka,
Ale niesmaczna, jak panienka
Wątła i wąska, gdy w latarni
Niepewnej z gazu, szkła i łez
Ukarminować chciała wargi.

Pustka. Perski bez
Śmiesznie schlapany od południa
Spóźnionym kwieciem, nikłym lila
Zakrasił krzew. Może w tej właśnie ciszy polnej,
Gdzie tyle chłodu, krzów i skargi,
Tyle wytrwania, dziki kwiat
Jest świadkiem życia?
— Nagle świat
Jakby się ocknął z dookolnej
Martwoty.
— Jeszcze chwila,
Huk rozdarł pejzaż i spod darni
Zielone ślepia trwożnie błysły.

Pociąg wyskoczył. Gromko dudni.
Skanduje, dymiąc.
— Siadł
Na horyzoncie dym gwiaździsty,
Co ciszę jeszcze długo karmi,
Wiejąc w dolinę, jak do studni.

Spacer nad stawami

Garść starych liści jesiennych
Popod nogami buty kruszą.
Już mrok i zwiędły zapach trawy,
Siność nad rowem, wczesnej mgły
Uparty welon z mdłego pluszu
Opada nisko na dwa stawy
Z zamkiem na wyspie. Niskopiennych
Krzewów różanych świeci mnóstwo.
Na grobli sterczą czarne mnichy,
Zrudziałe zioła i ubóstwo
Bezlistnych klonów w bok za kładką.

Stróż z zamku wyszedł w skórzanym fartuchu.
Karmi karpie. Rzuca groch,
Okruchy bułek, biały ser.
Potem podnosi wód przegrodę,
Jak pasterz bicz do uderzenia.
Raptem otwarty mnich rozdarł wodę.
Runęły bryły cieczy, trzeszcząc, jak srebrny zyp.

Potem nastaje omal cichy wieczór.
Łagodny plusk srebrzystych karpi
Jedzących żywność, zamek w ruchu
Czarnych granitów, pstry od skier
W okienkach o zachodzie.

W rowach przydrożnych szkli się rdza
A dalej rzęsy złoty szloch,
Chłód nadchodzący, jakby szarpi
Zapach, jodyny woń i martwych liści
Leżących w kruchej, zimnej wodzie,
Która się w mnichu czarnym czyści,
W czeluści szemrze, i na spodzie
Wielkiego lochu płacze, szarpiąc z dna
Kryształy, liście, myjąc loch.

Wazony

Gdzie widać lśniącą, miedzianą pokrywkę
Na półce, szklany dzban, białe, gęsie pióro,
Stoją z tłustej gliny zmieszanej z popiołem
Wąskie wazony utoczone szorstko.

Z grudką ówdzie z ziarnistego szkła.
Podrzezane wierzchem gładko nożem z drzewa
Ukazują piaszczystą podsypkę
I kołnierz zalśniewający różową glazurą.
Wabią razem : popiół, glina i polewa.

Sławne, wiejskie wazony : Sprzedawane pod kościołem,
Gdzie dziewcząt kuca w słońcu popod murem sto,
Jak wesołych ptaków stado rzutkie,
By trzewiki wzuć, przegiąć zręcznie giętki stan,
Otrzeć pyłek zielny z włosów, jak motyla ślad
O zielonych pręgach. Gdzie otyłe baby
Proszą, by je omijano z przodu, bo zapaski krótkie.

Gdzie też z muru kamiennego
Zwisa dzikich bzów kandelabr
Obsypany milionami drobnych świec.
Co się ruszy, to nasypie pachnącego
Kwiecia dziewkom za koszule,
I we włosy, za staniki, gdy schylone
Pracowicie zują stopy
W czarną skórę, że się tańczyć chce i biec.

A wazony rozłożone na murawie
Odbijają zwięzłe ciała. I buciki
Skrzypią żwawo.
Odpust będzie, gdy na ławie
Po kościele jękną skrzypce, westchnie klarnet,
Piśnie trąbka, basy brzękną od muzyki. — Hej! Ha!

Ślad

Zanim zimy kryształowe młoty
Bić będą z lodu zamieć, i nim zaspy kruche
Zaszklą rowy skorupą, sączą się słoty
Trzęsieniem wiotkich, cieknących strumieni.
Liścia rdzawego deszcz sporo rozchucha
W kątach ogrodów, gdzie lśni świeże wapno, i cieni
Pokłady leżą razem, i stożek się mieni
Za przełazem, w słońcu, skąpego sitowia

Wilgotny podmuch od pastwiska powiał
Żwawą miętą, krów sierścią, kretowisk kopcami.
Dym z ogniska się podniósł. Jest wieczór i ciemno.
Cicha noc. Rzeka polśniewa czystymi falami.
Ryby śpią twardo. Rzeźko w nozdrzach od rosy.
Krąg mgły na rzekę padł.

Czas wracać. — Dokąd? —
Czas wracać. — Którędy?
Dobrze, że mam z kim, bo w jesienne rzędy
Grubej kukurydzy wszedł księżyc i świeci.
Po rzece, po rosie, po czubkach trzewików
Mknie ciche światło, drży i przenika.
Skrzy się przez trawy, otarłszy o brzegi
Rzeki tak zimnej, jak wargi zamieci,
Pełzając łąką, jak fosforyczny ślimaka ślad.

Anusi

Biały kotek przyniósł pączek.
Świeżej róży dla córeczki.
Mokry nosek w róg fartuszka
Wytarł, mrucząc u jej rączek.

Nastawiła córka uszka,
Głaszcząc kotka, rwąc porzeczki
Do dzbanuszka. Potem siadła.
Słodkie z kotkiem grona jadła.

Pączek w złoty włos upięła
Ślicznie, choć i bez zwierciadła.
A na pączku modra muszka
Z szczęścia głęboko usnęła.

Marian CZUCHNOWSKI

◆

Stowarzyszenie Literatów i Dziennikarzy Polskich w Argentynie ogłosiło subskrypcję na poemat Józefy RADZYMIŃSKIEJ pt.: Opowieść o cudzoziemcach.

Cena tomu wynosi 5 sh. Zamówienia można kierować na adres OFICYNY POETÓW I MALARZY, 69a *Grosvenor Road, TUNBRIDGE, Wells, Kent.*

Impresje lotnicze

PROSTOKĄT

(Z 7-ych Krajowych Zawodów Lotniczych)

Mam wylądować w prostokącie 30x100 metrów. Od tego zależy pięć punktów dla Lwowa. Robię ostatni zakręt do lądowania... nisko i daleko, na dnie jesiennego czystego powietrza, leży na zieleni lotniska biały prostokąt, wytyczony płachtami. Jeżeli spadnę przed prostokątem, skończę wybieg za prostokątem, lub przetnę boczną linię, stracę całe pięć punktów dla Lwowa.

Nie chodzi mi o moją wygraną czy przegraną. Nie mam złudzeń. Lecę bez treningu. Naszych czołowych pięciu pilotów, którzy trenowali tygodnie całe, powołało wojsko na manewry w przeddzień zawodów. Pozostał nam jeden pilot z treningiem, jeden zapasowy, — i ja, wstawiony w ostatniej chwili, aby skompletować trójkę.

Wszyscy wiedzą, że to ja jestem tym, który położy lwowski klucz. O tym że nie miałem treningu, nikt już nie pamięta. Jeżeli klucz przegra, wszyscy będą wiedzieli, że to przeze mnie.

Przed startem przyszedł do mojej maszyny Staszek K.

— Bolek! Rozmawiałem z Warszawiakami i Gdańszczanami. Wszyscy już nas pogrzebali... przed zawodami. Nawet taki słaby Poznań odgrażał mi się. Pomyśl, co by to była za frajda, dać im wszystkim w d...!

— Idź do diabła! — ale się uśmiechnąłem do tej myśli.

— No, ja nic nie mówię... — i odszedł śmiejąc się.

Teraz sam patrzę w prostokąt. Od mego lądowania zależy pięć punktów dla Lwowa.

Przymykam gaz i ściągam ster. Gdy maszyna zaczyna grzęznąć przez powietrze, zwiększam na tyle obroty motoru, by grzęźnięcie ustało, po czym dalej ściągam aż do grzęźnięcia. W ten sposób doprowadzić mam do tego, by samolot tonął przez powietrze, zadarty wysoko nad horyzont, wisząc prawie że na śmigle.

Takie lądowanie, — gdy się uda — jest bardzo krótkie. Można się jednak zwalić każdej chwili i jeżeli się przyjdzie za krótko lub za długo, nic się nie da poprawić. Wymyślił ten spo-

sób lądowania Stefan K. i pokazał mi je parę razy przed odlotem ze Lwowa. Przy pierwszych próbach podbiłem maszynę.

Teraz szedłem do lądowania na 1.300 obrotach a sterami rzucały mi wiry, spływające ze skrzydeł.

Pamiętam jak stopniowo z umysłu znikły wszystkie myśli, a został tylko prostokąt na zielonym tle. Pamiętam jak nerwy z ręki przeszły w końce skrzydeł. Pamiętam niesamowite skupienie i taką jasność i precyzję myśli i wyczucia, jakiej nigdy przedtem nie przeżyłem. Został prostokąt i ja, z nerwami w skrzydłach.

Wysoko nad ziemią wiedziałem dokładnie, że będę siedział tuż przed prostokątem albo na samej jego granicy. Na sekundę zwiększyłem obroty i dalej tonąłem prosto w taśmę na początku prostokąta. Wreszcie biała szeroka taśma mignęła pod zadartymi wysoko kołami i w ułamek sekundy później ostroga dotknęła ziemi. Wyłączyłem zapalanie i silnik stanął.

— Kapitalne lądowanie ! — usłyszałem głos mego obserwatora. Na tabliczce z boku przeczytałem 55 metrów. Niemożliwe ! 55 metrów bez hamulca. Odwróciłem się, aby zobaczyć taśmę i zdrętwiałem z przerażenia. Spod ostrogi ciągnęła się taśma za maszyną, zmięta jak szmata.

Siedziałem w maszynie ogłuszony i zrezygnowany, czekając, by mi mechanik zapuścił śmigło. Po chwili podeszło do maszyny kilku sędziów sportowych z żółtymi opaskami na ramionach. Patrzyłem na nich, milcząc.

— Jest pewna różnica zdań — powiedział mi jeden z nich. — Jedni z nas twierdzą, że ostroga dotknęła ziemi przed taśmą a drudzy że w środku taśmy. Musimy podnieść ogon maszyny. Jeżeli taśma jest przebita w środku, lądowanie jest ważne.

Patrzyłem wstecz, nie wysiadając z maszyny. Unieśli ogon samolotu, wzięli taśmę między siebie, oglądali przez chwilę, kiwnęli zgodnie głowami i jeden z nich uśmiechnął się do mnie :

— Ostroga przez środek taśmy. Gratuluję lądowania !

Gdy wystartowałem i z powietrza popatrzyłem jeszcze raz na prostokąt, myślałem długo i nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

,,Co to było ? Skąd wiedziałem tak dokładnie, gdzie ostroga dotknie ziemi ? Przecież tego lądowania nie potrafiłbym teraz powtórzyć. A jednak to nie był przypadek. Nerwy miałem w lotkach i wiedziałem, wiedziałem wszystko tak dokładnie i niesamowicie jasno. Co to było ?''

Dziś wiem, co to było. Przynajmniej tak mi się zdaje. Za kilka lat, może prędzej a może za kilkadziesiąt lat, będę wiedział na pewno.

Moje lądowanie nie było najkrótsze. Pobił mnie o całe sześć metrów Kocjan z Warszawy. Ten sam Kocjan, który w czasie wojny przywiózł do Londynu radiosprzęt z niemieckich bomb latających i rakiet. Ten sam, o którym pisze Churchill w swoich pamiętnikach i którego storturowali na śmierć Niemcy.

KLUCZ

(*Z 7-ych Krajowych Zawodów Lotniczych*)

Podniosłem rękę nad głowę. Z lewej i prawej podnieśli ręce obaj skrzydłowi. Opadły ręce, zahuczały motory i poprzez rozkiśnięte lotnisko, w fontannach brudnej wody z kałuż, wystartował klucz lwowskich ,,ósemek''. Wypłynęli w górę obaj skrzydłowi, już są obok mego statecznika. Mimo rzucań idą równo i spokojnie. W szarym od deszczu powietrzu kołyszą się białe skrzydła. Wyraźnie słyszę warkot obu ich silników.

Znak do zakrętu. Kilkadziesiąt metrów nad ziemią pochylił się klucz jak jedna całość. Wyprowadziłem na kurs.

Pułap może trzydzieści metrów. Z zastrzałów i skrzydeł spływa woda, pod maszyną mokną w oparach lasy. Szukam Nowosolnej, małej wsi z charakterystycznym skrzyżowaniem szos, gdzie mają stać sędziowie, oceniający zwartość i symetrię klucza.

Z lewej burty zjawia się droga, obsadzana drzewami. Delikatny zakręt i klucz grzmi już nad drogą. Wypadają z oparów pierwsze domy Nowosolnej. Skrzyżowanie dróg tuż pod moją maszyną... i klucz leci już nad polami. Mam uczucie satysfakcji, w tej widoczności przejść ściśle nad skrzyżowaniem, to nieźle.

Białe opary zwisają z nieba. Lekki nacisk steru i samolot mknie tuż nad polami. Zsuwam zmoknięte okulary z twarzy i patrzę na skrzydłowych. Obaj skrzydłowi idą tuż za moim statecznikiem, pola migają pod ich podwoziami. Klucz pędzi z jakimś ogromnym rozmachem. Ciągle mkną pola pod nami.

Busola zatrzymała się na kursie 50, mapa zaciśnięta w lewej dłoni. Trzeba sprawdzić, czy przed nami nie ma wysokich przeszkód. Są dwa duże obszary lasów, trzeba obejść, kurs 60. Wyskakuje las z lewej, idziemy samym jego brzegiem. Lewoskrzydłowy kładzie maszynę na prawe skrzydło, by drzewa przepuścić pod lewym. Skacze przez anteny nad jakąś chatą... uwaga! Drzewo! Hop... i znowu lekkie pociśnięcie steru. Znowu widzę pola, teren lekko wznosi się, szczyt górki zatkany, w lewo będzie lepiej. Wolny zakręt, tak aby nie wsadzić się na skrzydłowego. Klucz mknie i mknie nad samą ziemią, przez mgłę, klucz białych ,,ósemek'', walczących o pierwsze miejsce dla Lwowa.

Byle złapać tor.

Jest tor. Starannie odrabia klucz zakręty jedynego naszego sprzymierzeńca w tej mgle. Byle nie zgubić toru. Przed nami Skierniewice. Kurs 60. Wyrąb w lesie i tor do Warszawy, prosty jak linia geometryczna.

Prowadzę maszynę tuż nad przewodami elektrycznymi. Jak ciężko chodzą stery w tej mojej ,,ALO''! Ręka drętwieje mi od ściskania drążka. Chwytam każdy rzut, aby ułatwić skrzydłowym zadanie. Ciągle słyszę ich silniki.

Odwracam się w prawo wstecz, tknięty jakąś dziwną siłą. Prawoskrzydłowy samolot wysunął się nad mój statecznik, teraz rzuciło go i wali w dół końcem skrzydła wprost w moje usterzenie. Pełny gaz ! Pilot prawoskrzydłowy pokazał mi zęby w nagłym skurczu walki, jego skrzydło mija mój statecznik chyba o parę centymetrów. Odwracam się, patrzę na tor, aby iść ściśle osiowo. Na torze stoją rozstawieni sędziowie i nie wiemy gdzie taki typ może stać z notesem w ręku. Motory grzmią nad jakąś stacją.

Jest coraz ciemniej i coraz częściej białe płachty mgły zmuszają nas do lotu nad samymi przewodami. Wysokie drzewa trzeba przeskakiwać. Tor gubi się w mgle, prosty jak strzała i ciągnie się długo, długo, jak te minuty lotu. Rzuca coraz bardziej. Ręki nie czuję już ze zmęczenia. Wzroku nie mogę oderwać od toru i od mgły, w którą walę moim kluczem.

A klucz idzie pięknie. Patrzę na samoloty skrzydłowe. Idą, uparcie walcząc o symetrię. Nie dają mi żadnych znaków. Mogli już kilka razy puścić się mego ogona i siąść przymusowo. Trzymają się i klucz wali w gęstniejącą mgłę i noc mocny, huczny i pełen zwycięskiego warkotu. Ależ pogoda ! Rzuca coraz bardziej.

Poprzez ciemną mgłę przed maską maszyny rozbłysła nagła łuna. Czuję, jak mi sztywnieje kark. Przede mną burza. Znowu błysk i znowu. Lecimy w burzę. Tor ciągnie się w nieskończoność.

Przed nami semafory i stacje zapalają się stopniowo różnokolorowymi światłami. Po torze długie macki reflektorów rzuca lokomotywa. Wkoło mnie mgła, deszcz i gęstniejąca noc, przede mną burza, ale obok mojej gondoli świecą bladym płomieniem wydechów motory skrzydłowych. Klucz idzie cały.

Coraz częściej mgła nasiąka nagłą łuną błyskawic. Co będzie, gdy tor trzeba będzie opuścić przed Warszawą ? Czy anteny koło lotniska oświetlone ? Gdzie są najlepsze pola na zachód od Warszawy ? Mapy już dawno nie widzę. Mgła coraz gęstsza i coraz ciemniej.

Pęka niebo na poprzek... ależ walnęło . Ciemno jeszcze bardziej, z płatów ścieka strumieniami woda, którą wiatr niesie w białych kolumnach. Znowu błysk piorunu. Pod nami stacja, czytam napis. „Pruszków". Kurs 90 i wzrok aż pęka w oczekiwaniu na światła Warszawy.

Wysoko nad czarnymi polami błyska miarowo małe światełko. To reflektor lotniskowy Okęcia.

Lecimy nad dachami Warszawy. Neony palą się różnobarwnie, błyszczą mokre, czarne asfalty. Przed hangarem na betonie biegają ludzie. Odlatujemy, by zrobić zakręt do lądowania.

Oślepiający blask i ogromna łamana krecha ognia wali przed nami w ziemię. Takiej grubej kolumny ognia jeszcze nie widziałem. Czuć ozon w powietrzu.

Schodzimy po samych dachach do lądowania.

Mam wodę wszędzie w kabinie, wszystko jest mokre, ulewa natrętnie moczy mi mapę, woda cieknie po karku i plecach, z płatów spływa girlanda strużek i kropel, błyszcząc w światłach elektrycznych lamp hangaru. Chłodzę silnik.

Ktoś obejmuje mnie za ramiona : „Brawo Lwów !"

To kierownik zawodów. „Brawo Lwów !"

Jestem bardzo zmęczony i nie całkiem wiem, o co mu chodzi. Wiem, że mówił o Lwowie. Lwów, oddzielony ode mnie trzystoma kilometrami mgły i nocy, jest mi teraz bliski i kochany. Moja Matka będzie dumna. Martwi się teraz pewnie, że pogoda zła. Lwów też będzie dumny.

Z lewej i prawej skrzydłowi studzą motory. Nasi towarzysze pośpiesznie wyciągają pokrowce i zakotwiczenia z bagażników.

Klucz Lwowiaków był jedynym, który doleciał w tę pogodę do Warszawy. Zawody te wygrał Lwów.



Dyrektor wytwórni samolotów zaproponował mi, bym odstawił nowy samolot szkolny do Torunia. Pilot fabryczny był przeciążony lataniem, ja cieszyłem się opinią dobrego pilota. Podziękował mi z góry i dodał, że ma do mnie zaufanie. Trochę mi było głupio, gdy wspomniał o tym zaufaniu. Nie latałem prawie dwa tygodnie i obiecywałem sobie wesoły lot. Zwyczajne szczenięce kawały, parę pętli, może korkociąg, no i oczywiście „kosiak".

Gdy siadałem do maszyny, młody chłopak, mechanik rozpoczął konwersację :

— Panie Inżynierze, dziś trzynastego, ta maszyna serdecznie pechowa, nasz pilot miał na niej dwa przymusowe lądowania...

— W najgorszym razie wyląduję przymusowo po raz trzeci, trzynastego. Podaj Pan pasy plecowe !

— Po co Panu pasy plecowe ? Nasz pilot używa tylko brzusznych.

— Daj Pan i plecowe, — nie zaszkodzą ! a w duchu pomyślałem sobie : „Wasz pilot oblatuje samolot uczciwie a nie leci z zamiarem przewracania się po niebie".

Wystartowałem. Gdy wysokościomierz wskazał 1000 metrów, miałem chwilę wahania. Trzynasty dzisiaj, i piątek w dodatku, dwa przymusowe lądowania..., po co przewracać po niebie szkolną maszynę, kiedy tak pięknie leci bez przewracania ? Namyślając się jeszcze, przymknąłem gaz i z przewrotu poszedłem w korkociąg. Wyprowadzając ściągnąłem do pętli, drugiej, trzeciej, i byłem już nad polami.

Zacząłem „kosić". Najpierw rozumnie, na jakichś pięciu metrach wysokości, skakałem przez drzewa i słupy telegraficzne. Lot koszący ma to do siebie, że powoli tępi poczucie niebez-

pieczeństwa, zwłaszcza gdy samolot jest nowiuteńki, chodzi posłusznie za ręką i chętnie skacze w górę za lekkim nawet ściągnięciem drążka. Mijały minuty, potem kwadranse, a ja wciąż syciłem się szybkością lotu tuż nad ziemią.

Skończyły się chłopskie pola, pocięte w drobne zagony i rozpoczęły się dworskie łany, ciągnące się kilometrami w dal, jak okiem sięgnąć. Dwa tygodnie temu doleciałem do Warszawy pod zimnym frontem, lecąc tak samo nisko, jak teraz. Gdy zadowolony z siebie, opowiadałem koledze Warszawiakowi mój lot, zapytał się pogardliwie :

— Jak nisko leciałeś ?

— Myślę, że cztery, pięć metrów, może niżej. Płoty przeskakiwałem.

— To szczeniak ! Czy potrafisz lecieć tak nisko nad zbożem, aby kłoski obracały ci koła ?

— Nie próbowałem.

— To nie bujaj mi o niskim lataniu !

Pomyślałem wtedy, że to pewnie nierówny opływ powietrza obracał mu koła, a zresztą, czort go wie ? Może to i prawda ? Trzeba kiedyś spróbować.

Lepszej okazji nie znajdę w całej Polsce. Pole przede mną ma chyba kilometr, pokryte dojrzewającym żytem, nieruchomym w bezwietrznym wieczorze.

Zawsze będę pamiętał gorącą falę emocji, gdy do gondoli samolotu zaczęły zbliżać się kłosy. Czułem, że pcham się w głupią awanturę. Nie chciałem się cofnąć. Po chwili emocja minęła, pół godziny lotu koszącego i doskonała sterowność samolotu zrobiły swoje. Z napiętą do granic możliwości uwagą zacząłem zanurzać się w żyto coraz głębiej. Wzrok wbiłem w horyzont przed siebie i tylko odległość szarego koliska śmigła od rozmazanej od pędu linii kłosów mówiła mi o mej odległości od ziemi.

,,...do, cholery, chyba kłoski już dawno obracają koła,... muszę zobaczyć''.

Każdy pilot wie, że jeżeli lądując spojrzy na koła, zamiast trzymać wzrok na horyzoncie, na pewno koła dotkną ziemi. Ale ja musiałem zobaczyć, czy się koła obracają...

Zobaczyłem przez ułamek sekundy koło, idące w poziomie kłosów, rozwalając ich zwartą masę. W następnym ułamku sekundy, poprzez huk motoru, doszedł do uszu werbel kłosków, ciętych przez śmigło i uderzających w płótno skrzydeł. Horyzont zrobił się zieloną zasłoną z wyrzucanego w powietrze żyta, a ja wyleciałem głową w przód do wiatrochronu i zawisłem na pasach plecowych, tych które zapiąłem na wszelki wypadek. Ale jeszcze szybciej ściągnąłem drążek zupełnie na siebie.

Następną sekundę czekałem na koniec. Nie... wiszę dalej na pasach, ciągle jest zielono wokół mnie i ciągle trwa piekielny werbel na skrzydłach, ale jeszcze nie uderzyłem w ziemię. To pewnie ten ster ściągnięty, który z całych sił pcham sobie w brzuch, trzyma mnie jeszcze nad ziemią. Czuję jak maleje szyb-

kość. Rzucony do przodu widocznie mimowoli przymknąłem gaz.

Zaczęła się szalona gonitwa myśli :

,,...przymknij gaz ! Przelecisz przez łeb na plecy i nic ci się nie stanie. A co będzie z samolotem ? Zaufanie... licencja pilota... opinia... koniec z lataniem... smutek i rozpacz... po co ja w to wlazłem ?''

Wreszcie decyzja : ,,Nie dam samolotu ! Pełen gaz ! Gaz ! Nie dam maszyny ! Chryste ! Ratuj ! Nie dam maszyny ! Gaz ! Gaz ! Jak się rozbijemy, to razem ! Nie dam maszyny ! Maszyna ! Maszyna !...''

To na pewno prawda, że tonący widzą całe swoje życie. Mają bez porównania więcej czasu. Ja zdążyłem zobaczyć bardzo dużo w tych paru sekundach.

Czuję, że mimo pełnego gazu pęd maleje i ogon dźwiga się w górę. Za chwilę śmigło dotknie ziemi.

Jak nożem uciął kończy się zielona zasłona, ogon opada w dół a samolot resztką pędu wyrwał w górę nad oraniną i zaczął tonąć brzuchem. Gaz, gaz ! Nad samą ziemią oparł się samolot o powietrze i zaczął nabierać wysokości, powoli, powoli... jak chory ptak. Dopiero teraz usłyszałem, że silnik strzela i krztusi się.

Ciągnę ostrożnie w górę, motor ciągle strzela, wlekę się nad samą ziemią. Całe zastrzały i podwozie zawalone jest żytem. Ogromne kule wydartego zboża wiszą na kołach i goleniach podwozia, motor krztusi się i strzela. Jakieś duże pole pode mną. Zamykam gaz i siedzę prawie że bez wybiegu.

Wyłączam silnik i wyskakuję na ziemię. Jak zbrodniarz, zacierający ślady mordu, gorączkowo czyszczę samolot z żyta. Zdejmuję olbrzymie naręcza zboża z kół i podwozia. Śmigło całe, motor nietknięty, wlot powietrza chłodzącego zatkany kłoskami, parzę sobie ręce czyszcząc świece, wlot karburatora częściowo zatkany kłoskami, wpycham dłoń aż po przepustnicę i wygarniam kłosy. Żyto na skrzydłach, na sterach, na ostrodze...

Powoli wsącza mi się do głowy myśl, że samolot jest cały, naprawdę cały i nieuszkodzony, że pole jest duże i że za chwilę będę w powietrzu, coś mi się w gębie plącze, jakieś urywki myśli, a samolot stoi na oraninie cały, naprawdę cały.

Doleciałem do Torunia na dwu tysiącach metrów.

SIERŻANT W.

Sierżant W. jest radiotelegrafistą w polskim dywizjonie bombowym. Wysoki, atletycznie zbudowany, o szczupłej słowiańskiej twarzy, prosty jak świerk karpacki. Jest bardzo małomówny. Oczy ma spokojne, inteligentne, stalowo-błękitne. Jest w nich zamyślenie, jakby jakaś druga, dalsza płaszczyzna. Nie słyszałem nigdy jego śmiechu, ani też ostrego lub ordynarnego słowa. Nie widziałem go nigdy z kieliszkiem w ręku, ani też w towarzy-

stwie dziewczynki. Nie jest odludkiem, ale jest jakby światem dla siebie i nie rozpuszcza się w towarzystwie kolegów. Jest zawsze sam, nawet gdy stoi wśród nas.

Dla mnie jest bardzo grzeczny. Mieszkamy naprzeciw siebie w osobnych pokojach kasarni sierżanckiej. W swoim pokoju ma duży radioodbiornik, na którym słucha Morsa dla wprawy. Co wieczór słyszę regularny strumień kropek i kresek, idący szybkim rytmem z jakiejś stacji handlowej. Trwa to czasem godzinę. Ja siedzę w moim pokoju i czytam lub piszę długie listy do mego brata w dywizjonie myśliwskim na południu Anglii. Mimo Morse'a jest właściwie cicho.

O godzinie dziewiątej sierżant W. włącza wiadomości wojenne, popularnie zwane ,,news'y'', otwiera drzwi swego pokoju na korytarz, puka do moich drzwi, otwiera moje drzwi i bez słowa siada na łóżku. Słuchamy news'ów, potem on wyłącza radio i wraca na kilka minut posiedzieć i porozmawiać. Właściwie nic nie mówi. Od czasu do czasu rzuci jakieś pytanie lub podkreśli jakiś news. Siedzi oparty o ścianę, zamyślony i taki sam daleki, sam i nie mieszający się z nikim, jak zawsze. Potem idziemy na szklankę gorącej Ovomaltyny lub czekolady, przerzucamy ilustrowane pisma, rozrzucone na stołach w sali jadalnej i wracamy do swych pokoi spać.

Gdy zaczęły się loty bojowe, byłem już porucznikiem i opiekowałem się sekcją radio dywizjonu. Mimo mego awansu, nasza znajomość z sierżantem W. nie uległa zmianie. On mnie nie zazdrościł niczego a ja nie przestałem go lubieć. Nie mieszkaliśmy już w tej samej kasarni i widywałem go tylko co rano w sekcji radio, gdy przychodził przed lotem po akumulatory. Brał świeżo naładowane akumulatory a potem siadał na stole i zamienił parę zdań ze mną na temat lotu lub wydarzeń dnia poprzedniego. Po paru minutach uśmiechał się, brał akumulatory w ogromne dłonie i wychodził z sekcji. Szoferka Angielka, która często chowała się do naszej sekcji przed zimnem i siedziała przy żelaznym piecyku, szydełkując coś zawzięcie, zachwyconym wzrokiem przeprowadzała do drzwi jego szerokie bary i długie nogi.

Zaczęły się loty na Essen. Ironicznie nazywał się ten cel ,,Happy Valley'', tak potworną ilość ognia i reflektorów skupili Niemcy w obronie. Gdy wiadomość poszła po dywizjonie, że ,,dziś Happy Valley !'', nastrój stawał się naładowany niepokojem i tajemniczymi siłami, które płynęły w myślach ludzi na pozór spokojnie odrabiających ostatni dzień. Wiedzieliśmy doskonale, że jutro ktoś będzie ,,missing'', że jutro nasza mała Polska skurczy się o sześciu, którzy utopią się, spalą lub pójdą do szpitala lub obozu jenieckiego w Niemczech.

Sierżant W. odrabiał swoje loty z takim spokojem, jak gdyby to były loty ćwiczebne nad Anglią. Przychodził do sekcji radio, siadał na stole, przez parę minut nic nie mówił a potem brał akumulatory i zwracał się do mnie :

— Dziś ,,Happy Valley''. — Pan wie ?

— Wiem — i tylko w myślach życzyłem mu szczęścia, bo nie wiedziałem, czy nie jest przesądny.

Dywizjon żegnał załogę po załodze. Przychodziły nowe załogi, nowe maszyny. Coraz mniej starych twarzy było w dywizjonie. Sierżant W. był wśród tych nielicznych. Odrobił 28 lotów, miał jeszcze odrobić dwa i odejść na urlop odpoczynkowy.

Wszedł do sekcji, tak jak zawsze posiedział na stole parę minut, potem wziął akumulatory w obie dłonie i skierował się do drzwi. W drzwiach stanął i swoim spokojnym głosem oznajmił :

— Panie Poruczniku, te akumulatory potłuką się dziś...

Patrzyłem na niego. Stał spokojny ale bardzo smutny i czekał, by mu coś powiedzieć.

— Panie W. ! Musiał Pan spać na lewym boku i miał Pan zły sen. Sen mara, Bóg wiara ! Akumulatory wrócą całe !

Potrząsnął głową. Stał jeszcze chwilę a potem wyszedł z sekcji. W pracy i bieganinie tego dnia zapomniałem o sierżancie W.

W nocy stałem przy otwartym oknie mojej kwatery i słuchałem, jak odlatują Wellingtony. Obładowane bombami, długo wyły na małym skoku, wlekąc się przez lotnisko aż do końca rozbiegu, a potem powoli, bardzo powoli nabierały wysokości. Gdy pilot zmieniał skok, wycie silników cichło i grając melodyjnie zataczał Wellington dalekie kolisko, nabierając wysokości przed odlotem. W chwilę później powietrze zaczynało wibrować od wycia następnej startującej maszyny. Scichnięcie wycia było dla mnie znakiem, że samolot jest juz na bezpiecznej wysokości i że przynajmniej tę jedną niebezpieczną operację ma szczęśliwie poza sobą.

Zadźwięczały szyby i Wellington rozpoczął start. Wyjąc jak syrena pożarowa minął brzeg lotniska i nagle w to jednostajne wycie wmieszał się zgrzyt śmigieł o kamienie. Silniki ścichły. W następnej sekundzie głucho huknął Wellington o ziemię.

Wybiegłem z kwatery w kierunku Wellingtona. Nagle nocne niebo rozbłysło czerwonym a potem niebieskim blaskiem i huk eksplozji targnął powietrzem.

Za drzewami, kilkaset metrów od brzegu lotniska huczał i trzaskał pożar i eksplodowała amunicja karabinów maszynowych.

Sierżant W. wypadł z rozlatującego się Wellingtona. Upadł na mokrą oraninę i tylko potłukł się zdrowo. O własnych siłach doszedł do drogi, skąd go zabrała sanitarka do szpitala. Po tygodniu w szpitalu odszedł na dwutygodniowy urlop zdrowotny.

Gdy prawie po miesiącu wrócił do dywizjonu i jak zawsze, rano wszedł do sekcji radio, patrzyłem na niego długo a on siedział na stole z uśmiechem triumfu na twarzy, jakby mi chciał powiedzieć :

— ...a przecież ja miałem rację !

— Panie W.! Czy może mi Pan powiedzieć, skąd Pan wiedział, że akumulatory potłuką się?

— Ale się potłukły? Prawda? — wyminął odpowiedź.

— Prawda, potłukły się. Ale czy może mi Pan powiedzieć, skąd Pan o tym wiedział przed lotem?

Myślał chwilę a potem zdobył się na najdłuższy ciąg zdań, jaki od niego słyszałem:

— Wiedziałem... ale w jaki sposób, tego nie umiem Panu powiedzieć... ale wiedziałem na pewno!

Odrobił bez przygód lot dwudziesty dziewiąty. Lot trzydziesty i ostatni wypadł mu na cel łatwiejszy, więc cieszyłem się na myśl, że mu jutro złożę gratulacje i że odejdzie żywy i cały z dywizjonu.

Ubrany w ciężki kombinezon futrzany, obładowany akumulatorami i spadochronem, szedł po betonie do stojącej przed hangarem maszyny. Reszta załogi i mechanicy kręcili się już wokół samolotu, przygotowując silniki do rozruchu. Nagle sierżant W. stanął. Postawił akumulatory na ziemi. Stał nieruchomo a krople potu na czole łączyły się w małe strużki i spływały mu po policzkach. Stał tak przez chwilę, zlany potem i walczył ze sobą. A potem zadecydował:

— Nie polecę!

Załoga wystartowała z zapasowym radiotelegrafistą. Gdy nazajutrz szedłem do sekcji, stary chorąży oznajmił mi:

— „M" nie wróciła...

To była maszyna sierżanta W.

Po tygodniu morze wyrzuciło na brzeg angielski szczątki naszego Wellingtona „M". W metalowej strukturze przedniej wieżyczki tkwiły wbite kawałki niemieckiego JU-88. Zderzenie nosem w nos w nocy. JU-88 leciał bombardować nasze lotnisko i wyciągnął czarną gałkę spośród miliona białych. Zderzył się nosem w nos z Wellingtonem, lecącym bombardować Niemcy.

Lekarz lotniskowy wyciągnął sierżanta W. z biedy, jaką mu groziło odmówienie lotu bojowego. Dostał miesiąc urlopu wypoczynkowego na wyleczenie nerwów i do dywizjonu już nie wrócił. Gdy go spotkałem w rok potem, podał mi dłoń, jak kleszcze i nic nie mówiąc patrzył mi w oczy.

— Skąd Pan wiedział?

— Wiedziałem.

B. J. SOLAK

Powyższe opowiadania są fragmentem książki pt. „JOGA SŁOŃCA"

Protokół

tajnego posiedzenia Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 28.XI.1930.

Obecni : Przewodniczy Marszałek Polski Józef Piłsudski, Minister Józef Beck, Minister Spraw Wewnętrznych Felicjan Sławoj Składkowski, Minister Spraw Zagranicznych August Zaleski, Kierownik Ministerstwa Skarbu Ignacy Matuszewski, Minister Sprawiedliwości Stanisław Car, Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Sławomir Czerwiński, Minister Rolnictwa dr Leon Janta-Połczyński, Minister Przemysłu i Handlu inż. Eugeniusz Kwiatkowski, Minister Komunikacji inż. Alfons Kühn, Minister Robót Publicznych dr Maksymiljan Matakiewicz, Minister Pracy i Opieki Społecznej Aleksander Prystor, Minister Reform Rolnych dr Witold Staniewicz, Minister Poczt i Telegrafów inż. Ignacy Boerner, Szef Gabinetu Prezesa Rady Ministrów Tadeusz Schaetzel.

Posiedzenie rozpoczęto o godz. 13.

Pan Marszałek Piłsudski oświadczył :

Pierwsza rzecz, którą Panom chcę powiedzieć jest, że podaję się do dymisji jako Szef Gabinetu. Szarpnąłem się tak silnie, że nie mogę pracować tak jak tego wymaga urząd Prezesa Rady Ministrów. Poirytowałem się tak, że boję się mówić z ludźmi.

Na zastępcę Pan Prezydent wyznaczył pana Sławka. Nie będę robił introdukcji. Znają Go Panowie.

Daję Panu Sławkowi czas do sformowania Gabinetu według Jego woli. Do czasu zostaję Prezesem Gabinetu i moja ręka będzie jeszcze odczuta.

Nie jest sekretem, że wyjadę na długi odpoczynek. Nie mogę dalej pracować. Jest zima i wtedy staję na progu śmierci. A Ja tego nie chcę.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Dzisiaj chcę mieć rozmowę związaną z kwestią urzędniczą. Krótki materjał, który tutaj mam daje zestawienie wydatków personalnych. System podliczeń daje takie cyfry :

W cyfrach Ministerstw prym trzyma Ministerstwo Spraw Wojskowych. Jest to na potwierdzenie tego co mówiłem o Mojej pracy w wojsku. Żałuję teraz, że budżetu Panów nie obciąłem więcej.

W kwestii urzędniczej postaram się nie irytować siebie. Ale nie mogę nie powiedzieć, że mam największą pogardę dla siebie samego, że nie przeprowadziłem tej kwestii, chociaż przed pięciu laty chciałem to zrobić. Tymczasem za plecami Mojemi zrobiono wydatek na urzędników. Zjada nas ten dodatek.

Urzędnicy nie są dobrzy. Nikt mnie nie przekona. W systemie pracy urzędników jest usunięcie się od odpowiedzialności wobec Ministrów. A Panowie indolentnie się odnosili do tego. Indolencja w personaljach jest wadą Polski. Musicie umieć przeprowadzić w stosunku do urzędników Waszą wolę.

Teraz wszystko musi istnieć dla osób, nie dla Państwa. Państwo można okradać, można zdzierać Państwo. Zwrócę uwagę na „gażowe budżety". Sens się gubi w tym budżecie dla urzędników. Poco zbierać podatki na gaże. Kiedy są gażowe budżety wtedy nie ma kultury pracy.

Ten system indolencji do wszystkiego co jest personą jest tak charakterystyczne dla polaków, że Ja chyba nie jestem polakiem. To robienie zawsze dla kogoś, nie dla rzeczy, nigdy dla pracy, dla honoru, dla wielkości.

Nie przekonacie mnie że materjał urzędniczy jest dobry. Tylko doborem można dojść do tego.

Druga metoda to grożenie palcem jakimś Trybunałem Administracyjnym. Wygrana musi się opierać na konstytucji, nie na paragrafie.

Ja przedstawię Panom swój program, by ułatwić Panom obcięcie personalji. Każdy z Panów musi mieć pomocnika dla personalji. To jest wielka praca.

Przechodzę do Mego projektu.

Po pierwsze : musi być wniesiony do Sejmu projekt o pragmatyce służbowej. To co jest teraz, to jest spisek przeciw Państwu, który Panowie popierają by nie mieć kłopotu. Zawarte jest w pragmatyce służbowej wszystko by Państwo nie miało wpływu na urzędników.

- Poleciłem Panu Pierackiemu przygotować wszystkie paragrafy, które muszą być zniesione. Trzeba bez ceremonji zwalniać złych urzędników.

Ja szczęśliwie dałem sobie radę z najgorszem złem, z posłami. Pan Sławek ma dać sobie radę z drugiem złem, prawami urzędników. Państwo jest bez praw wobec urzędników. Trzeba dać wolną rękę Ministrom do ukrócenia stanu urzędniczego.

Druga rzecz, to jest ustanowienie posiadania w jednej dykasterji jednego człowieka, Ministra lub pomocnika, który pracuje na personalja o każdym. Teraz urzędnicy kwalifikują siebie

sami. Kwalifikacje nie mogą być robione przez samych urzędników. Istnieje mus i dyscyplina. Urzędnicy nie mogą się kwalifikować swemi sowietami. Kwalifikacje są tylko przełożonych. Nulla dies sine

Dzisiejsze biura personalne są zakałą stanu urzędniczego.

Muszą być wyciągnięci do góry bardzo pracowici, co żyły z siebie wyciągają. A tacy w Polsce są, nimi Polska stoi. Lub zdolni ludzie. Ale zdolnych hultai za nic na świecie. Wszyscy nicponie muszą być usunięci. Do tego trzeba dobierać ludzi bezwzględnych.

Trzecie to emerytury. Z trwogą śledziłem wzrost emerytur w sposób anormalny. Skąd tyle narosło od dwunastu lat. Tylko dwunastoletnia służba może być ceniona. Pan Matuszewski mówi, że to się robi mechanicznie. Wszystko oblicza się in plus, a nie in minus. Tam musi być ukryte tyle świństw jak praca tych panów. Pan Matuszewski musi sam wziąć energicznego człowieka. Przy rewizji przepisów suma zleci na dół daleko, nie będzie szła do góry. My płacimy za służbę Rosji, Niemiec i Austrii. Nie rozumiałem że za wszystkie służby musimy płacić.

Proponuje się zaopatrzenia wyjątkowe. Te wyjątki narosły i stają się powszechnem prawem.

Przy tych trzech zarządzeniach można pójść w pracy naprzód : 1) to zawieszenie paragrafów, które szkodzą rządzeniu 2) zniesienie indolencji wewnętrznej i 3) obcięcie najróżniejszych etatów. Mnie straszono, że po redukcji oficerów nie starczy do służby. To nieprawda. Ja wolę nie mieć złego oficera, niż płacić mu pieniądze.

Sama budowa Waszych etatów jest śmieszna. Musi być zrobiona reorganizacja. Panowie trzymają się zasady : naj bude jak buwało. „Jakże ja wyrzucę" — zapłacze się Pan Minister. Panowie unikają trudności. Chcecie mieć tylko wygody. Ludzi bez pracy jest w biurach więcej jak 1/3. Ja w pracy swojej znajdowałem przeszkody zorganizowanej mafji. To są dranie.

Wstyd podpisywać taki budżet bardzo osobowy. Gdybyście chcieli, to obcięcie ze spokojem odrobicie. Wierzajcie memu doświadczeniu ! Jeden ze sposobów w Polsce jest że jak urzędnik jest dureń to niech wyżej idzie. Pchnąć go, to nie będzie szkodził, a dół i tak będzie pracował. Najlepszy system jest zmienianie od góry.

Wywyższać bez względu na szczeble i rangi. Szczeble i rangi są zupełnie szkodliwe. Zatrzymanie szczebli to projekt Ministra Skarbu, by zahamować wzrost budżetu. Jest to sprawa ważna.

Jak mówiłem są trzy dziury przez które pieniądze płyną : bezrobocie, interwencja zbożowa i urzędnicy. Pieniądze płyną i płyną. Uciekają od nas. Niech płyną. Poco rządzić.

Żałuję mocno, że nie zrobiłem pierwszych kroków realnych w kwestji urzędniczej. Lubię nie zwalać ciężkiej i niezwyczajnej pracy. Jednak muszę ją zwalić na Pana Sławka. Panu Sławkowi

wkładałem w uszy, że po Sejmie ta druga rzecz jest najważniejszą naprawą Państwa.

Jest to zwalenie z pleców poważnego ciężaru. Trzeba koniecznie załatać tą dziurę w worku.

Sądzę, że dla pierwszego kroku ta zmiana jest wystarczająca : 1) pragmatyka służbowa, 2) minister lub pomocnik na personalja i 3) obcięcie etatów.

W wojsku osiągnąłem tem poprawę kwalifikacyj. I dlatego nie mogę porównywać Panów oficerów do urzędników. Nie znoszę tego porównania.

System urzędników jest wzięty z początkiem Państwa. Tak było i w wojsku. Banda rosła, bo nie było ludzi. Nie znało się urzędników. Przyjął się zwyczaj, że jak nie było człowieka, który umie, to brano 4, lepiej 10-ciu. Tak jakby banda takich, którzy nie umieją, przeto była mądrzejsza. Wzrosło mnóstwo ludzi.

Przyjął się system ulg. Rada Ministrów tem się zajmuje. Oswobadzać od obowiązków. Zwalniać od kwalifikacyj. Wszędzie furtki i wyjątki, to stała praca personalna. Co to za zabawa.

Te straszne cyfry budżetu na personalia mnie przeraziły. Cieszę się, że Moja praca w wojsku wychodzi w cyfrach. Przedtem straszyłem, że armja jest niepotrzebna, bo dranie nie są potrzebni.

U was wszystko idzie do góry. Niedołęga — do góry, Drań — do góry. Wszystko do góry. Tymczasem jeden pracowity zastąpi dziesięciu.

Każda rzecz, której w wojsku dotknę to stare gówno, które śmierdzi i śmierdzi. Wszędzie to samo. Wszystko dla personalji. Cała praca urzędników, to wysrać się wygodnie w wychodku.

Przepraszam zaczynam się irytować.

Obowiązkiem jest przestać być indolentnym. Ja nie cofam żadnych słów. Niemoc Panów w stosunku do urzędników, ja nie mogę jej znieść. Minister odpowiada za personalja. Nie można nie robić, by nie mieć małej przykrości.

Proszę Panów. Jesteśmy w stanie kryzysu ministerjalnego. Zaczynam wycofywanie się z centrum politycznego. Pan Sławek przeprowadzi rozmowy z Panami, więc proszę wstrzymać urlopy i wyjazdy.

Po zapowiedzeniu które rozmowy Pan Marszałek przeprowadzi osobiście, Pan Marszałek posiedzenie zamknął.

(—) *J. Piłsudski*

Oryginał powyższego protokółu z podpisem Marszałka Piłsudskiego jest w posiadaniu Redakcji. Drukujemy go jako charakterystyczny przyczynek historyczny, nie pozbawiony aktualności.

Nowa ofensywa

Śmierć Stalina nie wywołała — jak na razie — żadnych widocznych wstrząsów politycznych w Sowietach. Przygotowane do tej katastrofy kierownictwo partii wystąpiło z szeregiem z góry wyplanowanych posunięć, zmierzających do usztywnienia spoistości swej organizacji, z drugiej zaś strony do pozyskania opinii światowej. Jak zawsze akcja ta przebiega metodą całopalenia kozłów ofiarnych zmieniającej się taktyki politycznej, jak i gestów „miłości" do „mas pracujących".

I tak po znanej reorganizacji, nieomal czystce, góry partyjnej i rządowej, w okresie przedświątecznym — 28 marca, ogłoszono masową amnestię dla drobnych przestępców oraz zapowiedziano złagodzenie kodeksu karnego, zaś w dwa dni później dokonano szeroko reklamowanej, po raz szósty od zakończenia wojny, obniżki kosztów utrzymania o 8 % (w tym wódka staniała o 11 %). Nawet kult wodzów komunistycznych sciszono o wiele tonacji. Mniej się słyszy dytyrambów ku czci zmarłego „ojca narodów", zaś nowy — przynajmniej na razie — chowa się w cieniu. Równocześnie drogą licznych wystąpień ugodowych pod adresem Ameryki i Zachodu podkreśla się „szczere" chęci normalizacji stosunków z całym światem.

Być może, że za tymi posunięciami kryje się napięcie, spowodowane groźbą wybuchów dołów i rozkładem szczytów. Nie wiele jednak wiemy, jak się naprawdę przedstawia obecna sytuacja w Rosji, jeśli odrzucić domysły dyktowane przez wishful thinking lub przez inspiracje Kremla, liczącego na rozbrajający wpływ miraży o zbliżającej się samolikwidacji komunizmu.

W istocie słusznie jest tłumaczyć zaskakującą zmianę taktyki Moskwy przemianami zachodzącymi na Zachodzie, a zwłasz-

cza w Stanach Zjednoczonych. Wydaje się, że wybór Prezydenta Eisenhowera i te potencjalne możliwości, jakie ten fakt za sobą pociąga, głębiej odsłaniają genezę ostatnich posunięć, aniżeli śmierć Stalina i przejście władzy w nowe ręce. W obecnej chwili, gdy w Waszyngtonie wre praca nad wykrystalizowaniem nowych wytycznych w polityce w odniesieniu do komunizmu i Rosji — Kreml stanął w obliczu konieczności *zahamowania mobilisacji materialnej i duchowej Zachodu, lub przynajmniej zmniejszenia jej tempa i zasięgu.* To posunięcie Sowietów wyzyskuje pokojowe nastroje Zachodu, z utęsknieniem wyglądającego końca wojen na Dalekim Wschodzie i z przerażeniem myślącego o możliwości rozszerzenia obecnych konfliktów na cały świat. Gesty pokojowe mają więc udowodnić Zachodowi, iż jest możliwy modus vivendi, że zasada współegzystencji obu systemów podnoszona często przez sowieckich leaderów (przez Stalina ostatni raz w wywiadzie dla New York Times w grudniu 1952 r.) jest realna, i że *containment,* odrzucający ofensywę polityki zachodniej, ostatecznie może być tolerowany przez Sowiety.

Patrząc z perspektywy moskiewskiej logiczną byłaby również obecnie jakaś demonstracja siły sowieckiej, mająca udowodnić, iż nieprzyjęcie pokojowych sugestii pchnie Rosję w kierunku rozpaczliwej ofensywy. Rodzaj eksperymentu z bombą atomową w Kazachstanie lub na rosyjskiej Północy byłby więc — jak się zdaje — na czasie. Można przewidywać, iż Sowiety wystąpią z innymi jeszcze pogróżkami, jak np. ofensywą w Indo-Chinach czy też inspiracją nowego przewrotu w Persji, itd.

◆

Każda zmiana w polityce sowieckiej obliczona jest zawsze na wyciągnięcie jak najbardziej wielostronnych korzyści. Obok — jak się zdaje — głównego celu sciszenia tempa mobilizacji Zachodu przeciwko komunizmowi i Sowieckiej Rosji, Kreml ma na celu prawdopodobnie realizację innych palących problemów, i może mu to się udać, jeśli ,,akcja ugodowa'' prowadzona będzie konsekwentnie i na dłuższej fali. Przede wszystkim ułatwia ona skupienie wysiłków w dziedzinie wewnętrznej konsolidacji 800-milionowego mocarstwa. Rosja wraz ze swymi azjatyckimi republikami i satelitami posiada niewyczerpane bogactwa surowcowe, ludnościowe, oraz tereny kolonizacyjne. Jest kontynentem sama w sobie, mogącym nieograniczenie rozwijać swój wewnętrzny potencjał i w ten sposób dążyć do uzyskania przewagi nad resztą świata.

Nowy kurs ułatwia odbudowę wpływów sowieckich w wolnej Azji i zwiększenie prosowieckich sympatii w Indiach, Indonezji, w krajach arabskich, itd. zahamowanych nieco rozpoczęciem sowietyzacji satelitów w Europie, oraz polityką zaborów i ekspansji w Centralnej Azji i na Dalekim Wschodzie. Rosja postalinowska, zrywająca przejściowo z tą polityką i podżeganiem wojen ,,kolonialnych'' wzmocni prądy fellow-travellerskie i na

Zachodzie, oraz osłabi ruchy odśrodkowe w partiach komunistycznych w świecie. M. in. nowa polityka podkopuje mocno pozycję Tito, jako sojusznika Zachodu w walce z agresywnością Kremla, z drugiej zaś strony otwiera Jugosławii drogę do uregulowania współpracy z ojczyzną komunizmu.

Poważne konsekwencje w polityce międzynarodowej wywołać może nieoczekiwane odrabianie niedawnych posunięć w polityce żydowskiej, zapoczątkowane zwolnieniem lekarzy, skazanych w ostatnim moskiewskim procesie. W ten sposób Moskwa wycofuje się z niebezpiecznej ścieżki podniecania nastrojów antysemickich (co między innymi nie wywołało większego zainteresowania w krajach arabskich) i wraca na drogę zasad leninowskiej polityki narodowościowej. Równocześnie, nie po raz pierwszy przypomina Żydom, iż jakakolwiek akcja przeciw komunistycznej Rosji zagraża losowi dwu i pół miliona Żydów w Sowietach i krajach satelickich.

Nawet z pozornego ustępstwa w targach rozejmowych na Korei komuniści wychodzą obronną ręką. Za 12 tysięcy jeńców Narodów Zjednoczonych, zdemoralizowanych częściowo propagandą komunistyczną, zyskają ewentualnie 95 tys. żołnierzy chińskich i północno-koreańskich, deklarujących się na powrót. W odniesieniu do jeńców, odmawiających powrotu, komuniści otrzymają zapewnienie, że żołnierze ci nie będą umieszczeni w kraju neutralnym i tym samym nie będą użyci jako ochotnicy do walki z blokiem sowieckim.



W mózgach zachodnich polityków nurtuje myśl, czy obecny odwrót jest chwilowy tylko, czy też jest on pierwszym krokiem zapowiadającym wycofanie się w przyszłości Moskwy z niebezpiecznej drogi nienasyconej ekspansji.

W historii Sowietów zanotować można dwa zasadnicze przykłady, tłumaczące taktykę odwrotu i natarcia. Pierwszy miał miejsce w lutym 1918, gdy po nierównych zapasach z Niemcami w 1917-18 Lenin zawarł ,,haniebny'' pokój brzeski, dzięki któremu zdobył nieocenioną w tym czasie chwilę wytchnienia, pozwalającą na wewnętrzną konsolidację nowego ustroju. Drugi odwrót, tym razem w polityce wewnętrznej, nastąpił w 1921 r., gdy Lenin po okresie niepowstrzymanej ofensywy ,,wojennego komunizmu'', nakazał przejście do NEP'u, określonego przezeń jako ,,pewien zwrot na pozycje kapitalizmu'', by po pewnym czasie ,,mogła być przedsięwzięta zdecydowana ofensywa dla zniszczenia resztek kapitalizmu w kraju''.

Od 1917 r. bolszewicy 8 razy stosowali na przemian taktykę odwrotu, za każdym razem wracając do otwartej strategii natarcia. Co prawda układ w Brześciu z Niemcami zawaliła klęska niemiecka, lecz po ,,liberalnym'' NEP'ie przyszła fala wyplanowanych przez Kreml gwałtów kolektywizacji i pierwszej pięciolatki. Wkrótce jednak w polityce zagranicznej, pod wpływem na-

rastania niebezpieczeństwa faszystowskiego, polityka Moskwy uległa złagodzeniu. Zbliżenie z Ligą Narodów, fronty ludowe i pakty nieagresji w okresie 1932-39 urwały się nagle w sierpniu 1939 w chwili podpisania paktu z hitlerowskimi Niemcami. Już w 1941 r. po napadzie Niemiec na Rosję, Sowiety weszły na drogę współpracy z Zachodem i zapoczątkowały okres teherański z jego likwidacją kominternu, odrodzeniem patriarchatu i budzeniem nastrojów nacjonalistycznych w masach rosyjskich. Nie zdążyło jednak wyschnąć błoto na amerykańskich butach żołnierzy sowieckich, gdy już w 1945 r. rozpoczęła się sowietyzacja ,,oswobodzonych'' krajów na Zachodzie oraz podboje w Azji.

Niezależnie od tych zasadniczych przestawień — polityka sowiecka z brutalną łatwością stosowała serie odwrotów i natarć w walce z religią, szkolnictwie, stosunkach narodowościowych, itd. Nie ulega wątpliwości, iż cofanie się w praktyce i teorii sowieckiej bądź kamufluje ofensywę, prowadzoną w innych kierunkach, bądź też umożliwia spokojne przegrupowanie sił na tyłach. Niezmienną cechą polityki sowieckiej jest więc charakter ofensywny. Jest to zrozumiałe, gdyż wszystkie posunięcia i plany komunistycznej Rosji przepojone są duchem zaborczej i namiętnej wiary komunistycznej, zdyscyplinowanej do tego stopnia, iż nawet w taktyce odwrotu potrafi zamaskować ducha ofensywy. Używając języka dialektyki komunistycznej można by powiedzieć, że polityka sowiecka jest pokojowa pod względem formy, lecz ofensywna pod względem treści. Dlatego ze względną łatwością godzi się Kreml na zmianę swej linii taktycznej, lecz nigdy nie pójdzie na ustępstwo zasadnicze i nie ma takiej siły politycznej, która by go zmusiła do rzeczywistego wycofania z drogi, wiodącej do opanowania świata.

To ostatnie jest również niemożliwe ze względów praktyczno-politycznych. Jak tylko Moskwa wycofa się ze ,,świętej wojny'', trzymającej mózg i mięśnie w napięciu, natychmiast spadnie z pozycji nadmocarstwa do pozycji Chin z okresu wojen domowych, lub imperium Osmanów na przełomie 19 i 20 wieków. Jej struktura wewnętrzna, ukształtowana w okresie walk i ekspansji, obróci się przeciwko niej samej; nadmierna rozbudowa ciężkiego i wojennego przemysłu, przy braku wielu najpotrzebniejszych przedmiotów codziennego użytku, doprowadzi do załamania struktury gospodarczej — wielko-przemysłowej; jej etatyzm, wobec zniszczenia inicjatywy prywatnej, przy niewielkich nawet próbach demokratyzacji ustroju zrodzi anarchię; nadmiar podbitych obszarów i obconarodowych kresów, przy ich niedostatecznej obronie, wyzwoli zduszone procesy rozkładu państwa.

I tak odwrót w polityce Kremla w obecnym okresie historii, najprawdopodobniej, nie przestanie być taktycznym chwytem, sięgającym — zależnie od okoliczności — bądź głęboko, bądź trzymającym się powierzchni drobnych ustępstw o wymowie propagandowej. W zasadzie Kreml uzależnia stopień cofnięcia się od siły konkretnego naporu i wewnętrznej zwartości Zachodu. Jeśli napór ten będzie rósł i opierał się na zdrowych pod-

stawach — odwrót sowiecki może przelicytować Brześć, NEP i okres teherański. Pod wpływem zdecydowanego niebezpieczeństwa Kreml może nawet zaaranżować fikcyjny przewrót antykomunistyczny i poświęcić życie kilku reprezentacyjnych postaci reżimu, byle sprowokować Zachód do wypuszczenia z rąk jednoczącego go sztandaru z komunizmem. Okres NEP'u a zwłaszcza okres teherański dają przedsmak tego rodzaju możliwości. W okresie 1943-44 polityka wewnętrzna Sowietów, manifestując pseudo-odrodzenie komunistycznej Rosji i wyzyskując rozbicie Zachodu na dwa wrogie obozy, doprowadziła do demobilizacji moralnej i materialnej świata anglosaskiego i tym samym uzyskała wolną rękę w podbojach w latach 1945-50. Obecny kurs sowiecki w dalekiej perspektywie, *w wypadku jego konsekwentnego prowadzenia,* wiedzie, być może, do powtórzenia taktyki z okresu drugiej wojny światowej w innych formach, dostosowanych do wytworzonej koniunktury.

Przejdźmy z kolei do przemian sytuacji na Zachodzie.

Opinia anglosaska przyjmowała z początku pokojowe posunięcia Kremla z najwyższą nieufnością, lecz — jak się wydaje — rezerwa ta z tygodnia na tydzień topnieje, przy objawach — nieuniknionych psychologicznie — rozdźwięków między członkami Paktu Atlantyckiego. Generał Gruenther 1 kwietnia br. mówił otwarcie, iż ,,wielu Europejczyków'' zastanawia się z obawą, do jakiego stopnia Stany Zjednoczone doprowadzą program zbrojeniowy Paktu. Do jakiego stopnia — dodamy — w sytuacji ofensywy pokojowej Kremla. Jest to sprawa zasadniczej wagi, gdyż najbliższe dwa lata, według słów gen. Gruenthera, będą wymagały poświęceń o wiele większych w porównaniu do lat poprzednich. Ofensywa pokojowa Kremla może jednak wpłynąć nie tyle na zredukowanie zbrojeń wojennych, ile podważyć u podstaw wiele wysiłków zjednoczenia politycznego w obozie zachodnim, wymagających dużych ofiar prestiżowych i moralnych.

Zachodowi pozostało tylko, zatkawszy uszy, by nie słyszeć kuszących melodii Kremla, kroczyć z uporem dalej w kierunku dozbrojenia i organizacji wolnego świata. Lecz z drugiej strony polityka tego rodzaju może wpłynąć na gwałtowny zwrot Kremla ku ofensywie, ,,uzasadnionej'' tym razem odrzuceniem demonstracyjnie wyciągniętej ręki do zgody. Ewentualność ta nie jest łatwa do przyjęcia, gdyż wiemy, chociażby tylko z wyników ostatnich manewrów w Zachodnich Niemczech, jak niedostatecznie Zachód jest przygotowany do zatrzymania najazdu sowieckiego przez nieco dłuższy czas. Zachód nie ma innego wyjścia jak z zadowoleniem przyjąć pokojowy kurs Kremla, co znowu podważa jego moralną i wewnętrzną spoistość oraz zwalnia tempo przygotowań obronnych. W wyniku tego błędnego koła nie zdziwią nikogo objawy dezorientacji i impasu w polityce zachodniej obecnego okresu.

Reasumując, obecny kurs Moskwy jest owocem dojrzewania myśli zachodniej do śmielszego przeciwstawienia się imperializmowi sowieckiemu. Wybór Prezydenta Eisenhowera zadecy-

dował o przyśpieszeniu akcji a śmierć Stalina otworzyła nowe możliwości manewru i ułatwiła podjęcie tych kroków.

Nowa linia polityki sowieckiej kroczy torem pseudo-ugód, lecz mogą one iść równolegle z manifestacjami siły ofensywnej Moskwy. W wypadku niepowodzenia ugodowej taktyki może nastąpić nagły zwrot ku ofensywie, zmierzającej do załamania przygotowań obronnych Zachodu metodami nacisku i siły.

Jaki będzie ostateczny bilans aktualnych zapasów obu bloków — trudno przewidzieć. Na razie, w pierwszym akcie, jak zawsze w rywalizacji demokracji z totalizmem więcej atutów przypadło Kremlowi jak Zachodowi.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

14 kwietnia 1953 r.

Kronika ukraińska

ROZMOWY AMERYKAŃSKO-UKRAIŃSKIE

Grudniowa konferencja delegacji Ukraińskiego Komitetu Kongresowego z przedstawicielami ukraińskich ugrupowań politycznych (Kultura nr 2/64-3/65) wniosła w ukraińskie życie polityczne na emigracji ferment, który dziś jeszcze wywołuje żywe dyskusje i polemiki. Krytycy twierdzą, że delegacja usiłowała wywrzeć presję na ukraiński obóz niepodległościowy w sensie przystąpienia do utworzonego w jesieni ub. r. w Monachium, pod egidą amerykańską, tzw. Koordynacyjnego Centrum Walki Antybolszewickiej, godząc tym w niepodległościowe cele polityki ukraińskiej. Pogląd ten motywowany jest głównie okolicznością, że w monachijskim Koordynacyjnym Centrum przeważają wpływy rosyjskie. Zarzuty te jeśli chodzi o strukturę i program Centrum nie pozbawione są słuszności i trudno zaiste wymagać od Ukraińców, aby udali się pod kuratelę rosyjską i dezawuowali tym samym wielowiekową walkę narodu ukraińskiego o niepodległość. Wydaje się jednak, że główną winę za niepowodzenie misji delegatów Ukraińskiego Komitetu Kongresowego ponosi przede wszystkim Amerykański Komitet pod kierownictwem admirała Stevensa, który jeszcze w czasie pobytu delegacji w Europie opublikował komunikat, stwierdzający, że Amerykanom chodzi nie tylko o pozyskanie ukraińskiego obozu niepodległościowego ale również o udział obozu dążącego do federacji Ukrainy z Rosją. Tego rodzaju stanowisko admirała Stevensa wywołało oburzenie we wszystkich ośrodkach ukraińskiej myśli politycznej, gdyż wiadomo, że żadnego ,,obozu federalistycznego'' w odniesieniu do Rosji nie ma i że nieliczna grupka tzw. federalistów składa się dosłownie z kilku ludzi, którzy na skutek prorosyjskiej kolaboracji z hitlerowskimi okupantami Ukrainy w czasie drugiej wojny światowej zostali wyłączeni ze społeczeństwa ukraińskiego względnie rekrutują się z jednostek, które zwęszyły w akcji federalistycznej nowe możliwości zarobkowe. W grupce tej istnieją nawet Rosjanie, występujący pod ukraińskimi psedonimami.

Fatalna taktyka admirała Stevensa miała jednak paradoksalne następstwa. Pod obstrzałem krytyki ukraińskich ośrodków politycznych znalazł się

nie Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji, ale... delegacja Ukraińskiego Komitetu Kongresowego. Posypały się gromy na głowy delegatów UKK, grożąc poważnym kryzysem w łonie tej zasłużonej i dotychczas jednolitej organizacji na terenie kontynentu amerykańskiego. Dopiero miarodajne oświadczenie jednego z delegatów, dyr. Hałyczyna z 13 marca rb. przecięło — miejmy nadzieję, że ostatecznie — łańcuch nieustannych kombinacji i insynuacji. W oświadczeniu tym Hałyczyn wyjaśnił, że amerykańscy zwolennicy ukraińskiej sprawy niepodległościowej — wśród nich wybitni członkowie Kongresu i rządu — wyrażali zdziwienie i ubolewanie, iż Ukraińcy odmawiają udziału w utworzonym i popieranym przez Amerykanów wspólnym antybolszewickim froncie emigracyjnym grup z ZSSR. Wszelkie wyjaśnienia, że wina leży nie po stronie Ukraińców ale że główną przyczyną są wyraźne rosyjskie tendencje imperialistyczne tego frontu, nie przekonywały ich, ponieważ uważali, że przeciwko tego rodzaju tendencjom można z większym sukcesem walczyć w ramach tego systemu, a nie poza nim. Nie chcąc lekceważyć tej sprawy Ukraiński Komitet Kongresowy wysłał delegację do Europy. W rezultacie podróży nastąpiła konsolidacja ukraińskich sił politycznych w sprawie współpracy z amerykańskimi ośrodkami walki antybolszewickiej.

W międzyczasie nastąpiło otwarcie radiostacji ,,Wyzwolenie'', finansowanej przez Amerykański Komitet pod kierownictwem adm. Stevensa. Cała ekipa radiowa została wydelegowana przez Koordynacyjne Centrum Walki Antybolszewickiej, w którym nie ma ani Ukraińców, ani Białorusinów, jest natomiast kilka grup rosyjskich i szereg odłamów kaukaskiej emigracji politycznej. W ten sposób wytworzyła się paradoksalna sytuacja, gdyż radiostacja ma bardzo ograniczony zasięg i jeśli chodzi o terytorium Związku Sowieckiego, to audycje ,,Wyzwolenia'' docierają w najlepszym wypadku do Ukrainy i Białorusi, czyli akurat do narodów, których przedstawicieli, a zatem i języków, nie ma w imprezie monachijskiej. Osłabia to oczywiście całą koncepcję i nic dziwnego, że w marcu przybył do Monachium adm. Stevens celem przełamania oporu Ukraińców i Białorusinów jak również oponentów ze strony emigracji kaukaskiej. Pertraktacje toczyły się najpierw w Monachium, następnie zaś w Paryżu, nie przyniosły jednak żadnych radykalnych zmian. Jedynym bodajże konkretnym następstwem tych rozmów było przemianowanie 25 marca nazwy ,,Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji'' na ,,Amerykański Komitet Walki Antybolszewickiej''. Równocześnie jednak admirał Stevens opublikował komentarz, który znowu zaciemnia sprawę i czyni płonnymi wszelkie nadzieje na zasadnicze strukturalne i programowo-ideowe zmiany. Tym samym stanowisko ukraińskich ośrodków politycznych na emigracji do Komitetu Walki Antybolszewickiej, jak również do Koordynacyjnego Centrum i monachijskiego radia ,,Wyzwolenie'' nie ulega zmianom. To samo dotyczy Białorusinów i niepodległościowych ośrodków emigracji gruzińskiej, azerbejdżańskiej, północno-kaukaskiej i turkmeńskiej.

CIEKAWA INICJATYWA

Na ogół emigracja ukraińska podobnie jak i inne emigracje stroni od szukania nowych dróg i idej. Na tle tradycyjnych kierunków, haseł i metod politycznego działania, powiew świeżości przedstawia inicjatywa podjęta przez środowisko Ukraińskiej Rewolucyjno-Demokratycznej Partii, — ugrupowania, które składa się nieomal wyłącznie z podsowieckiej emigracji i głosi program demokratyzacji, rządzonej dziś totalitarnie Ukrainy. Jest to grupa polityczna wprawdzie niesocjalistyczna, o charakterze lewicowo-liberalnym, ale w porównaniu np. z Brytyjską Partią Pracy, o wiele bardziej lewicowa. Środowisko URDP od dawna już interesowało się sprawą nawiązania współpracy z innymi pokrewnymi ruchami politycznymi narodów uciemiężonych przez sowiec-

ko-rosyjski komunizm, a przede wszystkim z przedstawicielami narodów Związku Sowieckiego. Usiłowaniom tym przyświecała również idea znalezienia wśród emigracji rosyjskiej ludzi śmiałych, którzy mieliby odwagę uznać niepodległościowe postulaty nierosyjskich narodów ZSSR i prowadzić wspólną akcję antybolszewicką jak równi z równymi, bez jakichkolwiek spekulacji w sensie ratowania imperium rosyjskiego. Pierwszym konkretnym rezultatem tych dążeń jest dwutygodnik w języku rosyjskim ,,Oswobożdjenie" — organ międzynarodowego rewolucyjno-demokratycznego ruchu narodów ZSSR". Naczelnym hasłem tego pisma jest ,,Wolność uciemiężonym". ,,Oswobożdjenie" cytuje w tytule każdego numeru słowa zmarłego niedawno demokraty rosyjskiego Fedotowa : ,,przekonanie, że imperium rosyjskie powstawało nie przemocą, a drogą pokojowej ekspansji, charakterystyczne jest dla nacjonalistów wszelkich narodów". W piśmie wyświetlającym zagadnienia stosunków między Rosją a narodami nierosyjskimi współpracują przedstawiciele emigracji ukraińskiej, kaukaskiej (jednym z czołowych współpracowników ,,Oswobożdjenia" jest b. pułkownik Armii Czerwonej, po wojnie specjalny pełnomocnik Rady Ministrów ZSSR i Politbiura dla spraw lotnictwa i samolotów odrzutowych na Niemcy, obecnie — po ucieczce do Wielkiej Brytanii w r. 1948-tym — niepodległościowy działacz kaukaski — Tokajew) publicyści tatarscy, kozaccy, kałmuccy itd. Jest to zatem próba odrodzenia w nowej formie i w obliczu nowych zadań ruchu prometejskiego. Najciekawszą jednak sprawą w całej tej inicjatywie ukraińskiej jest niewątpliwie próba nawiązania na płaszczyźnie całkowitego równouprawnienia współpracy z przedstawicielami emigracji rosyjskiej. Stojące na platformie zachowania całości imperium rosyjskiego w takiej czy innej formie, emigracyjne ugrupowania rosyjskie zajęły oczywiście negatywne stanowisko wobec idej głoszonych przez ,,Oswobożdjenie". Ale odezwały się już i inne głosy rosyjskie. Oto Piotr Mieszczerjakow z grupy Borysa Sawinkowa, który jak wiadomo w roku 1920-tym, stojąc na czele Rosyjskiego Komitetu Politycznego, podpisał układ z rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej, uznając w nim niepodległość i suwerenność Ukrainy, apeluje na szpaltach ,,Oswobożdjenia" do zwolenników Sawinkowa, aby podjęli ideę współpracy z innymi narodami w duchu tradycji Hercena, Fedotowa, Sawinkowa. Z Brazylii odezwał się b. sierżant Armii Czerwonej, Duszeczkin. Najpotężniejszym sukcesem jest jednak apel znanego rosyjskiego działacza i pisarza politycznego, Aleksinskiego, do utworzenia rosyjskiej reprezentacji narodowej, która winna stanąć na stanowisku prawa wszystkich narodów ZSSR do samodzielności państwowej. Gdyby inicjatywa Aleksinskiego znalazła poparcie wśród demokratycznej części emigracji rosyjskiej, byłby to poważny krok naprzód.

Prawie równocześnie z powstaniem ,,Oswobożdjenia" grupa URDP podjęła inicjatywę celem utworzenia organizacji b. kombatantów Armii Czerwonej. W rezultacie powstał ,,Antykomunistyczny Związek b. Żołnierzy Armii Sowieckiej — Legion im. Szymona Petlury". Kiedy zważyć, że w wypadku zbrojnego konfliktu większość Ukraińców włoży mundury sowieckie i że dotychczasowe organizacje kombatanckie ze względu na swe tradycje i powiązania z poszczególnymi okresami walk wyzwoleńczych, nie zajmowały się zagadnieniem żołnierza ukraińskiego w armii sowieckiej lub nie były w stanie stać się ośrodkiem przyciągającym uchodźców z garnizonów sowieckich w Niemczech Wschodnich, nowa organizacja kombatancka ma szerokie pole do działania i może odegrać ważną rolę w walce z komunizmem sowieckim. W deklaracji Legionu im. Szymona Petlury czytamy m.in. następujące charakterystyczne sformułowania :

> ,,Na emigracji widzimy, że rosyjscy białogwardziści i reakcja rosyjska, wyrzucona kiedyś przez falę rewolucji, posiada wielkie aspiracje i pewne poparcie niektórych kół zachodniego świata. Demokratyczny

świat musi wiedzieć, że ci przedstawiciele reakcyjnego imperializmu rosyjskiego nie mają nie tylko żadnych sympatii, ale przeciwnie, są znienawidzeni przez wszystkie narody ZSSR, w tym również przez naród rosyjski..." „...wierzymy głęboko, że stalinowskie, moskiewskie więzienie ludów może być radykalnie unicestwione tylko przy akcji przeciwko temu więzieniu wszystkich uciemiężonych narodów ZSSR" ... „zwracamy się do naszych dawnych i przyszłych towarzyszy broni, Rosjan, — synów narodu rosyjskiego z apelem do walki przeciwko imperializmowi stalinowskiemu, bo imperializm ten nie przynosi narodowi rosyjskiemu ani honoru, ni sławy, a jedynie nieszczęścia... wierzymy, że robotnicy i chłopi rosyjscy tak, jak to czynili kiedyś, nie będą bronili w przyszłości żadnej kliki imperialistów Kremla, ale staną do walki o demokrację, pokój i niezawisłą Rosję w jej granicach etnograficznych. Wierzymy, że długie dziesięciolecia cierpień pod jarzmem despotii Romanowów, a potem dyktatury stalinowskiej, nauczyły naród rosyjski szanować narodowe i ludzkie interesy robotników i chłopów wszystkich innych narodów i że naród rosyjski nie będzie grabarzem wolności narodów uciemiężonych".

Obecnie, kiedy po śmierci Stalina nowi władcy Kremla przywracają taktykę dawnych leninowskich haseł „równości narodów" i „proletariackiego internacjonalizmu", ukraińska inicjatywa w celu powstania ruchu prawdziwej równości narodów może się stać bronią w wojnie psychologicznej, do użycia której będą zmuszeni pewnego dnia Amerykanie w ich — dotychczas bezowocowej — wojnie psychologicznej.

BEO

Wspólnota doli

„Schicksalgemeinschaft" oznacza wspólność doli i niedoli, wynikającą z konieczności; wspólnicy są na nią „skazani". W małżeństwie wspólnota jest, a przynajmniej bywa, dobrowolna. W historii sąsiedzkich narodów — nieunikniona, taka „na którą już nie ma rady". Źle czy dobrze — ale jest ona i będzie. Monologi mogą dawać chwilowy upust nagromadzonym żalom i goryczy, ale nie załatwiają nic. Prędzej czy później, nastąpi spotkanie na schodach albo we wspólnej kuchni.

We wstępie do swojej książki o „niemiecko-słowiańskiej wspólnocie doli" pisze p. Fritz Gause, że gdy otrzymał od „Goettinger Arbeitskreis" propozycję napisania zwięzłej historii Niemiec wschodnich, to już w toku pracy przyszedł do przekonania, że trzeba na to zagadnienie spojrzeć inaczej, aniżeli dotychczas się patrzyło. „Ze stanowiska myśli narodowo-państwowej — pisze — dziejopisarstwo wszystkich narodów, mieszkających na Wschodzie, a więc i niemieckie, widziało zazwyczaj zysk w rozrastaniu się własnego narodu i państwa, stratę w ich kurczeniu, a w sąsiedzie — przeciwnika. Takie ujęcie

sprawy nie jest wprawdzie fałszywe, ale jest jednostronne. Dziś, gdy wobec bankructwa idei narodowo-państwowej w jej zachodnim kształcie, usiłujemy iść ku Europie, gdy znów pragniemy myśleć w perspektywie szerszej niż narodowa — Wschód ukazuje nam się nie tylko jako pole walki narodów i państwa, ale również jako część świata zachodniego i właśnie teraz, gdy ten Wschód stał się zachodnim przedpolem Azji, warto się zastanowić nad jego zachodnio-europejską przeszłością. Ten punkt widzenia nie jest już wprawdzie nowością, ale dotychczas, o ile mi wiadomo, nie był jeszcze zastosowany do przedstawienia dziejów wschodniej przestrzeni (Europy). Tak powstała książka o ,,niemiecko-słowiańskiej wspólnocie doli''. Jej treścią są zresztą nie tylko dzieje wschodnio-niemieckie i słowiańskich sąsiadów Niemiec, a więc Polaków i Czechów, ale również narodów bałtyckich, a pewnej mierze i Węgier.

Jak na historyka przystało, autor przestrzega, w toku swego wywodu, przed błędem, polegającym na ocenianiu czasów minionych miarami i pojęciami, wykształconymi w późniejszych epokach. Takim błędem jest rzutowanie idei narodowo-państwowej, wytworu nowych czasów, wstecz — do czasów, którym nie była ona znana. Ów błąd prowadzi do zniekształcenia obrazu przeszłości, a jest popełniany przez ludzi, którzy ,,historię potrafią wyobrazić sobie jedynie jako walkę między narodami''.

Rzeczą fachowej krytyki będzie osądzenie czy i w jakim stopniu autor wywiązał się ze swego zadania. Wydaje mi się, że tym dwu zasadom, jakie sobie postawił, pozostał wierny... aż do pewnego punktu, tj. aż do Traktatu Wersalskiego. Od tej chwili historyk zmienia się w namiętnego publicystę, chłodna analiza ustępuje miejsca gwałtownej argumentacji, autor rozdziela razy na prawo i na lewo, czasami na ślepo i formułuje tezy ,,pośpieszne'', rażąco powierzchowne w porównaniu z całością wywodu. I tutaj już przestajemy go słuchać jako historyka, choć staramy się go zrozumieć jako człowieka.

Gdyby nie ta ostatnia część, która w pewnej mierze niszczy efekt całości, bo przenosi czytelnika do innej zupełnie atmosfery, to trzeba by powiedzieć, że książka — przeznaczona dla szerokiej publiczności — jest pożyteczna. Czytelnik niemiecki dowie się z niej o wielu rzeczach, o których nieraz nie miał zupełnie pojęcia. Rzecz dziwna, w tym kraju, gdzie znawcy spraw wschodnio-europejskich (a chodzi nam, szczególnie o polskie sprawy) są tak liczni i literatura w tej dziedzinie tak bogata; gdzie dziś, w przeróżnego rodzaju specjalnych szkołach i instytutach prowadzi się rozległe i gruntowne studia nad tymi sprawami, gdzie jest tak wielu ludzi, którzy, w pokoju czy w wojnie, zetknęli się blisko z wschodnimi swymi sąsiadami w ich własnym kraju — wiedza przeciętnego obywatela o tych sąsiadach ogranicza się wciąż do niewielkiej ilości sloganów propagandowych lub do wątpliwej wartości ,,skrótów''. — ,,Powiedzcież naszym ludziom'' — mówił mi jeden z niemieckich znajomych — ,,że historia Polski nie zaczyna się od rozbiorów''. W jed-

nym z berlińskich dzienników czytaliśmy niedawno artykuł wstępny, z okazji rocznicy napadu Hitlera na Polskę, że w 1918 roku Polacy uzyskali wreszcie wolność, ,,o której przez całe wieki marzyli''. Autor artykułu widocznie nic nie wiedział o tym, że państwo polskie istniało przez dziewięć wieków, ba, nawet przez czas pewien było jednym z największych w Europie, że potem, przez następne sto i kilkanaście lat kilkakrotnie powracało do historii, choć w okrojonym kształcie, a jego dzieje były przez cały czas ściśle związane z historią jego własnego kraju. Autor owego, sympatycznego zresztą artykułu, przeczyta niewątpliwie książkę p. Gause z zainteresowaniem i pożytkiem dla siebie.

,,Wspólnota doli'' występuje w zdaniach, które dla niejednego czytelnika niemieckiego, wychowanego głównie na propagandzie, będą rewelacją — jak np. to zdanie o bitwie, stoczonej pod Legnicą przez ,,chrześcijańskich rycerzy'': ,,Walczyli tam Niemcy i Polacy. Bitwa nie była tylko dziełem niemczyzny, choć nawet stoczono ją pod niemieckim dowództwem, ale nie była też wyrazem ani początkiem historycznej misji Polski, tylko dowodem niemiecko-polskiej wspólnoty doli''.

Albo sprawa ,,germanizacji'' czy ,,polonizacji'' w średniowieczu:

,,Społeczeństwo zachodnie dzieliło się nie na narody, ale na stany i dokoła wyższych stanów, szlachty i kleru, tworzyła się najpierw wyraźna świadomość stanowa, górująca nad różnicami etniczno-językowymi... W ten sposób connubium było nie tylko czymś naturalnym, ale i samo przez się zrozumiałym. Przy tym na przeważająco niemieckich przestrzeniach włączyła się słowiańska szlachta do niemczyzny, a na przestrzeniach przeważająco słowiańskich szlachta niemiecka — do słowiańszczyzny. I tak (niemieccy) członkowie patrycjatu miast polskich np. Krakowa, gdzie byli kupcami i właścicielami dóbr, przeszli do polskiej szlachty. Nazywanie tego procesu, z narodowego punktu widzenia, odpadnięciem od własnego narodu lub narodową zdradą, byłoby rzeczą fałszywą. Częste małżeństwa między niemiecką i słowiańską szlachtą i książętami były tylko wyrazem wspólnej, stanowej świadomości''.

Czytelnik znajdzie w tej książce dzieje rozbiorów Polski oraz ich niedwuznaczne potępienie jako ,,niesprawiedliwości'' (choć jako historyk interpretuje je autor w świetle ówczesnych pojęć o racji stanu). Znajdzie opis germanizacyjnej polityki Bismarcka i ,,Kulturkampfu'' wraz z wykazaniem ich niesłuszności oraz opisem przeciwdziałania z polskiej strony (Wojciech Korfanty przy tym błędnie nazwany został Karolem). Dowie się o roli Kościoła Katolickiego w utrzymaniu polskości na tych terenach, o Marcinkowskim, o działalności Poznaniaków na Śląsku i na Pomorzu, o kształtowaniu się życia politycznego, społecznego i gospodarczego w całej Polsce, w wieku 19-ym i na początku 20-go wieku.

Niestety, książka jest oparta wyłącznie o źródła niemieckie i choć autor wyraża nadzieję, że ,,mimo to odpowiada ona wymaganiom naukowym'', to jednak trudno nie stwierdzić, że fakt

ten pociągnął za sobą pewną jednostronność w potraktowaniu całości. Prawda, że pierwotnym zamiarem było napisanie dziejów wschodniej niemczyzny i podkreślenie jej wkładu cywilizacyjnego we wschodniej Europie. Gdy jednak, jak pisze sam autor, zamiar ten rozszerzył się w toku pracy i objął dzieje „wspólnoty doli" — źródła te musiały się okazać niewystarczające. Stąd powstały luki, co byłoby jeszcze mniejszym złem, gdyby nie to, że luki te ukazują pewne zagadnienia w zniekształconej perspektywie. I tak np. jest zupełnie zrozumiałe, że autor stara się wytłumaczyć, na czym polegała „porządkująca rola" elementu niemieckiego w przyczynianiu się do rozbudowy miast i przeniesieniu różnego rodzaju umiejętności. Ale zupełnie pomija milczeniem pracę, dokonaną w ciągu wieków przez inne narody w tej samej dziedzinie, choćby np. dzieło cywilizacyjne, dokonane przez Polaków na wschodzie po unii z Litwą. A przecież ono właśnie przyczyniło się do ukształtowania oblicza całej środkowo-wschodniej Europy, nadając mu rysy zachodnie i nie pozostało zresztą bez wpływu na „niemiecko-słowiańską wspólnotę doli". Powołanie się na trzech wieszczów raczej te braki uwypukla aniżeli ratuje sprawę. Widać, że tutaj autor nie jest w swoim żywiole. W rezultacie, czytelnik musi odnieść wrażenie, że poza Niemcami nikt tam prawie nie myślał, nie tworzył, nie działał. A tak przecież nie było. Przypadkiem jakby wspomina autor o włoskich wpływach w polskiej kulturze, co już świadczy o tym, że pochód Zachodu na wschód był procesem bardziej złożonym, aniżeli mogłoby się to wydawać z jego wywodu. Podobnie, przypisywanie odrodzenia narodowego Czechów wyłącznie wpływom niemieckiej literatury jest stanowczo przesadą.

Jedną z myśli przewodnich „Wspólnoty doli" jest wykazanie, że „Drang nach Osten" nie wynikał z programu politycznego, mającego na celu podboje, ale że był procesem żywiołowym — w początkowym okresie jedną z faz ogólnego procesu tworzenia i kształtowania się państw, a potem zjawiskiem z dziedziny gospodarczo-kulturalnej, które powstawało nie przeciwko narodom wschodnio-europejskim, ale z ich wiedzą i przy ich współudziale. Inaczej zupełnie było z „Drang nach Westen", ze strony Moskwy, który był od początku świadomym urzeczywistnieniem celu ogólno-państwowego: podboju coraz to nowych obszarów na zachodzie. Autor podkreśla, że w dziejach „wspólnoty" brała udział, prawie przez cały czas, tylko wschodnia niemczyzna, podczas gdy pozostała część Niemiec była poza jej zasięgiem. „Polska uległa nie niemieckiemu parciu na wschód, ale rosyjskiemu parciu na zachód". Bez względu na to do jakich wyników może przywieść dyskusja nad tym zagadnieniem, wydaje się rzeczą pewną, choćby tylko na podstawie tego co pisze p. Gause, że wielokrotnie w ciągu dziejów Moskwa znajdowała, w tym dążeniu, wspólnika czy sojusznika w Wiedniu czy w Berlinie. Już to samo może postawić pod znakiem zapytania tezę o wschodniej niemczyźnie jako o głównej zaporze przeciw pochodowi Moskwy na zachód.

Jak już powiedzieliśmy — gdy autor zaczyna opisywać dzieje powstawania nowych państw po pierwszej wojnie światowej i dzieje Traktatu Wersalskiego, traci chłodną i obiektywną postawę historyka i zmienia się w namiętnego publicystę. Np. nie wiadomo dlaczego mówi o „uwolnionych'' narodach (w cudzysłowie) tam, gdzie owe narody naprawdę wolność odzyskały. Gdy mowa o mniejszości niemieckiej w Polsce, z zadowoleniem przytacza powiedzenie Lloyd George'a o „narodzie, który w ciągu historii nigdy nie wykazał, że się umie rzadzić'', (co odnosiło się do narodu polskiego), jakkolwiek znane zapewne są p. Gause zarówno talent krasnomówczy i dynamizm, jak i przysłowiowe gaffy owego brytyjskiego męża stanu w dziedzinie historii i geografii. Z niemniejszym zadowoleniem przytacza p. Gause podobną opinię Smutsa. Nie można się dziwić, gdy podobne okazje wykorzystuje publicysta w toku gorącej polemiki. Trzeba się jednak dziwić historykowi, gdy buduje na nich rzekomo naukowe poglądy. P. Gause pisze między innymi, że „Polska rozpoczynała swą nową państwowość z dużym obciążeniem''. To prawda. Ale czy nie należało by raczej się spodziewać od p. Gause, że w wywodzie swym wyjaśni, jak *mimo tego obciążenia,* Polacy potrafili w ciągu zaledwie paru lat zorganizować dość duże państwo, armię, wygrać wojnę ze znacznie większym sąsiadem i w ciągu następnych lat rozwinąć istniejące i obudzić do życia nowe dziedziny, wyrównując w wielu wypadkach (choć, rzecz zrozumiała, nie we wszystkich) do poziomu narodów, które znajdowały się w znacznie lepszych warunkach. Podobnie sprowadzenie całego dwudziestolecia niepodległości do jednej, chociażby nie wiem jak potężnej postaci Piłsudskiego, nie dziwiło by w propagandowym artykule przedwojennej „Gazety Polskiej'', ale na pewno musi dziwić w wywodzie historyka, który w tym wypadku przejawia większą skłonność do mitów, aniżeli do sumiennej analizy wydarzeń.

Taka analiza objąć by musiała nie tylko zarzuty, których nie szczędzi p. Gause narodowi dopiero obudzonemu do wolności, ale również i krytyczne spojrzenie na politykę niemiecką w tej nowej sytuacji. Zważywszy, że umiejętność rządzenia się oznacza nie tylko talent w dziedzinie gospodarczej, technicznej czy sanitarnej organizacji, ale również zdolność do ułożenia sobie stosunków z sąsiadami i realizm w ocenie otoczenia należało by może zapytać jaką postawę zajęły Niemcy wobec odrodzonego państwa polskiego. Prawdą jest, że postawa ta była nieprzychylna, że od początku robiono w Berlinie wszystko, aby nowemu państwu polskiemu rzucać kłody pod nogi. I to właśnie było jednym z głównych „obciążeń'', o których wspomina p. Gause w swej książce. Chyba właśnie w dziele o „niemiecko-słowiańskiej wspólnocie doli'' powinno się znaleźć wyjaśnienie znaczenia wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919 — 20 i bitwy pod Warszawą dla losów Niemiec i dla losów Europy. Nie ulega wątpliwości, że gdyby ta bitwa była przegrana, to armie bolszewickie znalazłyby się w Niemczech o 25 lat wcześniej — tak

jak to było zamierzone. Tymczasem postawa Niemiec w owym czasie bynajmniej nie świadczyła o zrozumieniu doniosłości chwili, a pierwszym samodzielnym działaniem dyplomacji niemieckiej po wojnie światowej było — Rapallo, a więc sojusz właśnie z tym państwem, które — zdaniem p. Gause — postawiło sobie za cel zgładzenia Zachodu.

Ocena agresji Hitlera na Polskę i okrucieństw dokonanych przez hitlerowskie Niemcy we wschodniej Europie, jest w książce p. Gause uczciwa i surowa. Niemniej jednak czytelnik ma wrażenie jakiegoś przestawienia proporcji. Porównanie wysiedleń, przeprowadzonych w Polsce przez Niemców ,,w ograniczonych rozmiarach'' z późniejszymi wysiedlaniami, dokonanymi po wojnie — daje w sumie obraz rzeczy, który wydaje się daleki od rzeczywistości. Autor zapomina o Warszawie i wysiedleniu 2 milionów ludzi bez żadnej potrzeby. W tym wypadku mamy bardzo dobitne oświadczenie tak przyjaźnie do Niemiec usposobionego człowieka jak p. Mc Cloy — jednak opinia ta w Niemczech nie jest znana. Tu nie chodzi o uzasadnianie wysiedleń, które nie były przeprowadzane wyłącznie polskimi rękami i za które odpowiedzialność nie spada na jedną tylko stronę. Chodzi o to, że obraz wydarzeń w książce p. Gause ma nierzeczywiste proporcje i może się przyczynić do zmylenia sądu. Niewątpliwie, gdyby autor wykorzystał nie tylko źródła niemieckie, miałby możność przedstawienia dziejów tego i innych okresów w sposób znacznie mniej jednostronny.

Można było oczekiwać, że w konkluzji swej książki p. Gause spojrzy w przyszłość tymi samymi oczyma, którymi w przeszłości potrafi widzieć bystrzej aniżeli w czasach mu współczesnych; że wyciągnie wniosek ze swych własnych słów: ,,Co się stało, to się nie odstanie'' i że trzeba coś rozpocząć od nowa. Z pewnym rozczarowaniem trzeba stwierdzić, że jedyne rozwiązanie sprawy wschodnio-europejskiej widzi on w ,,odzyskaniu przez naród niemiecki takiego udziału na wschodzie, na jaki on sobie zasłużył pracą i działaniem''. Konkluzja ta jest co najmniej niejasna.

Autor sądzi, że spośród Niemców, szczególnie ,,ludzie wschodu'' są powołani do tego, aby w przyszłości współdziałać w odbudowie zachodnio-europejskiego stylu życia. W innym miejscu przypomina, jak to w 1848 r., owi ludzie potrafili przeciwstawić frankfurckim liberałom i demokratom ,,lepszą znajomość stosunków na wschodzie''. I na dowód tego cytuje między innymi słowa wypowiedziane przez wschodnio-pruskiego poetę Wilhelma Jordana: ,,Okoliczność, że Polaków tym więcej się lubi im dalej się od nich jest, a tym mniej im się jest bliżej...''. O takim dowodzie, rzecz prosta, można tylko powiedzieć, że ,,cela vous laisse rêveur''.

Jerzy PRĄDZYŃSKI

Kronika angielska

WOKÓŁ ZJEDNOCZENIA

Według oficjalnego komunikatu PAT rozmowy zjednoczeniowe toczą się w atmosferze wzajemnego zrozumienia i zbliżają się do pomyślnego końca. Tego końca jednak nie widać. Treść rozmów zjednoczeniowych utrzymywana jest w ścisłej tajemnicy. Dobrze poinformowani londyńczycy twierdzą, że przyszły zjednoczony rząd osiądzie na stałe w Stanach Zjednoczonych. Londyn stanie się wówczas małym prowincjonalnym miasteczkiem, gdzie urzędować będzie w najlepszym razie delegat rządu.

W ostatnim okresie skrystalizowała się wyraźnie nomenklatura „zjednoczeniowa''. Zgodą narodową mają być objęte wyłącznie stronnictwa niepodległościowe przez co należy rozumieć obóz rządowy i Radę Polityczną.

Choć, jak wiadomo, nie podzielamy poglądów politycznych Komitetu Demokratycznego p. Mikołajczyka to jednak nie wydaje się nam, by było rzeczą właściwą wprowadzanie tego typu hańbiącego rozróżnienia. Według naszej oceny nie istnieją realne możliwości objęcia akcją zjednoczeniową Komitetu Demokratycznego ale to nie może być powodem, by na obczyźnie stwarzać podział emigracji na niepodległościową i ,,satelicką''. Podział ten kompromituje nas wobec obcych i nie odpowiada prawdzie. Do Komitetu Demokratycznego należy wielu dobrych Polaków, których niepodległościowa postawa nie może być poddawana w wątpliwość. Cele polityczne Komitetu Demokratycznego wielokrotnie publikowane nie mogą być określane jako quislingowskie czy ,,satelickie''.

Obóz rządowy wychodzi z założenia, że każdy Polak, który nie uznaje obecnego rządu za legalny ,,schodzi z platformy niepodległościowej''. To jest bardzo ryzykowna interpretacja, którą należy zarzucić. Jak wykazała ankieta KULTURY, na emigracji jest bardzo wielu Polaków, którzy do rządu odnoszą się z całkowitą obojętnością a mimo to biorą aktywny udział w życiu polskim i są w pełnym tego słowa znaczeniu niepodległościowcami. W kraju istnieją zapewne miliony a może kilkanaście milionów Polaków, którzy o rządzie londyńskim nic nie wiedzą, względnie nie przywiązują do jego istnienia żadnej wagi. Czyż i ci Polacy nie mają prawa do miana ,,niepodległościowców'' ?

Z punktu widzenia taktyki politycznej całkowicie wystarczy, gdy czynniki rządowe ograniczą się do stwierdzenia, iż nie uważają za pożądane akcją zjednoczeniową objąć Komitetu Demokratycznego, z uwagi na zasadnicze różnice poglądowe, choć pewni członkowie Rady Politycznej takie propozycje wysuwali.

SKARB NARODOWY

Trzeba stwierdzić, że płk. Iranek-Osmecki, dyrektor Biura Głównej Komisji Skarbu Narodowego — tchnął w tę instytucję ducha iście amerykańskiej ,,efficiency''. Jak wiemy — nie zawsze tak bywało.

Niedawno Skarb Narodowy obchodził trzecią rocznicę swego powstania. W związku z tą rocznicą Prezydium Głównej Komisji zorganizowało w Londynie konferencję prasową. Ci spośród zaproszonych dziennikarzy, który nie mogli wziąć udziału w konferencji zostali odnotowani i otrzymali pocztą

całość materiałów informacyjnych wraz z listem dyr. Iranek-Osmeckiego. Nie zawsze Skarb Narodowy tak interesował się prasą i należy z uznaniem powitać tę jakże celową i „europejską". inicjatywę.

Materiały informacyjne dostarczone dziennikarzom są nieżmiernie przejrzyście i wszechstronnie opracowane. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Skarb Narodowy jest dziś najlepiej zorganizowaną i najsprawniej funkcjonującą instytucją polską na emigracji. Skarb Narodowy — poza tym — jest jedną z nielicznych emigracyjnych instytucji, która nie więdnie, lecz wprost przeciwnie z roku na rok potężnieje i rośnie.

Dane cyfrowe są znane powszechnie ze sprawozdań w prasie codziennej. Na tym miejscu chciałbym jedynie podkreślić, że sumy wydatkowane na cele kulturalne i oświatowe są dysproporcjonalnie małe. Na te cele z zebranych dotychczas £ 71,191 — wydatkowano w czasokresie 3 lat zaledwie £ 14.970. Procentowo wydatkowano : 53 % na zewnętrzną akcję niepodległościową, 31,4 % na akcję wewnętrzno-niepodległościową i 15,6 % na administrację. Ze sprawozdań widać wyraźnie, że grupa pierwsza tj. zewnętrzna akcja niepodległościowa wykazuje stałą tendencję zwyżkową. Jest to dowodem, że rząd coraz większe sumy poświęca na zewnętrzną akcję polityczną. Nie wiem czy w naszej sytuacji jest to polityka celowa. W każdym jednak wypadku jest to polityka obliczona na krótką metę. Długo - falowa polityka emigracyjna wymagałaby wręcz odwrotnej taktyki finansowej. Trzeba by 50 a może i 60 % dochodów Skarbu Narodowego poświęcać na cele kultury i oświaty polskiej na obczyźnie. I sądzę, że w obecnym okresie to byłaby najwłaściwsza inwestycja niepodległościowa. Dziecko na którego polski elementarz dziś braknie pieniędzy — nie wyrośnie na przyszłego płatnika Skarbu Narodowego. A gdzież mamy pewność, że za 5 czy 10 lat Skarb Narodowy nie będzie potrzebował nowego pokolenia płatników ?

Po 13 latach pobytu na obczyźnie walka o zachowanie polskości młodego i najmłodszego pokolenia staje się z każdym miesiącem zagadnieniem coraz bardziej palącym i czołowym. Niestety zestawienia rachunkowe Skarbu Narodowego wskazują na to, że rząd nie widzi tego zagadnienia w jego rzeczywistych wymiarach i w perspektywie jego nieuchronnych konsekwencji. Polityka rządu jest polityką „jedno-pokoleniową".

Do Sprawy Skarbu Narodowego, a przede wszystkim wydatkowania jego dochodów. powrócimy niedługo omawiając to zagadnienie w sposób zasadniczy.

O OFICERACH ZAWODOWYCH I REZERWY

W czasie święta 7 pułku Ułanów w Londynie Gen. Anders wygłosił dłuższe przemówienie. W streszczeniu tego przemówienia na łamach „Orła Białego" czytamy m. in. co następuje :

„Generał wskazał na pewne niepożądane objawy, które zresztą występują zwykle w okresie kryzysu i trudności. Pojawia się nieraz zmęczenie psychiczne, lub osobiste niezadowolenie gorzej, jeżeli następuje przerost ambicji, połączony z małością charakteru poszczególnych jednostek. Tego rodzaju przykre objawy wystąpiły niestety ostatnio w działalności Zarządu Związku Żołnierzy Zawodowych (oficerów i podoficerów). Związek ten powstał przed kilku laty z wyraźnie określonym celem : polepszenia warunków bytu oficerów i podoficerów zawodowych przez podjęcie odpowiednich starań u władz brytyjskich. Szczególnie ciężka sytuacja tych żołnierzy była i jest niesporna i wysiłki zmierzające do ulżenia ich doli zasługiwały na poparcie. Interwencje wszakże w tej dziedzinie gen. Andersa zarówno u prem. Attlee jak u prem. Churchilla nie dały wyników finansowych. Gen. Anders zatem poparcia tej organizacji udzielał, aczkolwiek nie uważał i nie uważa,

by w 14-tym roku wojny można było czynić różnice między oficerem zawodowym a oficerem rezerwy. Los ich obu oraz zasługi dla Armii i Kraju są takie same. Nie możemy będąc na obcej ziemi i po tylu latach wojny stosować poglądów, które były uzasadnione na ziemi własnej i w czasach normalnych.

Obecnie działalność Zarządu Związku Żołnierzy Zawodowych zaczęła niestety przekraczać początkowo zakreślone ramy statutowe, i weszła na drogę nieustannych i niepoczytalnych napaści na kierownicze czynniki polskie.

Gen. Anders stwierdza z ubolewaniem, że Zarząd Związku działa obecnie wbrew założeniom dyscypliny i poczucia obowiązku obywatelskiego".

Jakże wiele rzeczy w ostatnich kilkunastu latach uległo radykalnej zmianie. Zbladł nawet mit oficera zawodowego, który zrównany został z... rezerwistą. Surowe słowa nagany skierowane przez gen. Andersa pod adresem Zarządu Związku Zawodowych Żołnierzy budzić muszą jeszcze inne refleksje w społeczeństwie, jakże długo chowanym w kulcie dla zawodowych oficerów (zwłaszcza od pułkownika wzwyż).

POLSKI UNIWERSYTET NA OBCZYŹNIE

W dn. 21 marca br. w Instytucie im. Gen. Sikorskiego w Londynie, odbyła się uroczysta inauguracja Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (oficjalny skrót : PUNO). Rektorem jest prof. dr T. Brzeski. Wykłady prowadzi 36 profesorów i docentów z których 26 przebywa na obszarze Wielkiej Brytanii.

Jak wiadomo w grudniu 1952 dekret Prezydenta R.P. nadał PUNO pełne prawa szkoły akademickiej w zrozumieniu prawa polskiego. PUNO ma już za sobą poważną pracę i doskonałe wyniki i chyba żadna z inicjatyw emigracyjnych nie zasługuje na równie głęboki szacunek i uznanie.

Mimo to, pewne pociągnięcia tej instytucji budzą różne refleksje. Jak wiadomo dwóch doktorów filozofii — jeden historyk, drugi filolog klasyczny — uzyskało habilitację. Należy podkreślić z całym naciskiem, żé obaj habilitowani uczeni są wybitnymi specjalistami i jako docenci przynieśliby zaszczyt każdemu poważnemu europejskiemu uniwersytetowi. Ale może właśnie dlatego budzą się wątpliwości czy w tym emigracyjnym budowaniu polskiej rzeczywistości, *obok oficjalnej*, realnej rzeczywistości nie posuwamy się zbyt daleko. Niebezpieczeństwo polega na tym, że im bardziej dziełom, istniejącym wyłącznie w polskim wymiarze, staramy się nadać wyraz możliwie realistyczny — tym bardziej podkreślamy fikcyjność naszego emigracyjnego świata, który istnieje wyłącznie „w zrozumieniu prawa polskiego".

Nauka jest międzynarodowa i instytucja, która przyznaje wysokie tytuły naukowe — jeżeli tytuły te mają mieć w świecie jakieś znaczenie — musi odpowiadać pewnym warunkom i dekret Prezydenta, legalnego i autentycznego ale emigracyjnego, nie jest w tym wypadku dostatecznym fundamentem. Owa dziwna skłonność, która każe nam w naszym emigracyjnym świecie imitować świat rzeczywisty w każdym szczególe, owa dbałość by wszystko u nas nazywało się jak „prawdziwe" podkreśla niepotrzebnie a boleśnie tragizm naszej sytuacji.

Mieliśmy w Polsce wspaniałe uniwersytety. Profesorów naszych wyższych uczelni Bertrand Russel w jednym ze swych szkiców zaliczył do najświetniejszych umysłów przedwojennej Europy. Wiadomo jednak, że w Londynie w ramach wieczorowych kursów nie mamy możliwości odbudowania czy odtworzenia Wszechnicy Jagiellońskiej czy Uniwersytetu Warszawskiego. Możemy stworzyć instytucję poważną i pożyteczną ale nie doskonałą.

Na emigracji bowiem nic nie może być doskonałe ! W wymiarach emigracyjnych wszystko jest przejściowe i zastępcze.

Wydaje mi się, że należy wyciągnąć z tego konsekwencje i nie imitować rzeczy, które w warunkach emigracyjnych są nie do zimitowania i nie są ani potrzebne ani celowe. Polski Uniwersytet na Obczyźnie może znakomicie i zaszczytnie pełnić swą funkcję nie tworząc „docentów PUNO", którzy nie mogą mieć tego statutu jaki posiadają docenci oficjalnie i powszechnie uznanych uniwersytetów.

LONDYŃCZYK

Kronika brazylijska

Nie może chyba ulegać wątpliwości, że polska strategia polityczna musi rozwijać się dwu-torowo.

Z jednej strony należy wytężać wszystkie siły w tym kierunku, by wzmocnić polskie centralne ośrodki działania, skupiając dokoła nich wszystkich Polaków i wyposażając je w środki, pozwalające na poprowadzenie własnej polityki niepodległościowej. Pod tym względem zarysowują się ostatnio bezsprzecznie duże postępy, pozwalające patrzyć ufniej w przyszłość.

Ale to jeszcze nie wszystko. W okresie krytycznym, w którym krystalizują się po raz pierwszy wyraźniej nowe podstawy organizacji Wolnego Świata, zarówno na płaszczyźnie Stanów Zjednoczonych Europy Zachodniej, nieoczekiwanie daleko zaawansowanych, jak i zalążków przyszłej, zwolnionej spod jarzma sowieckiego, Europy Wschodniej i Środkowej, trzeba zdobyć się na największy wysiłek, by związać z sobą jak najściślej sprawę niepodległości Polski ze sprawą wolnej, zjednoczonej, demokratycznej Europy.

Sami, odizolowani, niczego nie wskóramy ani dziś ani tym mniej jutro, w okresie zbliżającej się w przyspieszonym tempie rozgrywki, między Zachodem a Wschodem. W świecie dzisiejszym zagadnienia indywidualne małych i średnich narodów, niezwiązanych w większe bloki i ugrupowania, nie mogą zaważyć na szali wielkich wypadków dziejowych.

Toteż dobrze się stało, że zupełnie niezależnie od analogicznych osiągnięć w innych krajach, które zresztą nie zawsze odpowiadają całkowicie interesom i zamierzeniom polskim, zawiązane zostało ostatnio po tamtej stronie Oceanu „Brazylijskie Stowarzyszenie Wolnej Europy", które w krótkim okresie swojego istnienia zdobyło już sobie poważne stanowisko, oddziaływując istotnie na ukształtowanie się opinii politycznej tego kraju w stosunku do spraw europejskiego międzymorza.

Na pierwszy rzut oka mogłoby wydawać się, że osiągnięcie to, o charakterze lokalnym i to w kraju pozornie odległym od wielkich centrów polityki światowej, nie zasługuje na większą uwagę. Opinia taka byłaby jednak oczywiście błędna. Brazylja, która zarówno swą ludnością (53 miliony) jak i obszarem (8.500.000 km2) stanowi dokładnie połowę Ameryki Południowej i której rozwój gospodarczy wykazuje ostatnio postępy zdumiewające, odgrywa dziś w polityce międzynarodowej rolę doniosłą, rywalizując coraz skuteczniej z Argentyną, jako leader społeczności państw łacińsko-amerykańskich. Dość wspomnieć, że w tej chwili Brazylijczycy zajmują stanowiska kierownicze w nieomal wszystkich organizacjach technicznych O.N.Z.. Trudno zaprzeczyć, że agresywna ofensywa światowego komunizmu, skierowana w stopniu szczególnie silnym przeciw Brazylji, tłumaczy się w dużej mierze wzrastającym jej znaczeniem na politycznej arenie Półkuli Zachodniej.

Otóż trudno oprzeć się wrażeniu, że do tej zdecydowanej przeciwsowieckiej reorientacji Brazylii przyczyniła się, i to bardzo pokaźnie działalność „Associaçào Brasileira da Europa Livre". Stowarzyszenie to, całkowicie niezależne i samodzielne, połączyło z sobą w harmonijnej współpracy nie tylko przedstawicielstwo kolonij bułgarskiej, estońskiej, litewskiej, łotewskiej, rumuńskiej, węgierskiej, czeskiej, ukraińskiej i polskiej, ale i najwpływowsze ugrupowania polityczne brazylijskie wszystkich odłamów myśli demokratycznej. Dość wspomnieć, że naczelne stanowiska zajmują w Stowarzyszeniu trzej senatorzy : Assis Chateaubriand, brazylijski Lord Northcliffe, największy magnat prasy, radia i telewizji, wytrawny parlamentarzysta konserwatywny — Bernardes Filho i katolicko-liberalny działacz polityczny stolicy Dr Hamilton Nogueira; obok nich wypada wymienić pierwszego posła federalnego pochodzenia polskiego, Dr Bronisława Ostoja Roguskiego z opozycyjnego stronnictwa U.D.N. z Parany. Kierownicze stanowiska w zarządzie przypadły Henrykowi A. Spitzmanowi Jordanowi (prezydent), oraz b. posłom w Rio de Janeiro Czechosłowacji (dr Jan Reisser), Bułgarii (dr Alex Nikolajew) i Węgier (dr Mikołaj Horthy) ; dyrektorami Stowarzyszenia są dr Peters Olins (Łotwa), dr Frikas Meieres (Litwa), dr Tadeusz Skowroński (ostatni poseł R. P.), dr Karol Est (Estonia), płk. Edward Ressel (Rumunia) i inż. Andrzej Mazai (Ukraina). Na koniec, generalny Sekretariat Stowarzyszenia objął płk. Stanisław Kara (b. attaché wojskowy polski w Brazylii).

Czynną tę i wpływową organizację zmontował, prowadzi i w dużej mierze finansuje polski działacz społeczny, prezes tamtejszej Komisji Skarbu Narodowego, przemysłowiec i finansista a równocześnie zasłużony filantrop, Henryk Alfred Spitzman Jordan, którego inicjatywie należy przypisać wciągnięcie do prac Stowarzyszenia zarówno senatora Chateaubrianda, który postawił do jej dyspozycji potężny koncern prasowy „Diarios Associados" jak i dra Roberto Marinho, właściciela dziennika o ogromnym nakładzie „Globo" i wszystkich innych działaczy brazylijskich.

„Associacao" prowadzi szeroką działalność informacyjno-propagandową na łamach prasy codziennej, która nieomal codziennie przynosi artykuły i notatki „Wolnej Europy", poprzez radio i wykorzystując wszystkie inne nowoczesne metody techniki urabiania opinii publicznej. Wykłady, które organizuje, cieszą się dużym powodzeniem. Cieszy się poparciem najwyższych władz rządowych, z którymi utrzymuje najściślejsze kontakty. Memoriał, zaopatrzony podpisami trzech senatorów-prezesów honorowych Stowarzyszenia, przedstawiony niedawno Ministerstwu Spraw Zagranicznych i przyjęty zdecydowanie przychylnie przez sfery miarodajne, wypowiedział się za przedstawieniem gromadzeniu O.N.Z. następujących zaleceń i żądań :

„1) Zaapelować do poczucia sprawiedliwości Zgromadzenia O.N.Z., aby organizacja ta formalnie potępiła „ludobójstwo" i systematyczne niszczenie tendencji wolnościowych stosowane przez komunizm wobec narodów znajdujących się za „żelazną kurtyną".

2) Spowodować, by O.N.Z. wyraziła niedwuznacznie zapewnienie, że narody te w najbliższej przyszłości winny odzyskać pełną wolność i całkowitą niepodległość.

3) Zażądać, aby przywrócono uznanie legalnym rządom i uznano ich przedstawicielstwa polityczne i konsularne, których obecnie nie posiadają, a które utraciły należne im prawa wskutek postępowania napastniczego, skierowanego przeciw suwerenności tych narodów".

Byłoby dobrze, gdyby za przykładem Polonii brazylijskiej również i inne skupiska polskie zagranicą mogły doprowadzić do skutku podobnie szerokie ugrupowania organizacyjne z współudziałem przedstawicielstwa innych narodów Środkowej i Wschodniej Europy, dziś jeszcze ujarzmionych, ale jutro czy pojutrze wolnych i niepodległych.

Stanisław FISCHLOWITZ

Kronika australijska

Australijski przysłowiowy raj robotników, stracił w roku ubiegłym wiele ze swoich powabów. Zasada ,,pełnego zatrudnienia'' dająca każdemu zdolnemu do pracy poczucie zabezpieczenia w dziedzinie materialnej, przestała obowiązywać. Częściowe bezrobocie umożliwiło też pracodawcom stawianie większych wymagań, tak w dziedzinie dyscypliny, jak też tempa pracy. Robotnik stracił swe uprzywilejowane stanowisko poszukiwanego, rozchwytywanego — musiał to odczuć głęboko, (bo wybory uzupełniające przynoszą klęski rządowi) — ale zaczął pracować wydajniej. Pomimo pewnego zmniejszenia zatrudnienia globalna produkcja wzrasta. Być może, że doprowadzi to do uzdrowienia gospodarki australijskiej, ale, używając pewnego skrótu myślowego, aby robotnik australijski pracował wydajniej, musi być bezrobotny emigrant gotów do zajęcia jego miejsca. Ponieważ emigranci inaczej wyobrażali sobie przyczynianie się do rozbudowy tego kontynentu, więc zapalni Włosi czasem manifestują na ulicach Sydney. Bezrobocie nie sięga ponad 100.000 osób, jednak dotyka najbardziej emigrantów, a zwłaszcza Włochów i bodajże Polaków, jako liczących największy odsetek niekwalifikowanych robotników. Chyba najwięcej bezrobotnych jest wśród ludzi starszych wiekiem, lub niezdolnych do ciężkiej pracy. Toteż w środowisku inteligentów skupionych w wielkich miastach i biorących najaktywniejszy udział w polskim życiu społecznym problem bezrobocia wyrasta do poważnych rozmiarów. Gdyby te doświadczenia osobiste przyczyniły się do przesunięcia punktu ciężkości działalności organizacji społecznych na sprawy gospodarcze i samopomocowe, zapewniło by to organizacjom trwały rozwój. Jednak nie można żywić wielkich nadziei na radykalne zmiany, gdyż w tych dziedzinach piętrzą się trudności nie do zwalczenia.

Polacy nie mają stosunków i znajomości w świecie business'u, ani też poparcia nieistniejącej starej Polonii. Przychylni nam, i liczni, katolicy australijscy stanowią warstwę przeważnie pracoodbiorców i też pomimo szczerych chęci mało mogą pomóc. Nie bez wpływu też jest częste zjawisko, że ludzie ,,z głową do interesów'' robią je dla siebie, a w pracy społecznej biorą najaktywniejszy udział ludzie z zainteresowaniami politycznymi, humanistycznymi, artystycznymi oraz społecznicy-ideowcy. Typowym objawem jest powstanie związków dziennikarzy, nauczycieli, kombatantów, kółek i referatów kulturalno-artystycznych, a brak stowarzyszenia techników (jakiś zaczątek w Melbourne, o którym w innych ośrodkach nic nie wiadomo), i mała ilość referatów gospodarczych przy organizacjach. Pewnym dorobkiem w dziedzinie gospodarczej, jak pomoc w znajdowaniu pracy i udział w organizowaniu osadnictwa rolnego, może się pochwalić Stowarzyszenie w Brisbane. Może to zbieg okoliczności, ale na stanowiskach prezesa i wiceprezesa są tam ekonomiści.

Polonia australijska licząca sobie pięć lat wieku, miała na ogół równy start. Z małymi wyjątkami wszyscy przyjechali z bagażem osobistym i gołymi rękami. Obecnie zarysowują się już różnice, jeżeli nie aż majątkowe, to w każdym razie w stopie życia. Atutami były nie tylko pracowitość, przedsiębiorczość, wiek, skład rodziny oraz znajomość języka angielskiego, lecz również przezorność. Pierwsze lata pobytu były okresem ,,prosperity'', którą każdy uważał za wieczną na tym błogosławionym kontynencie. Wysokie

zarobki z nadgodzinami uważano za trwałe, co wykluczało potrzebę oszczędzania na czarną godzinę; zakładanie własnego business'u za pożyczone pieniądze, wydawało się złotym interesem; budowanie domu prawie bez pieniędzy — najprostszym sposobem wyjścia ze znienawidzonych obozów. W połowie 1952 roku zaczęły się redukcje w fabrykach i na robotach publicznych. Urwały się wysokie zarobki za nadgodziny, a w handlu powstał pewien zastój. Stare firmy się ostały, lecz nowe drobne przedsiębiorstwa (transport własnymi ciężarówkami, wyrabianie cegieł cementowych itp.) bez rezerw i umocnienia się w terenie zaczęły robić ,,plajty'', a setki czy nawet tysiące właścicieli — kupionych, wybudowanych lub na pół wybudowanych domów, prawie z reguły na spłaty, znalazło się w trudnej sytuacji. Na skutek zawodów życiowych i mniej ponętnych perspektyw na przyszłość, zdarzają się już wypadki emigracji wtórnej, głównie do USA. Wobec ograniczonych możliwości emigracji, nie równie większa jest ilość potencjalnych kandydatów na wyjazd, niż wyjeżdżających.

Na tle tych nastrojów australijska polityka asymilacyjna została poddana rewizji. Na dorocznej konwencji w Canberra, poświęconej sprawom imigracji i asymilacji Nowo Australijczyków, po raz pierwszy byli zaproszeni również przedstawiciele imigrantów.

Opinia dołów, wymagająca szybkiego przyswojenia języka angielskiego i zwyczajów, nie uległa zmianie, lecz ,,na górze'' odzywają się już głosy, że emigranci mogą zachować swój język, obyczaje, dorobek kulturalny i wzbogacić nim kulturę australijską, że aby być dobrym Australijczykiem, trzeba pozostać również dobrym Polakiem. Stawia się też za przykład Amerykanów polskiego pochodzenia, gorących patriotów amerykańskich, mających swą odrębną prasę i organizacje. Jak widzimy, od żądania zgleichszaltowania się z otoczeniem, aby go nie drażnić, bez zainteresowania, co w sercu emigranta się dzieje, i czy taka asymilacja jest w ogóle dla dorosłego człowieka możliwa — przejście do apelu — kochajcie Australię po polsku czy holendersku, jest wielkim krokiem naprzód. Takie podejście do zagadnienia asymilacji dało by bezwględnie o wiele lepsze i szybsze wyniki, gdyby nie ów zastój gospodarczy w ostatnim roku.

Częściowo zasymilowani Nowo Australijczycy spieszący rano do fabryki, gdy się dowiedzą, że zwolnienia przede wszystkim ich dotknęły, wieczorem wracają do domu już jako, po prostu, cudzoziemcy, którym dano odczuć, że są obcymi w tym kraju. Formalnie żadnej dyskryminacji imigrantów nie ma, jedynie cyfry wykazują ów fatalny dla nich zbieg okoliczności.

Toteż, gdy Australijczycy zachęcają do asymilacji, Polacy odpowiadają, że pierwszym krokiem musi być ,,integracja'' przybyszów w życie gospodarcze tego kraju. Rozmowy polsko-australijskie na powyższe tematy zdarzają się coraz częściej. Na polskich obchodach można spotkać członków parlamentu, ministrów, biskupów a i pogadanki w stowarzyszeniach wygłaszają Australijczycy o znanych nazwiskach w życiu politycznym, naukowym oraz w ruchu zawodowym.

Polskie życie organizacyjne krzepnie i stabilizuje się. Prezesurę Rady Naczelnej polskich organizacji w Australii, objął po Amb. A Ponińskim — gen. J. Kleberg. Z polskiej inicjatywy powstał komitet koordynacyjny przedstawicieli imigrantów zza żelaznej kurtyny. Powstały dwa domy dziecka, prowadzone przez polskie zakonnice, przybyłe z USA. Prasa polska finansowo ledwo zipie, lecz wciąż się rozmnaża, np. w jednym stanie N. Południowej Walii, są trzy tygodniki, nie licząc działu polskiego w jednym z pism australijskich. Rok ubiegły przyniósł wielki krok naprzód w dziedzinie szkolnictwa. W sobotnich szkółkach uczy się już czytać i pisać po polsku kilkaset dzieci. W większości wypadków australijskie szkoły udzielają bezpłatnie lokali. Jeszcze przed paru laty, byłoby to nie do pomyślenia. Ilość Polaków studiujących na uniwersytetach jest nieznaczna, natomiast na technicznych wieczornych college sięga paru setek.

W dziedzinie kultury i sztuki należy zanotować wystawę obrazów Wł. Dutkiewicza w Sydney, jak udział innych plastyków w australijskich wystawach; gościnne występy Halamy w szeregu miast; konkurs literacki, programy artystyczne na akademiach, teatry amatorskie oraz liczne odczyty na wysokim poziomie. W dziedzinie sportu : polska drużyna piłki nożnej zajęła pierwsze miejsce w Południowej Australii; w armii : b. oficer brygady spadochronowej PSZ dowodzi plutonem w australijskim batalionie na Korei. Poza tym jeden Polak dokonał odkrycia złóż uranu i jeden nieuleczalnie chory repatriował do kraju.

Wreszcie na zakończenie o polskiej polityce wewnętrznej. Spory londyńskie już się na ogół przejadły, wskutek czego ich oddźwięki na tutejszym terenie również straciły na ostrości. Komisja Skarbu Narodowego, która zebrała do połowy ub. roku około tysiąca funtów, obecnie ma mniejsze wpływy, może nie z racji zmniejszenia się ilości sympatyków, ile raczej z powodu zachwiania się sytuacji finansowej wielu płatników.

E. ŻAGIELL

List literata o Niemczech Wschodnich

Dwa lata temu Wschodnio-Niemiecka Republika Demokratyczna mogła jeszcze utrzymywać do pewnego stopnia słusznie, że jest w dziedzinie sztuki i literatury ,,postępowa'', lub co najmniej ,,liberalna''. Jej naczelny kwartalnik *Sinn und Form* mimo że otwarcie komunistyczny i przeładowany balastem, był jednak śmielszy od jakiegokolwiek niemieckiego wydawnictwa tego typu z wyjątkiem, być może, *Das Lot;* ponadto komunistyczny komediopisarz, poeta i reżyser teatralny Bert Brecht właśnie powrócił do wschodniego Berlina ze swej emigracyjnej wędrówki po Danii, Finlandii i Stanach Zjednoczonych. Sztuki wystawione przez niego w Deutsches Theater wywołały od razu sensację, która przyciągała miłośników sceny oraz intelektualnych literatów i artystów z całej Europy zachodniej, zwłaszcza ze Szwajcarii mówiącej po niemiecku.

Brechta ,,Muttercourage'' i ,,Pantilla und sein Knecht'' są to doskonałe sztuki, które wyreżyserował niezwykle udatnie. Wystawienie pod jego kierownictwem tak zaniedbanego dotychczas klasycznego utworu jak ,,Der Hofmeister'' pióra XVIII-to wiecznego poety Lenza, oraz kilku innych bardziej popularnych dramatów było również znakomite. Przez pewien czas ,,Deutsches Theater'' stał się zarówno atrakcją dla niemieckiego świata literackiego jak i najważniejszym teatrem ,,avant-garde'' w całej Europie. W Ameryce Eric Russel Bentley nie przestawał się unosić nad powrotem Brechta na scenę niemiecką.

Wystawienie dramatu Brechta ,,The Trial of Lucullus'' (,,Próba Lukullusa'') jako opery z interesującą, niemal atoniczną muzyką nowoczesnego kompozytora Ernst Dessau'a było końcem idylli pomiędzy niemiecką ,,avant-garde'' a Republiką Demokra-

tyczną. Muzyka Dessau'a została wyklęta i w myśl kanonów ,,realizmu społecznego'', którym hołduje estetyka komunistyczna, osądzona jako ,,formalistyczna''. Nawet wycofanie tej opery z programu weneckiej Biennale było sprowokowane umyślnie. Obecnie ,,Lukullusa'' wystawiają tylko od czasu do czasu na terenie Niemiec Zachodnich.

Intelektualiści, którzy żywili nadzieję, że Niemcy Wschodnie staną się rajem dla całej postępowej sztuki lat dwudziestych, skazanej na banicję przez Hitlera, są teraz głęboko poruszeni widząc, że sztuka ta nie utrzyma się przy życiu w ,,burżuazyjnych Niemczech Wschodnich''. Niektórzy z nich wrócili z powrotem do Niemiec Zachodnich, ale większość zaangażowała się zbyt daleko w politykę komunistyczną, by mogła liczyć na powodzenie w roli uchodźców lub renegatów; woleli zatem odosobnić się pod pretekstem studiów, co przez dłuższy czas było modne w totalitarnych stolicach.

Literatura Niemiec Wschodnich wykazuje jasno jakie są skutki dezercji z szczupłego grona jej elity. Powieściopisarz Arnold Zweig, ,,wielki starzec'' niemieckiej literatury komunistycznej, nie opublikował żadnego nowego utworu. Od powrotu z wygnania w Izraelu święcił triumfy głównie z powodu nowych wydań swych wcześniejszych dzieł, wyklętych przez hitlerowców. Filmowa wersja jego powieści ,,Topór Wandsbeku'' była istotnie nakręcona we wschodnio-niemieckiej pracowni kinematograficznej, lecz szybko znalazła się na indeksie — mimo licznych zaszczytów i ,,narodowych'' premii, którymi obsypano Zweiga, a nawet mimo ofiarowanego mu urzędu prezesa wschodnio-niemieckiej Akademii Beletrystyki.

Powieściopisarka Anna Seghers, która niedawno otrzymała w Moskwie Nagrodę Stalina za swą wcześniejszą twórczość, też zaniechała pisania. Odnosi się wrażenie, że również Alfred Kantorowicz wyrzekł się wszelkiej aktywności pisarskiej i wydawniczej. Obecnie wykłada on niemiecką literaturę na jednym z uniwersytetów komunistycznych. Nawet Wolfgang Harich, bodaj jeden z najświetniejszych politycznych i literackich polemistów zarówno we Wschodnich jak i Zachodnich Niemczech zaprzestał publikowania swych zjadliwych artykułów w ,,Taegliche Rundschau'', którymi kiedyś zapewnił sobie pozycję wielkiego inkwizytora we wszelkich sprawach tyczących ortodoksji marksizmu. Kiedy Arthur Holitscher, na przykład, posłał Harichowi jako krytykowi pierwsze odbitki swego życiowego dzieła : ,,Systematyczna filozofia przyrody'', młodszy od niego ikonoklasta Harich brutalnie podarł i wyrzucił teorie starszego filozofa denuncjując je cenzorom tak, że Holitscher musiał wycofać wydanie swej książki.

Mordercze konflikty w których jedna komunistyczna klika oskarża drugą o herezję i krwi-żądna domaga się jej ,,likwidacji'', doprowadziły większość naczelnych pisarzy Niemiec Wschodnich do paraliżu intelektualnego, do milczenia które przynajmniej daje rękojmię bezpieczeństwa. Niewielu spośród tych ludzi

ośmiela się jeszcze przez opublikowanie nowej książki lub sztuki wystawić na szwank mozolnie nabytą opinię prawowiernego komunisty. Bezpieczniej jest obecnie spocząć na dawnych laurach, przeżywać swoją przeszłość i mieć nadzieję, że w ten sposób pozwolą człowiekowi żyć i umrzeć w spokoju.

Przedruki utworów które dawno temu i raz na zawsze zostały uznane jako ortodoksyjne są głównym przedmiotem handlu na rynku literackim Niemiec Wschodnich; zmarły Heinrich Mann na przykład był najbardziej pokupnym autorem do czasu pojawienia się korsarskiego wydania dzieł jego brata Tomasza Manna.

Stefan Heimlin zdolny komunistyczny poeta, który kiedyś przekładał na język niemiecki dzieła swego surrealistycznego kolegi, Francuza Paul Eluarda, teraz pisuje głównie liryki, przeznaczone dla komunistycznych pieśni do marszu. Ulubione jego tematy wydają się zapożyczone z ideowego skarbca zmarłego hitlerowca Schlagetera : Heimlin wciąż marzy o dniu, kiedy to szturmem zdobędzie Zachodni Berlin i zemści się karabinem maszynowym na swych kolegach z Zachodu.

Jedynie w prowincjonalnych ośrodkach Niemiec Wschodnich, takich jak Lipsk, korzystając z oddalenia od krwawych kłótni Wschodniego Berlina, kilku pisarzy zachowuje pewną swobodę, co pozwala im na wydanie od czasu do czasu książki, godnej przeczytania. Znany romanista, filozof Werner Krauss na przykład, opublikował kilka wybitnych prac o hiszpańskich autorach. Wyznawca Hegla, filozof Ernst Bloch, wydał również nowe dzieło pt. : ,,Subjekt-Objekt'', które z pewnością zasługuje na to, by je przestudiowali w Paryżu i Nowym Jorku wszyscy ci, którzy twierdzą, że niemiecki idealizm, począwszy od Hegla, poprzez Husserla, Heideggera i Jaspersa, nie zawiera już dla nich żadnych problemów.

Jednak żadna literatura nie ma szans przetrwania o ile opiera się jedynie na przypadkowym wydaniu wybitnego studium filologicznego lub krytyki filozoficznej : nie może to utrzvmać przy życiu kultury w masach. Niemcy Wschodnie zadają wyraźny kłam swej domniemanej demokracji i ich ustrój okazał się niezdolny do pielęgnowania tego rodzaju literatury, która może zainteresować szeroką publiczność. Czytelnicy w Niemczech Wschodnich są skazani na dietę ograniczającą się do czasopism i klasyków.

Jednak nawet przedruk klasyków jest coraz trudniejszy. Dwa lata temu Wolfgang Harich, pewny powodzenia, zaproponował wydanie nowego zbioru niemieckich klasyków dla szerokich mas. Sam podjął się wydania pism Herdera oraz napisania przedmowy do nowego wydawnictwa. Teraz zrezygnował ze swego projektu : najlepsze stronice Herdera są niemożliwe do przedstawienia czytelnikom, gdyż pod żadnym względem nie odpowiadają poglądowi prawowiernego komunizmu.

Edouard RODITI

(Autoryzowany przekład T. Jeleńskiej)

Iluzjon i kinorama

Przed trzydziestu laty ,,Petit Trianon'', maleńkie kino w jednej z bocznych sal Filharmonii Warszawskiej, do którego uczęszczałem jako dziecko, nazywano iluzjonem. Okazuje się, że była to gruba przesada. W prawdziwym iluzjonie znalazłem się dopiero wczoraj w Londynie, mianowicie w kinoteatrze : Odeon przy Marble Arch, gdzie wyświetlany jest pierwszy pełnometrażowy i kolorowy, trójwymiarowy film fabularny wytwórni amerykańskiej United Artists pt. *Bwana Devil.* Jednocześnie w innym kinoteatrze londyńskim idzie krótkometrażówka trójwymiarowa, wykonana tą samą techniką — *Metroscopix* — a w wielu ,,teatrach nowości'' (News Theatre) wyświetlają bieżące reportaże trójwymiarowe. W Stanach Zjednoczonych technika stereoskopowa, krótko nazywana 3 D (three dimensions) znalazła jeszcze większe rozpowszechnienie : idą wieści, że kilka wytwórni w znacznym stopniu przestawia na nią swą bieżącą produkcję (m.in. Warner Bros zapowiedziała trzy filmy tego typu).

Strona techniczna filmów stereoskopowych nie jest właściwie nowością, bo już w roku 1938 świat obchodził (czy mógł obchodzić) stuletnią rocznicę wynalezienia przez Wheatstone'a stereoskopu. W każdym razie rocznicę tę uczcił Joseph Valentine, który właśnie w roku 1938 udoskonalił sposób dokonywania zdjęć stereoskopowych budując specjalny pryzmat, złożony z dwóch cienkich jak papier płatków ustawionych pod kątem 45° przed obiektywem aparatu. Zasada pozostała do dziś ta sama : zdjąć do filmów 3D dokonywa się obecnie kamerą o dwóch obiektywach ustawionych pod tym samym kątem, co oczy przeciętnego człowieka. Otrzymane w ten sposób zdjęcie o podwójnych konturach, po rzuceniu na płaski ekran daje zamazany obraz, gdyż oczy ludzkie (które — jak wiadomo — pracują w życiu ,,każde na swoją rękę'' i dlatego właśnie widzą głębię przestrzeni) tu mają przed sobą wynik ,,spojrzeń'' podwójnej kamery ,,streszczony'' na płaszczyźnie. Trudność tę przezwyciężano poprzednio przez jednoczesne wyświetlanie na ten sam ekran zdjęć każdego z dwóch obiektywów innym kolorem (czerwonym i zielonym) i zaopatrywaniu widza w okulary o tych samych kolorach na odpowiednie oko. Obecny postęp polega na tym, że wynalazek szkieł polaryzowanych (bezbarwnych) zmusza każde z oczu ludzkich do samodzielnej pracy.

Akcja filmu *Bwana Devil* jest bardzo prosta : obóz robotniczy, budujący kolej w Kenii w przedostatnim dziesiątku ubiegłego wieku, zostaje zaatakowany przez parę krwiożerczych lwów, które rozszarpują kilku białych i mnóstwo robotników mu-

rzyńskich i hinduskich. Kierownik robót (Robert Stack) i jego żona (Barbara Britton) nie rezygnują jednak i po wielu nieudanych wysiłkach (pokazano m. in. niezmiernie ciekawe polowanie krajowców z tarczami i dzidami) oba lwy zostają ostatecznie zabite przez dzielnego Stacka. Wydaje się, że ani producentom, ani reżyserowi Arch Obolersowi nie chodziło tym razem o szczególnie ciekawą akcję — zależało im raczej na wypróbowaniu i zademonstrowaniu nowego medium filmowego. Dlatego zapewne wybrano barwny krajobraz afrykański, pokazano mnóstwo dzikich zwierząt i skontrastowano ludzi białych z Hindusami i Murzynami. Dla krytyka treść tego filmu jest zupełnie obojętna, gdy chodzi o spostrzeżenia i wnioski natury estetycznej.

Jest ich sporo. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że ten rodzaj filmu trójwymiarowego wyszedł już ze stadium eksperymentów : złudzenie głębi i bryłowatości przedmiotów jest bardzo silne, bodaj że silniejsze niż w rzeczywistości; można niemal w centymetrach ocenić odległość od oka poszczególnych trawek. Obraz jest czysty i ostry z wyjątkiem niektórych przejść od sekwencji do sekwencji (tzw. ,,Fade in'' i ,,Fade out''), ale nie jestem pewien, czy niedoskonałości te (zresztą nieliczne) nie były spowodowane wadą mojego wzroku. Kolor obrazów jest niemniej naturalny od barw najlepszych technik filmu płaskiego. Zbliżenia twarzy ludzkich wychodzą znakomicie, a głos jest znacznie zrozumialszy, niż na filmach płaskich : na *Bwana Devil* nie uroniłem ani jednego słowa, podczas gdy w zwykłych filmach amerykańskich zdarza mi się chwytać tylko pewien procent dialogów. Wydaje się, że doskonałość wizji wzrokowej zaostrza działanie słuchu odbiorcy. Wskutek pogłębienia wizji ekran wydaje się znacznie mniejszy i mniejsze są osoby na dalszych planach (film zawiera kilka ślicznych sekwencji pokazujących bajecznie żywego dzieciaka murzyńskiego w naturalnych rozmiarach; na tych sekwencjach najlepiej można obserwować różnicę).

Największą (a może jedyną, jeśli nie liczyć konieczności użycia okularów, które zresztą nie męczą wzroku — w każdym razie nie zmęczyły mojego wzroku) wadą nowej techniki jest wyskakiwanie na widownię niektórych przedmiotów, poruszających się od horyzontu do oka widza. Wadę tę reklama handlowa stara się wygrywać jako sensację i zaletę : lew bujający w powietrzu pomiędzy publicznością jest leitmotiwem propagandy nowej techniki. Aczkolwiek nie jest to ścisłe, bo ani ludzie, ani zwierzęta tak dalece nie zbliżają się do oczu widza, wydaje się, że reżyser nie przemyślał sprawy i nie pochwycił istoty nowej konwencji. Skoro film trójwymiarowy ma być (z grubsza mówiąc) iluzjonizmem, nie jest zaletą, lecz wielką wadą, gdy włócznia wojownika godzi wprost w widza wyskakując poza zasięg widzialności innych przedmiotów oglądanych w danym momencie.

Wady tej można uniknąć, jeśli uświadomimy sobie, że film stereoskopowy w znacznej mierze powrócił do konwencji tea-

tralnej, zastępując jednak fikcję czwartej ściany (przez któr patrzy widz) — konwencją otwartego okna. W odróżnieniu jed nak od teatru (który w plenerach zna rudymenty tej konwencj jest to okno otwarte na cały świat, bo nie ograniczone ani bu dynkiem teatralnym, ani możliwościami dekoracji. Wprawdzi w teatrze zdarza się, że aktor wychodzi na proscenium (a na wet — w kabaretach — na widownię), ale w filmie trójwymia rowym można to stosować tylko wyjątkowo i to w momentac z a m i e r z o n y c h przez reżysera. W przeciwnym razi film stałby się cyrkiem, licytacją sensacji wzrokowych, a od szedłby od nowego ładu nowej ,,konwencji okna''.

Na szczęście, wydaje się, że reżyseria może temu zapobiec Jeśli reżyser będzie pamiętał, że pomiędzy fotografowanym przedmiotami a okiem widza istnieje niewidzialna (jakby szkla na), pionowa granica, której przekraczać nie wolno — wówcza tak będzie planował, aby ruchy przedmiotów żywych i martwyc od horyzontu do oka widza (kamery) granicy tej nie przekracza ły. Ruchy poprzeczne i ukośne nie są oczywiście niebezpieczne.

Pogłębienie perspektywy (a raczej stworzenie głębi) stawi przed reżyserem nowe problemy. Gdy w filmie płaskim nie po trzebował się zbytnio martwić o tło — tu musi stale o nim pa miętać jak reżyser teatralny, a bodaj, że jeszcze bardziej. Kom ponować obraz musi zarówno w głąb jak i w poprzek, a nawet — jak się rzekło — w przód.

W sumie wydaje się, że 3D bardzo znacznie zmodyfikował konwencję filmu płaskiego — wzbogaciły ją i skomplikowały Powstała nowa konwencja. Za wcześnie jeszcze przewidywa zmiany w artystycznym języku filmowym, jakie wywoła. Nie wą pię jednak, że będą one znaczne. Nie jest nawet wykluczone, ż film stereoskopowy powoli wyprze film płaski. Zalety noweg medium w dokumentacji i reportażu bieżącym są przygniatając w stosunku do filmu płaskiego, gdyż nowa technika pozwala wy robić sobie dokładne pojęcie o rzeczywistych odległościach po między przedmiotami sfilmowanymi (jeśli przedmioty będą po kazane na ekranie w naturalnych rozmiarach).

W zupełnie innym od 3D kierunku idzie nowa, nieznana je szcze w Europie konwencja i technika kinoramy (Cinerama i C nemascope). Opisuję ją tutej na zasadzie prasy fachowej, foto grafii i informacji rozesłanych członkom Brytyjskiego Klubu Fi mowego po wizycie w Nowym Jorku Gavina Lamberta, któr oglądał osobiście pierwsze programy widowisk kinoramowyc na Broadway'u. I ta technika wyszła już ze stadium eksperymen talnego : w ciągu najbliższych 5-ciu lat ok. 250 największych ki w Stanach ma być przystosowanych do techniki Kinoramy, a wy twórnia 20-th Century Fox przyjęła w bieżącej produkcji skron niejszą formę tej samej techniki — kinoskop (Cinemascope) — który znajdzie nieporównanie większe przemysłowe zastosowa nie.

O ile film stereoskopowy ogląda widz ,,przez okno'', o ty kinorama (nazwa pochodna od panoramy) przenosi go w ogl

daną rzeczywistość. Widz bez okularów polaryzowanych — ,,wjeżdża'' w wybraną przez reżysera rzeczywistość i znajduje się w sytuacji lotnika, którego wraz ze szklaną kabiną wsunięto w to, co się dzieje na trzech olbrzymich, wygiętych w jego kierunku ekranach (kinorama) lub na jednym, także wygiętym, obejmującym część widowni, bardzo wielkim ekranie (kinoskop). Siedem megafonów, umieszczonych nad ekranami, przekazuje odbiorcy z różnych miejsc nagrany stereofonicznie dźwięk. Jak z tego widać, konwencja ta zrywa całkowicie z teatralną fikcją czwartej, niewidocznej ściany, a także z konwencją okna. W jej granicach niemożliwe jest pokazanie małego lub średniego wnętrza. Przy pomocy kinoramy można najwyżej ,,wejść'' i obejrzeć wielką operę lub wielki cyrk, a ściśle biorąc takie jego fragmenty, jakie obejmuje w życiu spojrzenie ludzkich oczu bez poruszania głową.

Mianowicie wygięte ekrany kinoramy są w sumie sześć razy większe od normalnego, a w kinoskopie ekran jest cztery i pół raza większy (64 × 23 stopy). Zdjęć kinoramowych dokonywa się trzema na raz obiektywami 27 mm. ustawionymi w stosunku od siebie pod kątem 48°. W ten sposób powstają trzy taśmy filmowe chwytające w sumie pole widzenia szerokości 144° i wysokości 55°, odpowiadające mniej więcej polu widzenia przeciętnego ludzkiego wzroku. Taśmy te wyświetla się z trzech, ustawionych w trzech miejscach, zsynchronizowanych lamp projekcyjnych, rzucając obrazy na krzyż na tryptyk specjalnych ekranów, względnie — w kinoskopie, którzy nazywają złośliwie ,,the poor man's Cinerama'' — na jeden wygięty ekran. Nie chodzi tu więc wcale o fotografię stereoskopową. Złudzenie głębi (które, jak zapewnia G. Lambert, jest silne) powstaje przez wprowadzenie widza w obraz. Pierwszy raz techniki tej spróbował użyć w roku 1923 Abel Gance w filmie ,,Napoleon'', metoda jego była jednak zbyt skomplikowana i droga, i zapewne dlatego się nie przyjęła.

Pierwszy obejrzany przez Lamberta program kinoramowy składał się z plenerowych scen z Wenecji, z występów wielkiego chóru Long Islang Choral Society, który śpiewał oratorium ,,Mesjasz'' i z długiego filmu, pokazującego podróż helikopterem po Stanach Zjednoczonych — ze wschodu na zachód. Jak zapewnia Lambert, ten film wywarł na nim największe wrażenie. Miał uczucie, że to on odbywa podróż ponad olbrzymimi pszenicznymi polami Kansas, nad miastem Salt Lake City, wielkimi kenjonami, rzekami i górami. Były to jakby wielkie, żywe freski, przesuwające się przed oczami widza.

Z wszystkich znanych mi opisów i fotografii kinoramy jasno wynikają jej wady i zalety. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z bardzo ciekawym odgałęzieniem filmu, z przerzuceniem go w plener a zarazem z jego monumentalizacją. Fakty : że zbliżenia w tej technice nie są możliwe, że oko widza w jednym momencie obejmuje wprawdzie cały widok, ale skupić się może tylko na jednym fragmencie i wreszcie że widz bierze udział w wi-

dowisku — będą miały rozstrzygający wpływ na rozwój język artystycznego nowego medium. Przypuszcza się, że zwłaszcz ,,wsunięcie'' widza w obraz może mieć znaczenie rewolucyjn w filmach, w których widz identyfikuje się z głównym bohate rem. Kto wie — jest to już moje osobiste przypuszczenie — cz nie dało by się w tym medium stworzyć filmu fabularnego, w któ rym bohater nie byłby w ogóle pokazany albo pokazany bardz ogólnikowo? Wtedy każdy widz mógłby się pod niego podsta wić.

Z drugiej strony niemożność pokazywania wnętrz redukuj radykalnie możliwości fabularne kinoramy i kinoskopu, a bra zbliżeń rewolucjonizuje grę aktorską w odwrotnym, niż w 3D kierunku. Na reżysera i operatora spadają nowe zadania.

KRYTYK

Abstrakcjonizm w jaskiniach

Sztuka przedhistoryczna została ,,odkryta'' stosunkowo nie dawno, ale zdobyła szybko powodzenie. Istnieje już cała litera tura jej poświęcona, wiele luksusowych albumów z reprodukcja mi, a groty w Lascaux z malowidłami bizonów i innych stwo rów wykonanymi przez artystów z epoki kamiennej są podobn jednym z najbardziej uczęszczanych miejsc turystycznych w Francji. Stoją przed nimi rzędem samochody, jako że koleją n bardzo tam łatwo się dostać. Inne groty położone są jeszcze go rzej, tak więc pożyteczną inicjatywą była urządzona niedawn w paryskim Musée d'Art Moderne wystawa nazwana 40.000 la sztuki współczesnej. Wystawa poświęcona była wyłącznie ma larstwu ściennemu człowieka jaskiniowego od prehistorii d współczesnych Murzynów żyjących na poziomie epoki kamien nej. Niestety samo ,,założenie'' tego malarstwa, wykonywaneg na ścianach pieczar, uniemożliwia pokazywanie oryginałów w mu zeach. Toteż skazani jesteśmy na kopie, mniej więcej wiern Organizatorzy wysilili się, aby oddać możliwie realistycznie na strój pieczar. Wchodzi się na wystawę przez wąską gardzi jakby jaskini, lecz pod nogami stukają drewniane deski, a na głową zwieszają się bloki skalne z papier-maché. Gdy wychod się wreszcie z groty, wpada się na sztukę afrykańską, toteż - widocznie dla stworzenia nastroju — uznano za wskazane sa wysypać piaskiem. Mimo tych drobiazgów w nienajlepszym gu ście, wystawa jest przeżyciem artystycznym dla większości wi dzów, odnajdują oni w sztuce tej akcenty współczesne, mo nie bez wpływu organizatorów wystawy. Ale może szkoda, dla wszystkich niemal widzów wystawa pozostanie tylko est

tycznym przeżyciem i niczym więcej. Organizatorzy poza jednym czy dwu wykresami nie zatroszczyli się o *wyjaśnienie* tej sztuki widzowi, o umiejscowienie jej w czasie, w historii rozwoju ludzkiego. Mogłoby się wydawać, że obrazy są dziełem malarzy niczym nieróżniących się od naszych współczesnych, ale jak pogodzić to z etykietką ,,człowiek z epoki kamiennej'', która przypomina nam widziane kiedyś jakieś niezdarne toporki i dłuta, jakieś postacie odziane w skóry. Wystawa mogła spełnić wdzięczne zadanie wyjaśnienia człowieka, który stworzył tę sztukę... i te narzędzia. Prymitywne narzędzia były równie wielkim osiągnięciem umysłowym jak wynalazek maszyny parowej, osiągnięciom umysłowym odpowiadała wielka sztuka. Pokazując to uniknięto by efektownych niewątpliwie lecz płytkich porównań jak np. twierdzenie, (w tytule jednej z plansz) że sztuka rozwija się od realizmu do abstrakcji. Nawet gdyby to było prawdą, to nie wiadomo czy należałoby się z tego cieszyć. W doskonałej książeczce, wydanej przez Penguin Books pod tytułem *Before Philosophy,* autor Henri Frankfort pokazuje różnicę między żywym realistycznym nagrobkiem egipskim z 2400 przed Chr. a hieratycznym, ,,abstrakcyjnym'' grobem z 600 przed Chr. Ale oto Herodot i Diodor, dwaj pisarze greccy, dają nam opis życia egipskiego w tej późniejszej epoce. Charakteryzuje je tak daleko posunięty formalizm, że faraon na przykład ma przepisane nie tylko kiedy i jak odprawiać modły, ale nawet kiedy ma się kąpać i kiedy ma spać ze swoją żoną. Pisarze greccy twierdzą zresztą, że dzięki temu Egipcjanie są bardziej bogobojni i szczęśliwsi niż wszystkie inne narody. Ale można by równie dowolnie wyciąć dwa inne okresy z historii, udowodniając, że ewolucja idzie od ,,abstrakcji'' (np. romańskiej) do realizmu (np. gotyckiego). W gruncie rzeczy problem leży zupełnie gdzie indziej. W tym, że ,,abstrakcja'' człowieka jaskiniowego nie ma nic wspólnego z abstrakcjonizmem współczesnym. Możemy nazwać abstrakcjonizm formą dla formy, możemy też przyjąć twierdzenie niektórych abstrakcjonistów, że jest on symbolem, symbolizuje jakoby wewnętrzną treść. Ale symbol ten jest oderwany od treści, która jest w najlepszym razie treścią indywidualną. Nie ma wątpliwości, że dla człowieka pierwotnego symbol był identyczny z rzeczą symbolizowaną, bizon którego malowano na ścianach jaskini był identyczny z bizonem żywym. Czy malowano go po to, by się udały łowy lub mnożyły bizony czy po to, aby przebłagać zabitego bizona i przywrócić naruszoną zabiciem go równowagę wszechświata, czy by oddać jedyność, cud, bizona, tego nie wiemy. Może i malarze sami dobrze nie wiedzieli, nie rozróżniali tych rzeczy. W każdym razie malarstwo było środkiem działania na rzeczywistość, działania magicznego, religijnego, służyło szczepowi i pod tym względem ówczesne malarstwo ,,realistyczne'' nie różniło się od ,,abstrakcyjnego'', ale oba różniły się od dzisiejszego abstrakcjonizmu. Tak więc zamiast szukać fałszywych genealogii dla dzisiejszego abstrakcjonizmu i fałszywych analogii, lepiej było pokazać co nas łączy z człowiekiem jaskinio-

wym, który jest mimo wszystko naszym przodkiem, obdarzonymi już owym pragnieniem odkrywania i udoskonalania technik, które doprowadziło ludzkość od kamienia łupanego do elektryczności. A także pokazać co nas dzieli od niego, właściwie co utraciliśmy : zdolność identyfikowania się ze światem innych sił, zwierząt czy nie, światem nazwanym dziś zewnętrznym, a co dało nam pierwszą wielką sztukę. To nie stronnicza przesada. Opisując religijny taniec Murzynów identyfikujących się z lampartami wielki uczony Frobenius mówi : od takiego *uniesienia* zaczyna się kultura.

(*v.*)

Literatura przekreśla "małą Europę"

W kwietniowym numerze podaliśmy wiadomość o literackiej nagrodzie europejskiej, zredagowaną w pośpiechu, w chwili kiedy ostatni arkusz szedł na maszynę drukarską. Ponieważ nagroda ta wydaje się nam ważnym wydarzeniem w dziele budzenia świadomości europejskiej, podajemy dodatkowe szczegóły.

Jury międzynarodowe przyznało nie jedną nagrodę, ale dwie — tzn. podzieliło ex-aequo sumę 10.000 franków szwajcarskich traktowaną jako zaliczka honorariów, pomiędzy dwóch autorów, którzy uzyskali w ten sposób równe szanse wysokich nakładów stanowiących o powadze nagrody. Nagrodzeni autorzy to :

Czesław Miłosz — za powieść *La prise du pouvoir*
Werner Warsinsky, Niemiec — za powieść *Kimmerische Fahrt.*

Jeden z członków jury, znany pisarz włoski Ignazio Silone tak określił w swoim przemówieniu utwór Polaka : ,,Powieść polskiego poety, Czesława Miłosza, ma za tytuł Z d o b y c i e W ł a d z y i straszliwe sytuacje, które opisuje, dotyczą Polski i Warszawy w r. 1945, w momencie klęski niemieckiej, patriotycznego powstania i nadejścia wojsk sowieckich.

,,Jest to szeroko ujęte opowiadanie o wojnie i wojnie domowej, złożone z krótkich epizodów w których sceny działań bojowych pełne ruchu przeplatają się z chwilami refleksji i oczekiwania i z fragmentami czystej poezji.

,,Powieść zawiera z pół tuzina głównych postaci, bardzo różniących się ich sytuacją społeczną i przekonaniami, ich losy schodzą się, przecinają, rozchodzą, pod naporem gwałtowności wydarzeń, strachu i drapieżnych egoizmów podsycanych przez wydarzenia. Gdyż wielkim tematem tej twardej i odważnej powieści jest tylko z pozoru walka o władzę; w istocie jest nim walka o duszę. Lektura, niekiedy uciążliwa, trudna ze względu na pewne braki równowagi w kompozycji i wielką ilość postaci, zmusza nas do przejścia przez wszystkie nieuniknione stopnie tragedii : grozę, wstręt, trwogę, bunt, rozpacz, smutek, litość.

,,Przede wszystkim litość, bo autor, a to jest jego wielką zasługą, wystrzega się dowodzenia czy przekonywania. Nie chodzi więc o dzieło pro-

pagandy i utwór zwraca się zarówno do szerokiej publiczności, jak do tych wszystkich ludzi poważnych i dobrej wiary których głównym motorem jest chęć zrozumienia naszych czasów.

„Wreszcie, kończąc, nie umiałbym ukryć czysto osobistego powodu dla którego mogę dzisiaj Miłoszowi powinszować. Dwa lata mniej więcej temu miałem zaszczyt przedstawić go prasie paryskiej w chwili, kiedy wybrał wolność i wyrzekł się kariery w aparacie kulturalnym swego nieszczęśliwego kraju. Powiedziałem wtedy, że zyskaliśmy dzielnego towarzysza w walce o wolność ducha. Mogę dzisiaj dorzucić : „Drogi Miłoszu, mamy w tobie nowego powieściopisarza, który w pierwszej swojej próbie ukazuje już kilka cech właściwych wielkim powieściopisarzom : dojrzałą wiedzę o złożoności życia ludzkiego, bezinteresowną miłość prawdy i odwagę składania prawdzie świadectwa".

Po otworzeniu kopert z nazwiskami stwierdzono, że nikt z członków jury nie słyszał o autorze *Kimmerische Fahrt* (tytuł ten oznacza : podróż do Cymmerii, a więc kraju który według mitologii greckiej leżał w pobliżu Hadesu). Werner Warsinsky nic dotychczas nie opublikował. Liczy on 43 lata i pochodzi z Westfalii, rodzina jego wyemigrowała z Polski w osiemnastym wieku. Był przed wojną księgarzem, śpiewał również w operze. W czasie wojny był żołnierzem Wehrmachtu, uniknął niewoli rosyjskiej w chwili załamania się wschodniego frontu, gdyż został zabrany wraz z kolegami przez łódź podwodną, która wysadziła ich w Kiel, zajętym już przez Anglików. Po wojnie został robotnikiem w fabryce metalowej, swój utwór pisał przez kilka lat pomiędzy 4 i 6 rano, przed pójściem do pracy.

Gottfried Benn, reprezentujący literaturę niemiecką w jury, nie zawahał się nazwać *Kimmerische Fahrt* utworem genialnym. Cechą tej książki — relacjonował Benn — jest mieszanina brutalnego realizmu i najdziwaczniejszej fantastyki : bohater przeżywa na nowo, w stanie pół przytomnym, koszmar lat wojny i piekło walk w Rosji. Przez zstąpienie do Hadesu pamięci utwór Warsinskiego prowadzi, według Benna, ku „oczyszczeniu serca" i ku nadziei.

Poza tym jury poleciło wydawcom „Delirio y destino" Marii Zambrano, pisarki hiszpańskiej mieszkającej na Kubie.

„Nie jest być może przypadkiem" — stwierdził Salvador de Madariaga przy rozdaniu nagród, które odbyło się w Genewie — „że jury nagrody europejskiej zwróciło uwagę na prace Niemca, Polaka i Hiszpanki : świadomość naszej epoki najżywsza jest w krajach najciężej doświadczonych. Co więcej, trzej autorzy są emigrantami — gdyż o Warsinskim można powiedzieć, że pisząc swoją książkę, przebywał na wewnętrznym wygnaniu.

„Ze swojej strony pragniemy dodać, że dzięki faktowi, iż nagrodę zdobył Polak, została przypomniana jedność Europy przedzielonej dzisiaj sztucznie Żelazną Kurtyną. Jest nam przyjemnie, że wyróżnienie spotkało Polaka mieszkającego we Francji, której gościnność i klimat umysłowy zawsze przychylne były pracy polskich autorów".

Europejskie gildy książkowe, należące do Communauté des Guildes du Livre liczą dzisiaj 700.000 członków. Wydają one i sprzedają książki na zasadzie prenumeraty (np. guilde Szwajcarii romańskiej zobowiązuje swoich członków do zakupu 4 książek rocznie). Ta spółdzielcza forma ruchu wydawniczego pozwala na duże obroty, i, co za tym idzie, na fundowanie nagród. Każdy Europejczyk powinien sobie życzyć, aby ufundowana przez gildy europejska nagroda literacka była zapowiedzią na przyszłość : aby wskazywała że spółdzielnie wydawnicze są skutecznym środkiem rozpowszechnienia książki i że można obejść się doskonale bez fałszywych „spółdzielni" oznaczających policyjną kontrolę państwa jak to się dzieje w niewolnej części Europy.

Książki

Emigracyjne bezdroża

Książka Bohdana Łączkowskiego pt. ,,Emigracyjne Rozdroża'' jest zbiorem historyczno-publicystycznych essejów napisanych z wielką kulturą i w oparciu o dużą wiedzę historyczną, polityczną i ekonomiczną.

Punktem centralnym w analizie Łączkowskiego są Niemcy. Konflikt wojenny między Wschodem a Zachodem — zdaniem autora — nie leży w naszym interesie, ale nie powinniśmy się tym martwić, bo czas pracuje na naszą korzyść. Konflikt zbrojny oznacza armie niemieckie (w takiej czy innej organizacyjnej formie) maszerujące ku Wiśle, oznacza wejście (okrojonej) Polski w układ zorientowany na Berlin. Łączkowski pisze : ,,Wszystkim zależy na tym, by Polska przestała być rodzajem ,,protektoratu'' Rosji. Lecz wolność, którą nam proponują to nowe ,,General-Gouvernement'', a nie żadna wolność''.

Jeżeli taki jest przed nami wybór — to stan obecny uznać należy za alternatywę korzystniejszą. Łączkowski podkreśla, że ,,istnieje państwo polskie'', oraz ,,szkolnictwo polskie wszystkich stopni. Czy przypominać, jak przed niespełna pół wiekiem problemem było, by można było się uczyć i modlić po polsku w szkołach niższych i średnich''.

Ale przede wszystkim — podkreśla autor, że ,,rozpoczęcie działań wojennych w chwili obecnej oznaczałoby przerwanie planu sześcioletniego''.

Jeżeli tak stawia się sprawę, to trzeba mieć odwagę postawienia kropek nad tymi wszystkimi ,,i''. A więc, przede wszystkim, należy zadać pytanie czy w ogóle jakakolwiek polityka wyzwolenia leży w naszym interesie? Może się bowiem zdarzyć, że ,,wyzwolenie'' — w takiej czy innej formie przeszkodzi realizacji

planu sześcioletniego. Jeżeli — dalej — stoi się na stanowisku, że konflikt zbrojny musi nam nieuchronnie przynieść w wyniku utratę ,,ziem odzyskanych'' i nową okupację niemiecką — w takim wypadku trzeba wyraźnie stwierdzić, że jedyną realną gwarantką Polski w jej obecnych granicach jest Rosja i nie leży w naszym interesie układu tego zmieniać.

P. Łączkowski sądzi, że Rosja, przyznając nam granicę na Odrze i Nisie, miała na celu dobro stosunków polsko-rosyjskich. ,,Inaczej'' — cytuję dosłownie — ,,granica ta jest przecież dla niej kulą u nogi, jeżeli chodziłoby o jakieś zbliżenie do Niemiec''. Autor omawianej książki podkreśla również, że przez cały wiek XIX polityka Rosji nawracała stale do rozwiązania niemieckiego na niekorzyść Polski. Po raz pierwszy stało się odwrotnie. ,,Jest to sytuacja'' — podkreśla Łączkowski — ,,do której dążył i której chciał Dmowski, oraz tylu innych polityków polskich''.

Nie byłem nigdy entuzjastą Dmowskiego ale sądzę, że Dmowski, gdyby żył, zaprotestowałby energicznie przeciwko takiej interpretacji jego doktryny politycznej.

Sądzę również, że cele jakie przyświecały Rosji w chwili, gdy decydowała się na przyznanie Polsce ziem nad Odrą i Nisą nie były tak idyliczne jak to sugeruje p. Łączkowski. Moment niemiecki w tej decyzji odgrywał z całą pewnością b. ważną rolę. Nie sądzę również, by stanowisko Kremla w tej sprawie było niezmienialne i ostateczne. Walka o Niemcy między Rosją a Zachodem obfitować będzie z całą pewnością w różne dramatyczne niespodzianki.

P. Łączkowski widzi przed nami tylko dwie odwieczne możliwości. Albo protektorat rosyjski, albo protektorat niemiecki. Z owych dwóch alternatyw protektorat rosyjski uważa za korzystniejszy.

Mając przed sobą takie perspektywy, jakąż można prowadzić politykę? Należy oczywiście wybierać zło mniejsze. Gdybyśmy mieli wysunąć logiczne wnioski z takiego rozpoznania sytuacji — jako emigracja winniśmy popierać ,,kampanie pokojowe''. Bo pokój to całość naszych ziem — a wojna to rozbiór i hegemonia Niemiec.

P. Łączkowski na przykładzie swojej własnej książki może w dużej mierze rozszyfrować jakie m.in. przyświecały Stalinowi cele, gdy wykreślano granice na Odrze i Nisie. Ufundowano nowy polski ,,dylemat'' — *całość* czy *wolność?* Całość to związek z Rosją a zachodnia ,,wolność'' to Niemcy we Wrocławiu. Czy w takiej sytuacji należy pragnąć wolności?

Wydaje mi się, że nie wolno nam łykać tego rosyjskiego haczyka. Rosja nie jest żadną gwarantką ,,ziem odzyskanych'' i nie zawaha się odebrać ich Polsce, gdy jej polityka w stosunku do nowych Niemiec będzie tego wymagała. Tymczasem, idąc logicznie w ślad za rozumowaniem p. Łączkowskiego, musielibyśmy nieuchronnie dojść do wniosku, że jeżeli ceną za utrzymanie ,,ziem odzyskanych'' miałby być statut 17 republiki ZSSR —

i związanie Polski na zawsze z sowieckim systemem — cenę tę należałoby zapłacić. Czy całość ważniejsza jest od niepodległości?

Na tak skomponowanej mapie politycznej dla emigracji nie ma oczywiście miejsca. Nie możemy być za Amerykanami, bo zza ich pleców wyziera odrodzony niemiecki rewizjonizm — nie możemy popierać Sowietów, bo „gwarantują" nam wprawdzie całość, ale odmawiają wolności. Możemy tylko istnieć w stanie neutralistycznej nirwany — nie przynależni ani do Wschodu ani do Zachodu — politycznie „bezprizorni", ideologicznie bezpłciowi.

Powtarzam — na własnej książce p. Łączkowski może studiować efekty taktyki sowieckiej. Jeżeli jednym z celów Stalina przy wykreślaniu nowej linii granicznej była chęć przełamania naszego solidaryzmu z Zachodem, to cel ten, w wielu wypadkach, został osiągnięty. P. Łączkowski z emfazą podkreśla, że geopolityczna oś Polski została przesunięta ku Zachodowi. To jest prawdą, ale wyłącznie w sensie nomenklatury geograficznej. W rzeczywistości zostaliśmy przesunięci daleko na wschód — bo przed 1939 r. Kołomyja była niepomiernie bardziej zachodnim miastem niż dziś jest sowiecki sektor Berlina.

P. Łączkowski nie dostrzega, iż konflikt światowy z Rosją i nasz konflikt z Rosją — jest konfliktem cywilizacyjnym. Tu nie chodzi tylko o sprawy granic. Ale chodzi o to, czy mamy być przez następne stulecia narodem chrześcijańskim, czy też ta tysiącletnia tradycja ma się załamać i zbutwieć w „patriotycznej" cerkwi oderwanej od Rzymu? Tu chodzi o to czy naród polski na przestrzeni najbliższych 50 czy 100 lat ma upaść kulturalnie do poziomu przeciętnego „sowieckiego człowieka", czy ma stracić swoją literaturę, sztukę i naukę i definitywnie oderwać się od pnia Zachodu?

Jest zupełnym absurdem przypuszczać, że mamy do wyboru pomiędzy orientacjami wschodnią a zachodnią — względnie, że istnieje jeszcze „trzecie miejsce" dla niezdecydowanych coś w rodzaju „poczekalni" Historii. Nie mamy takiego wyboru, gdyż jesteśmy ludźmi Zachodu i tysiąc lat temu zdecydowaliśmy się na zachodnią orientację.

Nasza polityka i nasze problemy — choćby w danym momencie kształtowały się na Zachodzie jak najfatalniej — to przecież przynależą do Zachodu i tylko w ramach zachodniego świata walczyć możemy o realizację naszych celów. Bo pragniemy być nie tylko cali ale i wolni. Rosja Sowiecka jest naszym kardynalnym wrogiem, bez względu na to czy gwarantuje nam całość naszych granic czy nie, gdyż celem naszej polityki są nie tylko granice ale i niepodległość. Upadek reżimu sowieckiego, względnie wycofanie się Rosji z krajów okupowanych jest zasadniczym postulatem naszej polityki, choć realizacja tego postulatu kryć w sobie może nowe niebezpieczeństwa. Natomiast idąc logicznie śladem rozważań p. Łączkowskiego musielibyśmy stanąć na stanowisku, że skoro konflikt z Rosją i jej upadek przynieść

muszą odrodzenie Niemiec — wobec tego nie należy przykładać ręki do anty-sowieckiej polityki Zachodu. Tego typu trzymanie Niemiec ,,w szachu'' kosztuje nas jednak zbyt drogo !



Na powyższe problemy nie znajdziemy odpowiedzi w analogiach historycznych — w pismach Dmowskiego, czy Piłsudskiego. Albowiem obecna sytuacja jest bez historycznego precedensu. Problem niepodległości małych i średnich państw jest dziś problemem otwartym. Próby szukania odpowiedzi na to kardynalne pytanie, podejmowane w oparciu o anachronistyczne przesłanki, nie wiodą nigdzie. Tylko nowy system światowy i nowe formy organizacji państw mogą umożliwić rozwiązanie tego zagadnienia. Lecz warunkiem wstępnym do podjęcia kroków zmierzających w kierunku realizacji tego typu nowych rozwiązań — jest upadek Sowietów. I wskutek tego nie możemy pozwalać, by Kreml z ,,ziem odzyskanych'' robił *bilet za który kupuje sobie naszą neutralność*. Ziemie nad Odrą i Nisą muszą być obronione po tej stronie barykady a nowa granica uznana przez mocarstwa zachodnie. Bo Kreml nie gwarantuje nam całości naszych ziem. Moskwa gwarantuje nam tylko jedną rzecz — to jest niewolę.

Juliusz MIEROSZEWSKI

"Wina" Sapiehy i wina Z. Kossak

Teraz, gdy cały nakład ostatniej powieści Zofii Kossak *) został już sprzedany, można dzieło omówić szczerze bez obawy narażenia się na zarzut szkodzenia stronie handlowej pożytecznego wydawnictwa, jakim jest Biblioteka Polska Veritasu. Dziwiło mnie od początku, że przeróbkę wczesnego utworu nie pierwszorzędnej bynajmniej pisarki w reklamie handlowej przedstawiano jako sensację literacką. Po przeczytaniu jednak *Błogosławionej winy* i przypomnieniu sobie *Beatum scelus* dochodzę do wniosku, że mimo dużego wysiłku, jaki p. Kossak włożyła w przeróbkę, nowa wersja powieści nie jest zyskiem lecz stratą literatury polskiej.

Zacznijmy od krótkiej analizy pracy, wykonanej przez autorkę. *Beatum scelus,* ściśle biorąc (i w tym trzeba skorygować szczodrego rozdawcę laurek literackich K. Czachowskiego) nie

*) Zofia Kossak, *Błogosławiona wina*, Katol. Ośr. Wyd. Veritas, Londyn, 1953.

jest powieścią, lecz opowieścią, albo — jak wolą niektórzy teoretycy — trzema szkicami historycznymi, powiązanymi wspólnym bohaterem, którym jest cudowny obraz Matki Boskiej Kodeńskiej. Utwór obejmuje czas od pierwszej połowy XVII wieku do trzeciego dziesiątka XX-go. W części pierwszej opisuje dokonaną przez wojewodę Mikołaja Sapiehę kradzież obrazu i wywiezienie go z Rzymu, zaś w drugiej i trzeciej usunięcie obrazu z Kodnia przez Rosjan i spór między współczesnymi Sapiehami i miastem Kodniem o posiadanie obrazu. Opowieść ta liczy 30.000 słów. W kompozycji nie zdradza żadnych ambicji ani osiągnięć autorki — jest po prostu żywą, bardzo szczerą narracją, której szkielet stanowią fakty historyczne.

Druga redakcja utworu — *Błogosławiona wina* — rozszerzona jest do rozmiaru typowo powieściowego, gdyż liczy 52.000 słów. Bohaterem głównym jest tu wojewoda Sapieha, a czasowo powieść obejmuje tylko cztery lata (od 1633 do 1636). Do poprzedniego wątku głównego dodała autorka kilka pobocznych i parę postaci drugoplanowych — pogańskiego żerca Pyłypa, córkę Sapiehy Anusię, jej amanta Staszka — i parę trzecioplanowych. Charakterystykę niektórych, istniejących w pierwszej redakcji postaci (jak kościelnego Baptysty) rozszerzono lub zmieniono. Język nowej wersji jest bardziej ascetyczny, znać wyraźny i w dużej mierze udany wysiłek uwolnienia się od wpływu Żeromskiego. Postać główną starała się pisarka opracować obszerniej i psychologicznie pogłębić, a zarazem dostosować do przesuniętych w miarę osobistego rozwoju akcentów światopoglądowych. W zasadzie wszystkie te zabiegi byłyby celowe, niestety — szwankuje wykonanie nie wszystkich wprawdzie, ale większości wspomnianych tu zamierzeń.

Inteligentny, choć nie zawsze mi sympatyczny krytyk katolicki Zygmunt Lichniak wylicza w swych pracach typowe błędy katolickich pisarzy polskich. Są to : rezonerstwo, rozprawianie o bohaterach lub przez usta bohaterów, słaba charakterystyka postaci i sytuacji, gdy powieść pęcznieje od nadmiaru pobożnych spostrzeżeń i problemów, a postaci drugoplanowe stają się schematyczne. Wszystkie te błędy prowadzą do prymitywnego dydaktyzmu, a źródłem ich jest brak umiejętnej analizy i gorzkiej wiedzy o ludziach oraz nadgorliwość w tłumaczeniu metafizycznej wymowy opisywanych zjawisk — czyli pasja kaznodziejska.

Wydaje się, że p. Zofia Kossak, choć w *Błogosławionej winie* propaguje wiele cnót, jak posłuszeństwo i pobożność, grzeszy prawie wszystkimi wyliczonymi tu grzechami : rezonerstwem; mówieniem przez usta Sapiehy (który m.in. na sejmie wygłasza kazanie do króla) lub ustami kardynała Barberiniego; słabą charakterystyką drugoplanowych postaci – Pyłypa, Baptysty, a zwłaszcza Anusi i Staszka. Dodany do głównej akcji wątek miłosny jest przeraźliwie blady, a postać córki Sapiehy, bez żadnego sprzeciwu wewnętrznego poddającej się kaprysowi ojca zamknięcia jej w klasztorze — wręcz nieprawdopodobna. Nikczemny zakrystian papieża Baptysta, w pierwszej wersji bardzo żywy i ludz-

ki, w drugiej stał się papierowy, nieprzekonywujący. Opis jego „bogobojnej" śmierci i nawrócenia na stosie należy do najsłabszych partii powieści. Podobnie z Urbanem VII. W *Beatum scelus* „szalał z wściekłości i gniewu (...) prowadzonemu na stos Baptyście wymyślał i laską z okna groził, a gdy zakonnik w dowód boskiego miłosierdzia podał nędznikowi krucyfiks do ucałowania — krzyknął „Ja nie przebaczam" — aż dopiero na przedstawienia kardynałów (...) z odrazą krzyżem w stronę konającego na znak odpuszczenia machnął". W *Błogosławionej winie* Urban VII nie dokonuje ani jednego z tych wspaniale opisanych renesansowych gestów. Celny obraz ginie w potoku banalnych, letnich słów, wszystko odbywa się w głowie papieża, który myśli : „Skoro ja będę umierał, któż mnie rozgrzeszy i kto winę odpuści ? Ujrzał samego siebie — konkluduje autorka — stojącego u wrót śmierci, podobnie jak dziś ten grzesznik, łaknącego przebaczenia i zadrżał"..."

Przyznam się, że i ja zadrżałem czytając ten ustęp, likwidujący na rzecz sztampy piękno poprzedniego obrazu. Niestety, takich „zabiegów kosmetycznych" jest w powieści znacznie więcej, choć ten jest chyba najbardziej charakterystyczny.

Jakie jest źródło tych wszystkich błędów nowej powieści ? Wydaje mi się, że zawinił tu narzucony sobie przez autorkę „intelektualizm". U większości pisarzy nurt emocjonalny jest siłą kształtującą i porządkującą dzieło. Intelekt spełnia funkcje kontrolne, a jeśli kształtuje coś w fikcji powieściowej, to tylko partie czysto myślowe — jak treść pojęciową niektórych rozmów, albo nawet wykładów czy kazań, jeżeli bohater (ale nigdy autor) ma słuszny tytuł do ich wygłaszania. Zofia Kossak w najlepszych swych dziełach płynęła bezpiecznie po nurcie emocjonalnym i wyższość artystyczną *Beatum scelus* nad *Błogosławioną winą* widzę w szczerości, w swoistym, nie dającym się zdefiniować uroku, w ładunku emocjonalnym, który udziela się czytelnikowi — przynajmniej czytelnikowi posiadającemu w sobie struny współbrzmiące z wiarą i emocją autorki. Druga redakcja, choć miejscami wcale udatnie wzbogacona techniczną aparaturą powieści (np. polowanie na wilki) jest wprawdzie bardziej świadoma, na swój sposób bardziej intelektualna, ale zimna i sucha — nie jest w stanie przekazać emocji, co jest funkcją główną poezji i prozy artystycznej. Zabija ją kaznodziejstwo i łopatyzm.

Skoro tak słaby jest wynik artystyczny nowego dzieła, to może chociaż jego treść myślowa przewyższa *Beatum scelus* ? Zanim odpowiemy na to pytanie spróbujmy sklasyfikować panią Kossak i jej ostatnią powieść w ramach światopoglądu katolickiego, któremu zawsze była wierna i w ramach literatury katolickiej. Granice, prądy i kontrasty tego wielkiego, bardzo zróżniczkowanego świata wyznaczają tak różne i niewspółmierne nazwiska jak Sigridy Undset, Mauriaca, Wandy Miłaszewskiej i Bernanosa, Zawieyskiego i Claudela, Dobraczyńskiego i Greene'a, nie mówiąc o wyspie znakomitych katolickich esseistów francuskich. Wydaje mi się, że ze swym kultem wielkości, go-

rącości i gwałtowności wiary, ze swym przekonaniem, że o mdłe dusze maluczkich i letnich walczą Szatan i Święty — Zofia Kossak była najbliższa Bernanosowi — niestety nie w osiągnięciach artystycznych, lecz w zamysłach, w nurcie emocji, w poglądzie, że Krzyżowcy, że gwałtownicy porywają Królestwo Boże. Ostatnio jednak autorka oddaliła się od tego gorejącego pisarza.

Dziwnie na Zofię Kossak wpłynęła ostatnia wojna, jej ciężkie lecz bogate doświadczenia. W swej *Otchłani* zgubiła pióro, maczane przedtem na zmianę w ogniu demaskatorskiej pasji — jak w *Krzyżowcach* — i w gwałtownej ekstatycznej miłości — Mikołaja Sapiehy w *Beatum scelus*, św. Franciszka w *Bez oręża* i wielu innych świętych w opowiadaniach hagiograficznych pt. *Szaleńcy boży*. Wydaje mi się, że po przejściu przez *Otchłań* pani Kossak oblekła się nie tyle w *Suknię Dejaniry*, co w habit kaznodziei i poprzez ckliwą *Warnę*, w nudnym *Przymierzu* z wszystkimi płytkimi bogomodlcami głosi coraz mniej przekonywująco — choć, jak twierdzi w przedmowie do *Błogosławionej winy*, bardziej świadomie — świat, jaki — jej zdaniem — być powinien, lecz nie ten, jaki jawi się pisarzom katolickiej głębi, bogatym w gorzką wiedzę o życiu.

Co gorsze, pani Kossak w przedmowie do omawianej powieści próbuje tym pisarzom przeciwstawić jakiś własny ,,intelektualizm''. Czyniąc wyraźną aluzję do Mauriaca, Greene'a, a może nawet do Bernanosa i Undset, pisze, że ,,katolik, przyzwyczajony żyć w promieniach Łaski z mimowolnym dreszczem grozy i niedowierzania śledzi dzieje bohaterów (tych autorów — przyp. mój), walczących rozpaczliwie a beznadziejnie z własnymi błędami i kończy książkę z przekonaniem, że te zapasy nie zostały przedstawione po katolicku, gdyż potęga zła wydaje się w nich być niemal równa potędze dobra''.

Pomijając nieścisłą, moim zdaniem, i zbyt sumaryczną charakterystykę atmosfery w powieściach Mauriaca, a zwłaszcza Greene'a, w zasadzie nie miałbym nic przeciw głoszonemu przez p. Kossak hasłu położenia większego nacisku w pisarstwie katolickim na sprawy miłosierdzia bożego i miłości bożej — oczywiście pod warunkiem, że wezmą się do tego utalentowani i czujący zagadnienie pisarze. Jeśli usiłuje to robić sama autorka *Błogosławionej winy*, to niechże czyni to w sposób przekonywujący, na miarę swego talentu — artystyczny, a dogmatycznie i apologetycznie przynajmniej bezbłędny.

I tu dochodzimy do najboleśniejszego punktu krytyki. Nie przeczę, że autorka dokonała pewnej pracy umysłowej z intencją pogłębienia swego dzieła. Wynik jednak jest opłakany, co najlepiej widać z dodanych w drugiej redakcji ustępów teologicznych. Tak np. przez usta kardynała Barberiniego pani Kossak głosi na str. 54, że ,,jeśli chrześcijanin, otrzymawszy rozkaz swojej duchownej zwierzchności, zastanawia się nad słusznością zlecenia — grzeszy''. ,,Tak ! Grzeszy !'' — powtarza pani Kossak z wykrzyknikami. Jest to symplifikacja, granicząca z niebezpiecznym fałszerstwem. Nie trzeba być teologiem, by wiedzieć, że

katolicki dogmat przyznaje papieżowi — i tylko papieżowi — nieomylność jedynie w sprawach wiary i obyczajów i to wtedy, gdy Ojciec św. przemawia *ex cathedra*. Jeśli symplifikację powyższą nazwałem niebezpieczną, to miałem na myśli szczególną sytuację katolicyzmu w kraju, gdzie księża ,,patrioci'', będący prawidłowo wyświęconymi kapłanami, a więc w pewnym zakresie władzą duchowną wiernych, też domagają się bezwzględnego posłuszeństwa. Obawiam się, że *Błogosławiona wina* mogłaby narobić dużo zamieszania w głowach tych wiernych, choć nie wątpię, że nie było to zamiarem autorki.

Niestety nie jest to jedyne myślowe — teologiczne, czy apologetyczne — potknięcie pani Kossak. W innym miejscu tenże kardynał ,,Kossak-Barberini'' wygłasza mętny i niezgodny z encykliką Piusa XII *Mistici Corporis* wywód o bosko-ludzkim charakterze Kościoła (nb. nauka zawarta w tej encyklice była już znana za czasów Sapiehy), a o dwie strony niżej — znów ten sam dostojnik w spódnicy daje Sapieże równie niejasny, eklektyczny wykład o cudach. W biednej głowie czytelnika, nie znającego teologii lub nie mającego, jak podpisany, przyjaciela-teologa — tezy św. Bonawentury, św. Tomasza i Augustyna zlewają się w wielki szum i chaos. A przecież, jeśli pisarz katolicki decyduje się na wywód teologiczny — co przy niskim poziomie wykształcenia religijnego Polaków wydaje się pożądane — to możemy chyba od niego oczekiwać przynajmniej jasności i poprawności wykładu. Potrafią to doskonale czynić tak lekceważeni przez panią Kossak katolicy powieściopisarze Zachodu, by wspomnieć tylko znakomitego apologetę Bruce Marshalla.

Szukając krótkiej syntezy dokonanej przez Zofię Kossak pracy natrafiłem na scenę w jej powieści, gdy litościwy kat (sami poczciwi i zacni ludzie !) dobija palonego na stosie Baptystę, aby oszczędzić mu cierpień. Nawiązując do tego obrazu można by sparafrazowanymi słowami samej autorki scharakteryzować całą jej pracę, włożoną w drugą redakcję utworu. Wydaje mi się, że autorka przyrzucając — bez potrzeby — słów grzmotnęła czytelnika łopatą. Czytelnik — jak Baptysta — osuwa się, ale nie w ogień (którego było dosyć w I redakcji, a zabrakło w II-giej) — lecz w znudzenie.

Ale można powiedzieć — i rzeczywiście słyszałem takie zdania : ,,Po co tyle szumu o autorkę drugorzędną, która z wiekiem staje się trzeciorzędną ? Napisała jak umiała i na tym koniec''. Mogę zrozumieć takie stanowisko, choć zajmują je przeważnie krytycy, którym bynajmniej na poziomie polskiej literatury katolickiej nie zależy. Ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że Czachowski wystawiał pani Kossak bardzo wysokie noty, a duża część polskiej publiczności lubi dyplomowane wielkości i pseudowielkości. W swą wielkość zdaje się wierzyć (przynajmniej częściowo) sama pani Kossak, skoro porywa się na laureatów Nobla i próbuje formułować coś w rodzaju własnej, pożal się Boże, teorii literatury katolickiej — teorii, która łatwo może być zrozumia-

na jako zachęta do dalszego spłycania i tak do niedawna beznadziejnie płytkiego polskiego pisarstwa katolickiego.

Z tych względów, a nie z uwagi na rzeczywisty format zjawiska, poświęciłem pani Kossak tak wiele miejsca i gwoli sprawiedliwości starałem się ocenić dzieło w granicach talentu autorki *Krzyżowców* i jej własnych, najlepszych osiągnięć. W tych ramach dochodzę do wniosku, że pani Kossak pisząc *Błogosławioną winę* albo nie wyzyskała w pełnej mierze swego talentu, albo nie wykazała dostatecznego samokrytycyzmu, który by powstrzymał ją od zabierania się do pracy, przekraczającej obecnie jej możliwości. W każdym zaś razie nie zadała sobie dość trudu, aby przynajmniej czysto myślowe sformułowania z dziedziny teologii i apologetyki katolickiej uzgodnić z obowiązującą nauką Kościoła i ująć je w jasne i zrozumiałe — jeśli nie piękne — słowa.

Papież Urban VII przebaczył Mikołajowi Sapieże kradzież i wywiezienie cudownego obrazu i dlatego ,,wina'' jego jest winą w cudzysłowie. Ale grzechy autorki przeciwko cnocie artystycznej to — w moim odczuciu — wina bez cudzysłowu.

Janusz JASIEŃCZYK

Sztuka jest wyborem

Wszystkim znana jest wesoła, zapraszająca do śpiewu akustyka łazienki wyłożonej kaflami. Stojąc pod tęczowym prysznicem, wracamy do rześkiej, hałaśliwej atmosfery dzieciństwa. Są i poeci, dla których świat jest łazienką wyłożoną niebem i ziemią. Wszystko co zauważą staje się potencjonalnym śpiewem. Ile bodźców — tyle wierszy. I na pewno nie miniemy się z prawdą, twierdząc, że Kazimierz Wierzyński należy do rzędu tych właśnie, powiedzielibyśmy, odruchowo tworzących poetów. Od trzydziestu lat, idąc w czołówce liryków polskich, autor *Lauru Olimpijskiego*, powiększa swój dorobek poetycki o coraz to nowe tomy. Rzecz jasna, iż pisząc wiele, a ogłaszając wszystko co napisze, Wierzyński zapełnia swe książki wierszami o różnej wartości. ,,Najdziesz tu fraszkę dobrą, najdziesz złą i średnią''. Prawda ta, stara jak Kochanowski, znajduje pełne zastosowanie do wszystkich nieomal zbiorów Wierzyńskiego. *Korzec Maku* *) nie stanowi wyjątku. Obok kilku wierszy świetnych, obok paru fragmentów, czy po prostu ,,linijek'', będących wspaniałą poezją — większość utworów to imitacje dawnych, dobrych wierszy Wierzyńskiego. Czasem trudno wprost uwierzyć, aby tak doświadczony poeta mógł przepuścić do druku zaledwie bruliony swych wzruszeń. Winna jest temu po trosze poetyka skamandrycka, której autor dochował wierności. Sentymentalne, czy narodowe dziennikarstwo, pisane i rymowane językiem codziennym, urzekało świeżością i ,,brało'' czytelnika zmęczonego już nie koturnowym, ale wręcz szczudłowym językiem pisarzy Młodej Pol-

*) ,,Veritas'', Londyn, 1951.

ski. Nic więc dziwnego, że Skamander, spełniwszy rolę rewolucyjną, korzystał przez pewien czas z przywilejów, jakie daje nowość. Poeci świadomi kunsztu słowa winni byli pójść dalej i wyodrębnić style osobiste. Niestety, warsztat twórczy Wierzyńskiego nie uległ przebudowie. Kronika wydarzeń, geografia i wspominkarstwo wskazują na ten sam krąg tematyki, a posiwiałe od pyłu lat rekwizyty : Laura, Julietta, Ofelia, jak również papierowy światek mitologiczny rażą i nużą bladą literackością.

Pogoń za rzadkim rymem, czy asonansem jest inną pozostałością z czasu burzy i naporu. W naszej poezji rymy są prawdziwym bogactwem. Dzięki nim, obok wewnętrznego rytmu prowadzącego w głąb wiersza, napotykamy raz po raz wydarzenia dźwiękowe podobne do trześni rozkwitających wzdłuż drogi. Dobór współbrzmień ujędrnia strofę i świadczy o sztuce poetyckiej artysty. W wielu wierszach tomu, który omawiamy, rymy i asonanse świadczą przeciw autorowi, denuncjując swe antypoetyckie położenie. ,,*Wiersz określający światowe znaczenie lisa*'' (str. 65 i 66) zawiera dwa tego rodzaju przykłady : ,,Hollywood, Churchill, Walpurgia, Cała światowa liturgia''... i nieco dalej : ,,Grzebie w śniegu. Wywąchał. Pysk, jak koncha''. ,,Walpurgia'' i ,,koncha'' tkwią w wierszu bez najmniejszego pokrycia sensownego, nie mówiąc już o poetyckim. W wierszu ,,*Moreny*'' (str. 71) pogoń za rzadkim asonansem doprowadziła do nonsensu... ,,Pod ziemią lasy wysysa węgiel I rybną ławicę nafta : Oto jest nasza zaduma, Zapada w nas coraz głębiej I grzeje jak szorstki kaftan''... Pozostawiamy czytelnikowi analizę tych paru linijek i wyobrażenie sobie tej zadumy grzejącej nas od wewnątrz ,,jak szorstki kaftan''. Wierzyński jest zbyt cenionym pisarzem, aby mógł sobie pozwalać na tego rodzaju poetyckie gaffy. W wierszu rymowanym klasycznie zdumiewają nas swą niepoprawnością rymy (?) ,,znaczy'', ,,patrzę'', dziwi nas fraza : ,,Co jest to wszystko?'' (str. 51), razi nas tani kalambur : ,,A wszystkie drogi Prowadzą do rymu''... (str. 165).

Od kilkudziesięciu lat poeci starają się uświadomić sobie istotę ich sztuki. Wydaje nam się, że spośród wielu wypowiadających się na ten temat, Mallarmé utrafił w sedno, mówiąc po prostu : ,,wiersze pisze się przy pomocy słów a nie przy pomocy idei''. Uderza nas fakt jak mało uwagi poświęca Wierzyński słowu, dążąc przede wszystkim do wypowiedzenia wątku anegdotycznego.

Pragnęlibyśmy znaleźć w tomie więcej takich wierszy jak ,,*Wiatr*'', ,,*Van Gogh*'', czy ,,*Dzikie Gęsi*'' (pierwsza strofa czysta i celna). ,,*Koncert Zimowy*'' jest dla nas jednym z najpiękniejszych wierszy napisanych ostatnio po polsku.

Marian PANKOWSKI

Sowietyzacja Polski i duch P.P.S.

Książka Jana Malary i Lucienne Rey, *La Pologne d'une Occupation à l'autre* (1944-1952) (Editions du Fusain, Paris, 1953), jest pierwszą próbą historycznego spojrzenia na sowietyzację Polski. Autorzy podzielili swoją pracę na dwie części : ściśle historyczną, w której przedstawiają i analizują kolejność po-

litycznych wypadków od powstania ,,związku patriotów'' aż po ostateczną likwidację socjalistów i powstanie PZPR, oraz analityczną, w której nakreślają etapy sowietyzacji poszczególnych działów polskiego życia współczesnego.

Najwięcej nowych i ciekawych elementów zawierają rozdziały poświęcone polskiemu socjalizmowi i związkom zawodowym. Walka z WRN, próba Żuławskiego odbudowania PPS, przemiany w ,,rządowej PPS'', jej walka z PPR i ostateczna porażka zakończona ,,zjednoczeniem'' socjalistów i komunistów w ,,PZPR'' — wszystkie te etapy przedstawione są jasno i dokładnie z podaniem nieznanych dotąd szczegółów.

Autorzy twierdzą, że polska tradycja socjaldemokratyczna nie została złamana przez komunistów i że w masach robotniczych żyje nadal prawdziwy duch PPS. To co można wyczytać z polskiej rzeczywistości współczesnej wydaje się potwierdzać ich tezę. Podczas gdy z jednej strony prasa krajowa poświęca całe szpalty ,,likwidacji WRN'', potwornemu, sprzysiężeniu ,,wykolejonych niedobitków'' z ,,bandytami anglo-amerykańskimi'', teoretyczny organ partii ,,Nowe Drogi'' uderza w nieco odmienny ton przemawiając do partyjnej elity (grudzień 1952) :

,,Polityka budownictwa socjalizmu w Polsce... potrzebuje stale rosnących inwestycji w gospodarce. I oto, wśród zacofanych odłamów mas pracujących znajdują się tacy, którzy gdzieniegdzie kwestionują słuszność takich inwestycji, przeciwstawiają swoje chwilowe i nietrwałe korzyści ogólnemu interesowi klasy robotniczej i narodu... Tego rodzaju zaś tendencje konsumcyjne... usiłują szerzyć wrogowie narodu zwłaszcza wśród tych odłamów klasy robotniczej, które jeszcze nie przezwyciężyły do końca dziedzictwa swej drobnomieszczańskiej przeszłości. Na tych tendencjach żeruje socjaldemokratyzm...''

,,...Musimy w sposób nieprzejednany walczyć przeciwko ideologii socjaldemokratyzmu i jej świadomym nosicielom — wrogom klasy robotniczej, wrogom Polski, sługusom imperializmu. Musimy cierpliwie i systematycznie wykorzeniać przeżytki socjaldemokratyzmu ze świadomości mas ludowych, musimy wychowywać całą polską klasę robotniczą w duchu nieprzejednanej walki z socjaldemokratyzmem, w duchu marksizmu-leninizmu...''

Czy w ten sposób pisze się w oficjalnym organie partii o przeciwniku zdruzgotanym, który już nie istnieje?

Jan Malara i Lucienne Rey wyjaśniają postawę polskiej klasy robotniczej w rozdziale pt. : ,,Państwo przeciw robotnikom''. Robotnicy rzekomo — według propagandy reżimowej — ,,zacofani'', są w istocie grupą, najbardziej uświadomioną społecznie, ugruntowaną w myśli socjalistycznej i o bogatym doświadczeniu związkowym. Istotnie, taki robotnik który umiał walczyć o swoje prawa w systemie kapitalistycznym i który dążył do socjalizmu niosącego polepszenie bytu, większą wolność i zmniejszenie godzin pracy, w ,,socjalizmie'' dzisiejszej Polski widzi wzmożony wyzysk klasy robotniczej, odebranie jej prawa strajku, obniżenie poziomu życia i niewolniczy system pracy. Stąd

nienawiść robotników do stachanowców, do szokowych ,,metod pracy'', do systemów akordowych, do wszystkich którzy ,,ochotniczo'' zgłaszają podwyżki norm pracy i których starzy robotnicy pogardliwie nazywają ,,odważnymi''.

Ostatnie rozdziały książki poświęcone są oporowi, który stawia naród polski wobec sowietyzacji i rusyfikacji. Autorzy przypisują tu największą rolę oporowi stawianemu przez robotników i chłopów. Podkreślają oni zanik klasy średniej, demoralizację inteligencji, zakłamanie intelektualistów. Opór Kościoła katolickiego jest pokrótce wspomniany, ale z rozdziału poświęconego Kościołowi w dziale analitycznym wynika, że autorzy liczą się z prawdopodobieństwem doprowadzenia Kościoła do całkowitej uległości. Tym niemniej, nie wywołuje to u nich zbytniego pesymizmu : opór ekonomiczny, drobny sabotaż, łączność masy robotniczej z masą chłopską i oczywiście tradycje socjalistyczne robotników wydają im się najważniejszymi czynnikami oporu. Tak się przynajmniej wydaje z końcowego ustępu, który — może wbrew intencjom autorów — sprawia wrażenie pewnego ,,wishful thinking'' właściwego zachodnim zwolennikom ,,policy of liberation'' — wyzwolenia ,,satelitów'' kosztem w znacznej mierze ich własnych sił :

,,Dramatyczne zmagania się Goliata z Dawidami, które mają tam miejsce stanowią przykładową lekcję, z której wiele mogą się nauczyć ludzie żyjący po tej stronie Elby. Bez walki nie byłoby lekcji''.

,,Wysiłki ujarzmionych ludów, aby nie dopuścić do całkowitego panowania porządku sowieckiego w Warszawie lub w Pradze pozwalają Zachodowi na mobilizację sił moralnych, społecznych, gospodarczych, i — jeśli zajdzie potrzeba — militarnych, w celu przeciwstawienia się skutecznie tym, którzy na zawsze sprzysiężyli się przeciw wolności narodów i wolności człowieka. Opór ludzi w Europie środkowej i wschodniej wytwarza od kilku lat warunki sprzyjające do zniszczenia totalitaryzmu''.

Omawiając książkę Jana Malary i Lucienne Rey, podkreśliliśmy powyżej, że tradycja socjaldemokratyczna posiada istotne znaczenie w życiu dzisiejszej Polski, znaczenie, które z nienawiścią przyznają sami komuniści. Ale gdyby rzeczywiście opór narodu polskiego był niemal wyłącznie ograniczony do robotników i to przeważnie starszego ich pokolenia, Dawid nie miałby wielkich szans w zmaganiu z Goliatem. Autorzy stawiają wprawdzie również tezę łączności chłopsko-robotniczej w walce przeciwko reżimowi, ale teza ta wydaje się wątpliwa. Istnieje dawny antagonizm chłopsko-robotniczy i antagonizm ten drażni nawet komunistów, którzy chcą chłopów wciągnąć w ,,awangardę proletariatu''. Opór chłopów, ale prawdopodobnie, niestety, nie w porozumieniu z robotnikami, wydaje się dziś najsilniejszą przeszkodą w funkcjonowaniu totalnej gospodarki komunistycznej w Polsce. Ale poza oporem gospodarczym, tak głęboko zakorzeniona i tradycyjna siła jak Kościół musi przecież odgrywać ważniejszą rolę niż działająca w wąskim zakresie tradycja socjaldemokratyczna : i tu w *La Pologne d'une occupation à l'autre* znajdujemy brak wyczucia proporcji. Nieuzasadniony wydaje się rów

nież pesymizm autorów w stosunku do inteligencji : opór jej jest wewnętrzny i przeważnie bierny, ale nie wydaje się, żeby fakt uległości wobec rządów sanacyjnych, wysuwany przez autorów, miał znaczenie jako wskaźnik w tym wypadku. Sanacja szerzyła demokralizację, ale wobec groźby aresztowania i śmierci, która stoi dziś w Polsce przed każdym, trudno ,,demoralizacji'' przypisywać ,,kolaborację'', która jest warunkiem istnienia. Skądinąd autorzy nie wspominają o młodzieży, która kształcona już jest w duchu stalinizmu na ,,kadry techniczne''. Problem tej nowej inteligencji staje się z każdym rokiem ważniejszy : oderwanie jej od reżimu jest kluczowym zagadnieniem przyszłości, jak to podkreślił chociażby Fejto w swojej książce, mniej obiektywnej, mniej może uczciwej, ale starającej się zanalizować problem głębiej niż to czynią pp. Malara i Rey.

Należy podkreślić bardzo gruntowną dokumentację (przeszło sto końcowych stron książki poświęconych jest wyliczeniu źródeł, cytatom, statystykom i objaśnieniom) i doskonałą znajomość stosunków politycznych i personalii w dzisiejszej Polsce. *La Pologne d'une occupation à l'autre* pozostanie cennym źródłem dla każdego badacza polskiej współczesności.

KAJ

Książka o Europie

Niedawno ukazało się w Paryżu francuskie wydanie książki znanego pisarza hiszpańskiego Salvadora Madariagi pt. *Portrait de l'Europe* 1), (Portret Europy). Madariaga jest nie tylko pisarzem, profesorem literatury i historykiem. W swoim czasie był też dyplomatą w służbie Republiki Hiszpańskiej i od 15 już lat znajduje się na wygnaniu. Jego książka jest nie tyle portretem Europy co szeregiem portretów najważniejszych według niego narodów Europy, niejako próbą charakterystyki psychicznej każdego z tych narodów.

Madariaga napisał swą książkę w nadziei, że Europa stanie się rzeczywistością i że, jak pisze, ,,Hiszpanie będą mówić ,,nasze Chartres'', Anglicy ,,nasz Kraków'' a Włosi ,,nasza Kopenhaga''. Wydaje się to może zbyt śmiałe, a nawet śmieszne, ale ostatecznie jeszcze sto lat temu takie np. Włochy były też jedynie pojęciem geograficznym i składały się z szeregu niepodległych państewek. Gdyby mieszkaniec Mediolanu powiedział wówczas ,,nasz Rzym'', a mieszkaniec Rzymu ,,nasza Wenecja'', wydało by się to równie śmieszne, jak dziś to, że kiedyś Anglicy będą mogli uważać Kraków, a Polacy Oxford za część swej tradycji kulturalnej.

Ale też jedność Europy nie powinna, zdaniem Madariagi, zatrzeć cech indywidualnych, które nadają wartość poszczególnym narodom. Jak mówi Madariaga : ,,pragniemy wszyscy, aby Europa przestała być domem wariatów, zawierającym wojowniczych fanatyków, ale nikt nie chce, żeby stała się klasztorem trapistów''. Zachowanie cech narodowych powinno zostać

1) Salvador de Madariaga, *Portrait de l'Europe*, str. 276, Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, frs. 590.

osiągnięte w ten sposób, że każdy postara się zrozumieć sąsiada, zrozumieć że jeżeli inni różnią się od nas, to nie jest to wcale spowodowane jakąś „deprawacją" czy jak byśmy powiedzieli perwersją.

Aby zilustrować tę tezę, autor przyjął dla swoich portretów ciekawą metodę kontrastów. A więc przedstawia on i przeciwstawia sobie w jednym rozdziale Francję i Włochy, w innym Francję i Anglię, Włochy i Niemcy, lub Anglię i Hiszpanię, podkreślając raczej niż przemilczając wstydliwie drażliwe punkty. Cała ta część książki nosi zresztą tytuł „Napięcia".

Madariaga definiuje cywilizację europejską jako produkt tradycji sokratycznej i tradycji chrześcijańskiej, toteż poświęca główną część swojej książki, bo przeszło 150 stron narodom Europy Zachodniej wraz z Niemcami i Grecją, jako że stamtąd rozeszło się chrześcijaństwo no i tradycja sokratyczna. Jedynie jakieś 20 stron poświęcone jest Europie środkowo-wschodniej.

Madariaga jest historykiem, a nie prehistorykiem, toteż trudno mieć do niego pretensję, żeby wiedział, iż jedność europejska jest o wiele starsza niż duch sokratyczny i niż chrześcijaństwo, które stanowią niewątpliwie jej część składową. Prehistorycy stwierdzili zadziwiającą jedność cywilizacyjną Europy już w pierwszym tysiącleciu przed Chrystusem, a zresztą podkład cywilizacyjny Europy — podkład, na którym nawarstwiła się późniejsza cywilizacja książkowa, uniwersytecka — pokład cywilizacji chłopskiej, tradycji ludowych, świąt i wierzeń, jest w zasadzie identyczny od Portugalii aż po wschodnie granice Ukrainy, a te wierzenia są jeszcze starsze niż pierwsze tysiąclecie przed Chrystusem, te wierzenia, te święta, czy to chodzi o Zaduszki, o wieczerzę wigilijną czy też o pierwszy maj sięgają neolitu, epoki kamiennej.

Oczywiście można twierdzić, że wieczerza wigilijna przyszła do Polski wraz z chrześcijaństwem, choć niektóre cechy tradycyjne jak mak poświęcony umarłym czy zapraszanie wilka na wieczerzę świadczą, że jest o wiele starsza. Ale oto drobny przykład z innej dziedziny : na wsi francuskiej przemawia się do Bożej krówki, zwanej tu Boże zwierzątko, tak samo jak w Polsce : Boża krówko leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba. Takie wspólne tradycje nie zostały przecież przyniesione przez chrześcijaństwo, muszą więc być o wiele starsze.

Tak samo też, w dziedzinie kultury materialnej, radło — rodzaj prymitywnego pługa bez lemiesza — jest identyczne na przykład na Wołyniu i w Prowansji. Trudno sobie wyobrazić, by powstało w dwóch miejscach niezależnie, no a gdyby je przynieśli chrześcijańscy misjonarze, którzy oczywiście przynieśli ze sobą do Polski wiele osiągnięć zachodniej cywilizacji, zaczynając od pisma a kończąc na winie, gdyby więc przynieśli je ze sobą romańscy mnisi 11-go wieku, to chyba zamiast radła, przynieśliby raczej ulepszony pług, znany już wtedy od dawna.

W zeszłym miesiącu miał miejsce w muzeum Guimet w Paryżu odczyt profesora Brailoiu, który przedstawił w nim działalność międzynarodowego centrum badań muzycznych w Genewie. Centrum to zajmuje się m.in. wydaniem wszechświatowej antologii muzyki ludowej. Nagrano już szereg płyt oryginalnych, jak węgierskie, rumuńskie, ukraińskie, żydowskie, tureckie, czy nawet pieśni Tuaregów. I oto prof. Brailoiu stwierdza, że muzyka *ludowa* Europy, niezależnie od wpływów muzyki kościelnej i dworskiej, stanowi całość różniącą się zdecydowanie od muzyki ludowej całego pozostałego świata. Jeżeli istnieje jakaś linia dzieląca Europę muzyczną na 2 części, to przebiega ona ze Wschodu na Zachód : mianowicie od Ukrainy, poprzez Rumunię, Węgry, Bułgarię, Włochy aż do południowej Hiszpanii spotykamy tak zwaną chromatykę orientalną zwaną niesłusznie cygańską, która już w północnej Hiszpanii czy w Polsce nie występuje.

Otóż Madariaga, patrząc z najbardziej na zachód wysuniętego półwyspu Europy jakim jest Hiszpania, nie bardzo dostrzega Wschód. Trzeba zresztą przyznać, że obok Rosji i Turcji Polacy są jedynym narodem, który uwzględnia, porównując nas, z zamiłowaniem do paradoksu, które cechuje całą książ-

kę, do Irlandczyków i do Hiszpanów, co jest niewątpliwie największym zaszczytem w oczach Hiszpana. A zresztą i o Irlandczykach pisze : ,,Jestem głęboko przekonany, że Irlandczycy są Hiszpanami zagubionymi w morzu i wyrzuconymi na wybrzeża północne, gdzie wszystko jest im obce. Oto dlaczego są to jedyni katolicy na północy i najbardziej nieszczęśliwi z ludzi północy''. I Madariaga dorzuca : ,,Oczywiście wszyscy ludzie północy są nieszczęśliwi''. Cała książka pełna jest błyskotliwych paradoksów i porównań tego typu. Tym bardziej szkoda, że autor pominął zupełnie Rumunów, Węgrów czy też Czechów, których dla odmiany można by nazwać Szwajcarami, którzy zawędrowali na Wschód i jeśli są tam nieszczęśliwi, to dlatego, że pomimo wysiłków dla utrzymania prawdziwie szwajcarskiej neutralności, historia wplątuje ich ciągle w różne awantury. Madariaga zdaje się też nawet nie wiedzieć o istnieniu Ukraińców, których już dawno nazwano polskimi Irlandczykami i których można oskarżyć o wszystko, tylko nie o zamiłowanie do neutralizmu. Należy też może wyrazić żal, że autor poświęciwszy 10 pełnych uznania stron trzem narodom skandynawskim nie zauważył ich miniaturowego odpowiednika na południowo-wschodnim brzegu Bałtyku : Litwy, Łotwy i Estonii, ograniczając się do frazesu o 2-3 tuzinach narodów Rosji. Ale te kraje nie były królestwami, a Madariaga twierdzi w rozdziałku o Skandynawii, że jedyne kraje, które osiągnęły rozsądek i równowagę polityczną, że jedyne prawdziwe republiki w Europie to królestwa skandynawskie, królestwo holenderskie i królestwo brytyjskie.

Jeśli chodzi o Polaków, to nasuwa się inne, równie paradoksalne, porównanie. Tym czym dla Hiszpanów było morze, i Ameryka — tym dla nas niewątpliwie bezkresne stepy i pustkowia Ukrainy. Nasi konkwistadorzy-zdobywcy zapuszczali się już od Jagiełły na te tereny i zdobywali je również dla krzyża łacińskiego, i... dla siebie. Madariaga jest Europejczykiem, ale i żarliwym patriotą hiszpańskim. Toteż twierdzi, nie bez pewnej przesady, że król Filip II, który wsławił się w historii z potwornych rzezi dokonanych przez jego wojska w Holandii, nie był bynajmniej Hiszpanem lecz właśnie Holendrem. Polski essayista, który by pragnął napisać tego rodzaju historię polskiej epopei ,,kolonialnej'', mógłby równie dobrze powiedzieć, że Jarema Wiśniowiecki nie był przecież Polakiem, tylko Ukraińcem i to prawosławnym.

To krótkie omówienie nie jest w stanie wyczerpać całego bogactwa, którym iskrzy się książka Madariagi. Można tylko wyrazić nadzieję, że portret ten, czy raczej szereg portretów, zamiast przedstawiać skłóconych sąsiadów, stanie się początkiem galerii rodzinnej i że w galerii tej nie zabraknie i portretów chwilowo mniej uprzywilejowanych członków rodziny.

Jan TOROSIEWICZ

Nazwy ukraińskie w Kanadzie

Ukraińska Wolna Akademia Nauk, założona w r. 1945 w Niemczech, prowadzi od siedmiu blisko lat żywą działalność wydawniczą : 65 książek od r. 1946 do 1951. Rozmiar tych książek sięga od kilku do stu kilkudziesięciu stron a tematy od żuków Karpat do psychologii hetmana Mazepy. Ten podziwu godny wysiłek naukowy należy podkreślić, mimo iż wiele z wydanych książeczek posiada charakter raczej popularno-naukowy. Są one przeznaczone dla szerszych mas ukraińskich w Kanadzie i Stanach.

Niestety, publikacje te dochodzą do nas niezmiernie nieregularnie i rzadko, toteż dopiero teraz mogliśmy się zapoznać z jedną z ciekawszych i niewątpliwie pionierskich prac, jaką jest książka prof. Rudnyćkiego *) o nazwach geograficznych pochodzenia ukraińskiego w Kanadzie. Jak dotychczas żaden z kanadyjskich językoznawców nie zajął się tą kwestią i autor zebrał po raz pierwszy około 200 nazw ukraińskich w Kanadzie.

Nazwy miejscowe Kanady są w ogóle zajmujące, gdyż — jak wszystkie nazwy geograficzne — odbijają procesy osiedleńcze. Toteż obok wielkiej ilości nazw indiańskich (według danych z r. 1908 w samej tylko zamieszkałej części prowincji Quebec było ich 8.000, poczynając od samej nazwy Quebec — cieśnina, albo też nazwy Kanada — wieś) mamy też nazwy francuskie jak Montreal, angielskie i inne europejskie. Warto też wspomnieć o nazwach tłumaczonych z jednego z wielu języków indiańskich, jak Rzeka Czarów (la rivière de la jonglerie) albo przekręconych, jak rzeka Rzýmska (Romaine, po indiańsku Olomane). Zresztą kolonizacja trwa do dzisiaj i wciąż nadawane są nowe nazwy. Odbywa się to przeważnie w ten sposób, że dopóki w danej okolicy nie ma poczty, nie posiada ona oficjalnej nazwy, ale gdy powstanie poczta czy raczej agencja pocztowa w domu któregoś z kolonistów, to wtedy władza wymaga, by poczta miała nazwę i nazwę tę bądź nadaje ów ,,poczciarz'', bądź bierze się jako nazwę jego nazwisko.

Podobnie miała się sprawa z nazwami pochodzenia ukraińskiego. Pierwsi ukraińscy koloniści przybyli pod koniec XIX wieku i tak np. w 1910 roku poczciarzem został syn księdza unickiego spod Tarnopola, Z. Mykytka. Zaproponował on władzom pocztowym trzy nazwy : Halicz, Stryj i Mykytka. Władze wybrały najłatwiejszą dla Anglików Stryj i miejscowość tak się nazywa. Albo np. wieś Wostok (poczciarz w 1898 był z Galicji ale moskwofil). W miejscowości Wasel pierwszy poczciarz nazywał się Wasel Hawrelak. Przeważna część nazw miejscowości pochodzących od nazwy poczty wywodzi się jednak z nazw wsi lub miasteczek Galicji lub Bukowiny : Horod, Ispas, Zbaraż, Kołomyja, skąd pochodził założyciel poczty, a więc pewno i większość pierwszych kolonistów.

Nazwy poczt i niektórych osiedli są niejako oficjalne, posiadają formę kanadyjską (angielską). Zasługą prof. Rudnyćkiego jest zebranie sporej ilości, bo blisko stu, nazw nigdzie dotąd nie zebranych, — są to nazwy bądź niewielkich osiedli, bądź części osiedli, a przeważnie ,,okolicy'', pojedyńczej farmy-chutoru, albo też często cerkwi i należącego do niej obszaru, w okolicach gdzie farmy są rozrzucone.

Charakterystyczne że wszystkie niemal nazwy odnoszą się do osiedli ludzkich, tylko wyjątkowo spotyka się taka Babyna Dołyna czy Galician Lake. Tłumaczy się to chyba tym, że Ukraińcy osiedlili się w kraju zasiedlonym rzadko, ale jednak już zasiedlonym i gdzie rzeki, góry i doliny miały już od dawna przydzieloną nazwę. Warto dodać, że i w niezasiedlonej części Kanady rzeki mają swe nazwy, pochodzenia przeważnie indiańskiego, nadane przez geografów, którym to było potrzebne dla ich map. Toteż wyjątkiem jest Bigoray River, bynajmniej nie od osadników z Biłgoraja, ale nazwana aktem urzędowym na cześć poległego lotnika ukr. pochodzenia. Rzeka nazywała się zresztą poprzednio Muskeg, a więc też nazwa indiańska. W tym miejscu warto podkreślić sporą ilość nazw ,,sztucznych'' w Kanadzie. A więc nie tylko nadawanych dekretem, ale zwłaszcza takich jak Ukalta (Ukraina + prowincja Alberta), Krydor (Krysak + Sy-

---

*) Jaroslav B. Rudnyćkyj, Kanadijski miscevi nazvy ukrajinškoho pohodzeńńa. UVAN, Winnipeg 1951. Brak miejsca nie pozwala nam na omówienie nowszej pracy tegoż autora : Nazvy ,,Halyczyna'' i ,,Volyn'', UVAN, Onomastica nr 3, ib. 1952.

dor) i Rodef (odwrotnie Fedor), jeżeli etymologie prof. Rudnyćkiego są słuszne.

A jakie to nazwy przynosili ze sobą ci galicyjscy chłopi do nowego kraju ? Obok nazw ojczystych wsi czy okolic (jest nawet Czornohora) także nazwę ojczyzny (Ruś, Ruthenia, Ukraina), stolic większych czy mniejszych (Nowy Kijów, Lemberg, Stanisławów, Tarnopol, Halicz, Brody). Warto zauważyć, że nielicznym wśród nowoprzybyłych ludziom piśmiennym imponowały widać austriackie nazwy (jest i miejscowość Videń — Wiedeń), a także polska ortografia, bo mamy nie tylko Tarnopol, formę polską, ale i Buczacz i Halicz (aż 3 razy) a nie Hallich. Również normy ukraińskiego języka literackiego były im widać obce, bo nie wahali się stosować wymowy gwarowej : Wasel Hawrelak, Sheptetski. A może zresztą tymi piśmiennymi byli sąsiedzi Polacy czy austriaccy Żydzi ?

Inny ciekawy typ nazw w Kanadzie to nazwy miejscowości jak Szewczenko, Szeptyćkyj, Petlura, także od sław lokalnych (Bigoray, Ferley) i analogiczne nazwy od pierwszych kolonistów (Wasel czy Szandro). A wreszcie ciekawe są nazwy niespotykane w Galicji i w ogóle na Ukrainie a wyrażające nadzieje przyjezdnych na lepsze, szczęśliwsze życie : Zhoda, Vilna, Pravda, Slava, Zoria. Ciekawe że czasem asymilowano nazwy ukraińskie do języka angielskiego, np. Fedorah (porównaj Hannah) czy Whitkow (white — biały).

Jeśli chodzi o nazwy geograficzne to nie wiadomo właściwie, co oznacza tu pojęcie ,,pochodzenie — etymologia''. Z punktu widzenia ściśle językowego Lemberg jest nazwą niemiecką, a Tarnopol polsko-grecką (por. Konstantynopol, to hetman Tarnowski w 1540 r. chciał się mierzyć z Konstantynem Wielkim), podobnie jak York i Orlean celtycką. Ale Nowy York i Nowy Orlean w Ameryce są już pochodzenia angielskiego względnie francuskiego. Prof. Rudnyćkyj przyjął więc kryterium najszersze tj. geograficzne, niezależnie od pochodzenia nazwy i od tego czy nadali ją w Kanadzie Ukraińcy czy też Niemcy (np. Chortitz) czy też może Polacy np. Nowy Sokal, który nazywał się poprzednio Kopernik, albo też Jarosław czy też Janów. Trzeba przyznać, że ta ostatnia nazwa jest tajemnicza, jako że oficjalne źródło kanadyjskie podaje : ,,after Janow Gilewicz, postmaster''. A może ów Gilewicz, który mógł być równie dobrze Polakiem, nazywał się poprostu Jan ? Praca prof. Rudnyćkiego przeznaczona jest jednocześnie dla naukowców i dla ogółu, poza tym napisana jest nieco pośpiesznie, co niestety zmniejsza jej wartość źródłową. Tak np. na str. 69 Sokal związany jest ze słowem ,,sik'' a na str. 55 (Nowy Sokal) jest ,,niedość wyjaśnione''. Tym pośpiechem też należy chyba wyjaśnić, że autor nie podaje przeważnie przypuszczalnej daty nadania lub pierwszego pojawienia się nazwy. Prof. Rudnyćkyj nadał swej książce układ możliwie najprostszy, alfabetyczny. Jednak o wiele bardziej płodne naukowo byłoby poklasyfikowanie nazw według jakiejś mniej mechanicznej zasady, bo obejmująca 20 linijek klasyfikacja w przedmowie to trochę za mało.

Szkoda też, że autor nie umieścił więcej danych co do ukraińskiego pochodzenia pierwotnych osadników. Większość nazw została nadana po 1900, a więc mieszkańcy mogą pamiętać kto nadał. Tak więc prof. Rudnyćkyj prawdopodobnie dowiedział się na miejscu, że Kasza (właściciel ziemi od którego poszła nazwa osady Kasha) był Ukraińcem. Ale należało i to podać, tak jak to uczynił przy nazwie wsi Kleczkowski, bo nazwisko może być polskie, rosyjskie czy nawet słoweńskie. Podobnie należało podać jakieś szczegóły dotyczące osiedleńców przy nazwie Sobor tak jak to uczyniono przy nazwie Slava, czy Vostok. Szkoda również, że zbierając materiały po tych wszystkich miejscowościach autor nie zapisał wymowy lokalnej i nie zaznaczył wszędzie akcentu. Na zakończenie pozwolę sobie wyrazić wątpli-

wość czy Leeshore ma rzeczywiście jaki związek z nazwiskiem Kosiur. Czy autor nie padł ofiarą tak zwanej etymologii ludowej ?

Wszystkie te uwagi nie zmniejszają oczywiście pionierskiej wartości pracy prof. Rudnyćkiego. Nasze zastrzeżenia zresztą dotyczyłyby raczej kryteriów i metody przedstawienia materiałów, ale skoro się przyjmie ramy, które sobie zakreślił autor, to można tylko wyrazić życzenie, aby następne, czysto już naukowe, wydanie pozwoliło mu pogłębić i poszerzyć jego dokumentację.

Jan TOROSIEWICZ

Granice zachodniej cywilizacji

W swej kapitalnej pracy ogłoszonej w 1950 roku pt. *The Limits and Divisions of European History* 1), Profesor Oskar Halecki naukowo postawił problem Europy Wschodnio-Środkowej jako dziedziny badań odrębnej od dziejów tak Rosji jak i Niemiec. W dwa lata potem, wypełniając swe trudne przyrzeczenie, uczony polski ogłosił nowy dowód swej niezwykłej erudycji — pionierski podręcznik historii tego obszaru zatytułowany *Borderlands of Western Civilization. A History of East Central Europe* 2).

Praca ta obejmuje całość dziejów obszaru między Niemcami a Rosją właściwą, od czasów najwcześniejszych aż do chwili obecnej; książka pokrywa zatem historię Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Białorusi, Ukrainy, Polski, Czech, Węgier, Rumunii, Austrii, Jugosławii, Albanii i wreszcie Grecji. Książka pomyślana i zbudowana przede wszystkim jest jako podręcznik uniwersytecki historii politycznej; odmalowuje również szerokie tło kulturalne rozgrywających się wypadków; natomiast aspekty gospodarcze i społeczne są na ogół pominięte. Podręcznik profesora Haleckiego podzielony jest na siedem części. Konstrukcja daje dobry wgląd w treść pracy i podejście do niej autora. Część pierwsza zarysowuje geograficzne i etnograficzne tło oraz początki dziejów omawianego obszaru do schyłku wieku IX-go, tj. do początkowej krystalizacji rejonu. Część druga pokrywa główną część średniowiecza i renesans od końca wieku XIV-go do początku wieku XVII-go, a więc okres rozkwitu i rozmachu narodów Europy Wschodnio-Środkowej. Część czwarta to wiek XVII i XVIII, okres pochłaniania głównych członów obszaru przez zaborczych sąsiadów, okres zamknięty rozbiorami Polski. Część piąta, trafnie zatytułowana ,,Nacjonalizm przeciwko imperializmowi'', pokrywa wiek XIX i początek wieku XX-go, okres odradzania się narodowego ujarzmionych narodów aż do Pierwszej Wojny Swiatowej. Część szósta, to ,,Dwadzieścia lat wolności'', daje krytyczny ale pozytywny przegląd dorobku powersalskiego.

Część siódma i ostatnia, to Druga Wojna Światowa i jej skutki. Część ta rozbita jest na dwa rozdziały, noszące niemal sloganowe tytuły : ,,Hitler's War'' i ,,Stalin's Peace''. Ostatni podrozdział końcowej części, ,,Europa Wschodnio-Środkowa i Ameryka'' omawia wagę tego rejonu liczącego

1) Patrz *Filozofia historii Europy*, ,,Kultura'', Nr 10/36, 1950.

2) The Ronald Press Company. New York, 1952, str. 503 i XVI, 3 mapy i 1 karta genealogiczna; cena $ 6.

przeszło sto milionów mieszkańców w polityce Stanów Zjednoczonych. Autor, konsekwentny choć ostrożny federalista, podkreśla, że mocno wewnętrznie związany, a oparty o Amerykę, obszar ten winien stać się ,,bastionem pokoju na rubieżach zachodniej cywilizacji''.

Książkę zamyka bibliografia głównych prac w językach angielskim, francuskim i niemieckim, indeks, jasno skonstruowana tablica genealogiczna dynastii Europy Wschodnio-Środkowej. Dla całości obrazu podkreślić należy jeszcze umieszczenie czterech przejrzystych map omawianego rejonu : pierwsza odnosi się do pierwszej połowy wieku XIII, tj. do okresu przed najazdami tatarskimi, druga do schyłku wieku XV, do ,,systemu Jagiellońskiego''; trzecia obrazuje przełom wieku XVIII i XIX, okres od pierwszego rozbioru do traktatu wiedeńskiego. Czwarta mapa to system powersalski okresu między-wojnia.

Profesorowi Haleckiemu należą się niewątpliwie słowa uznania ze strony tak szerokich rzesz czytelników, jak i ze strony badaczy dziejów tego obszaru Międzymorza za to, że pierwszy odważył się na śmiałą próbę syntezy historycznej. Dzięki pracom nielicznej grupy uczonych, pracujących w Ameryce, na których czele stoi właśnie profesor Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu, Fordham, dzieje Europy Wschodnio-Środkowej powoli przestają być kopciuszkiem wśród uznanych przedmiotów dociekań naukowych, a zdobywają sobie należne im miejsce. Poważną rolę spełnia tu wydawany przez Colorado State University poważny kwartalnik historyczny, *Journal of Central European Affairs*, ofiarnie kierowany przez Prof. H.S. Thomsona. Ewolucja ta nie pozostaje bez związku z przebudzeniem się w świadomości społeczeństwa Stanów Zjednoczonych przekonania, że dotychczasowe lekceważenie ,,rubieży zachodniej cywilizacji'' było błędne i szkodliwe dla samej Ameryki. Ubiegła prezydencka kampania wyborcza była tego przebudzenia wymownym objawem. Podobnych przejawów zmiany nastawienia nie brak i w świecie naukowym. Książka profesora Haleckiego na pewno zainteresowanie Europą zakurtynową wzmoże i pogłębi.

Całość pracy profesora Haleckiego wydana jest bardzo pięknie i starannie, nawet na warunki amerykańskie, gdzie poziom szaty zewnętrznej jest na ogół bardzo wysoki. Oczywiście pionierska praca tych rozmiarów nie mogła ustrzec się pewnych niedociągnięć. Usterki książki są jednak na ogół drobne, można powiedzieć nieuniknione w pierwszym wydaniu, podczas gdy całość robi wrażenie wręcz imponujące. Jest to nowy wkład polskiego historyka w historiografię europejską.

M. K. DZIEWANOWSKI

Notatki wydawnicze

Niemiecki pisarz Romano Guardini, profesor uniwersytetu Tübingen, jest jednym z najpoważniejszych współczesnych filozofów katolickich. Jego ostatnia książka *La Fin des Temps Modernes* (Editions du Seuil, Paris, 1952) (w oryginale ,,Das Ende der Neuezeit'', Werkbund Verlag, Würzburg, 1950) jest próbą analizy wizji świata człowieka średniowiecznego, człowieka czasów nowożytnych, i odgadnięcia powstającej obecnie — według Guardiniego — wizji świata przyszłego człowieka.

Obraz świata wytworzony w tzw. ,,czasach nowożytnych'' (od końca średniowiecza po dzień dzisiejszy) określa Guardini następująco : ,,przyroda spoczywająca sama w sobie, samodzielny podmiot-osobowość i kultura

tworząca według własnych norm". Autor przepowiada rychły koniec tej koncepcji (twierdzi nawet, że przeżyła się ona całkowicie i istnieje nadal jedynie szczątkowo w naszej wyobraźni). Około r. 1930 miałaby się zmienić zasadniczo ludzka koncepcja przyrody (czy wszechświata). Przyroda przestała być „matką" i utraciła swój charakter „nieskończoności". Nowy, skończony wszechświat wydaje się człowiekowi obcy i niebezpieczny. Podobna zmiana zaszła w stosunku do osobowości, w subiektywnym stosunku człowieka do siebie samego. Podczas gdy czasy nowożytne rozwinęły świadomość człowieka uwolnionego z średniowiecznych pęt, dążącą do pełni rozkwitu i egzystencji należącej wyłącznie do jednostki, w nadchodzącej wizji świata zarysowuje się człowiek masy. Koncepcję tę rozwija Guardini w sposób mniej pesymistyczny niż hiszpański filozof Ortega y Gasset :

„Bezkształtny tłum, w odróżnieniu od człowieka indywidualnie wysoko rozwiniętego, istniał zawsze. Ale dawniej, w czasach kiedy jednostka była normą wartości, masa ludzi w okowach trosk codziennego życia była jakby tłem, glebą w której jednostka zapuszczała korzenie. Lecz każdy poszczególny członek tej bezkształtnej masy starał się, choćby bezwiednie, zostać jednostką, stworzyć sobie własne samoistne życie. Masa, w obecnym znaczeniu, jest czymś innym. Nie jest już złożona z wielkiej ilości poszczególnych istot na niskim stopniu rozwoju, ale posiada a priori odmienną strukturę : rządzą nią prawa normalizacji, podległe funkcjonalnej formie maszyny. Te cechy obowiązują nawet u jednostek na najwyższym stopniu rozwoju. Co ważniejsze, te jednostki są tego w pełni świadome, kształtują etykę i styl masy. Skądinąd, masa, w tym znaczeniu, nie jest już synonimem bezwartości i dekadencji jak na przykład plebs starożytnego Rzymu. Stanowi ona raczej fundamentalną strukturę ludzkiej historii, która może osiągnąć pełny rozkwit w swoim bycie i w swoim dziele — pod warunkiem, że będziemy oceniać jej ewolucję nie według norm czasów nowożytnych, ale według norm jej właściwych".

Guardini próbuje dalej kształtować te normy i odgadywać styl „czasów które nadchodzą". Tworzy on trzy pojęcia : „natury nie-naturalnej", „człowieka nie-człowieczego" („nichthumaner Mensch", w odróżnieniu od „inhumaner Mensch") i „kultury nie-kulturalnej", które jego zdaniem stanowić będą klucze nowej cywilizacji opartej na dążeniu do ujarzmienia wrogiej przyrody, na „osobie" w odróżnieniu od „osobowości" i na kulturze której przedmiotem będzie potęga (jak trzymać ją w ryzach i obrócić na dobry użytek).

Guardini przepowiada właściwie „mutację" ludzkiego gatunku. Mimo że jego punkt widzenia ujęty jest zawsze ściśle w ramach filozofii katolickiej, reprezentuje on pewien typ intuicji przyszłości którą podzielają w różnej formie myśliciele bardzo różnych kierunków.

◆

Problem eks-komunisty, zagadnienie „utraty nowej wiary" — to częste tematy w literaturze ostatnich lat. Zazwyczaj zarówno autor jak i bohater tych książek należą do kategorii „błędnych rycerzy" środkowo-europejskiej inteligencji : pozbawieni korzeni zajęci wewnętrznym, abstrakcyjnym dialogiem, zawracają oni ze swojej krucjaty z chwilą, kiedy odkrywają błąd w ściśle intelektualnym równaniu. Pomiędzy Berlinem i Moskwą, Paryżem i Nowym Jorkiem, któregoś dnia zrozumieją, że stalinizm jest zdradą rewolucji, że nie jest właściwą drogą do utopii. I wówczas albo — jak Burnham czy Chambers — zaciągają się pod znak nowej krucjaty, albo — jak Koestler czy Orwell — stają się sceptykami, miejsce wiary zajmuje apokaliptyczny pesymizm.

Dla Ignazio Silone komunizm nie był może nigdy formułą zbawienia świata, ale środkiem do zbawienia Fontamary. Silone silnie tkwi w swoim świecie chłopów z Abruzzi, dla niego miarą świata pozostał zawsze człowiek. I dlatego jego ostatnia książka *(Une poignée de mûres*, Grasset, Paris, 1953), stawia problem nowy — problem włoskiego komunisty, który głębiej czuje troski i tradycje włoskich chłopów niż scholastycyzm Moskwy. Podobnie jak w ,,Fontamarze'' centralną rolę gra symbol (strumień na którego tle wynika konflikt ,,cafonów'' z faszystami), tak samo w *Une poignée de mûres* akcja rozgrywa się wokół lasu, który od wieków należał do chłopskiej gromady i który prawem kaduka zagarnia bogata rodzina Tarocchi. ,,Cafoni'' nie zapomnieli nigdy tej niesprawiedliwości i oceniają polityczne ,,zmiany'' losem zagrabionego lasu. Nie zmienił tu nic ani faszyzm ani upadek faszyzmu. I dlatego pozostaje w ukryciu róg pasterskiego trombity, który od wieków zwykł był zwoływać gromadzkie narady, róg schowany za czasów faszyzmu. Lokalne kierownictwo partii komunistycznej chciałoby sobie ten róg przywłaszczyć. Ale stary Lazzaro i inni chłopi nie oddadzą rogu — komuniści przecież dla własnych politycznych kombinacji paktują z rodziną Tarocchi. I oto zasłużony działacz komunistyczny Rocco, wysłany z Rzymu w swe rodzinne strony, stanie po stronie Lazzara i — pod wpływem ludzi z którymi wzrósł i których rozumie — zerwie ostatecznie z partią. Nawrócenie Rocca zaczyna się zresztą w Warszawie, w czasie ważnej misji około 1946 roku. Spotyka on tam polską Żydówkę, która piętnaście lat przedtem była czołową agitatorką partii we Włoszech, i która opowie mu o dziewięciu latach spędzonych na Kołymie.

Ostatnia książka Silone zawiera w sobie szeroki, ludzki dech, głęboką wiarę w człowieka i miłość do suchej, skąpanej w słońcu ziemi : oto, nie wykonane na komendę, prawdziwe dzieło ,,socjalistycznego realizmu'', o ile termin ten zachował jeszcze jakiś sens.



Żaden dziennik, żadne wspomnienia nie mają tej siły ewokacyjnej co zanotowane na gorąco rozmowy. Doktora Johnsona znamy dzięki młodemu Boswellowi (co prawda w tym wypadku młody admirator okazał się może lepszym pisarzem niż podziwiana przez niego wielkość) ; Goethe jako człowiek przeszedł do nas głównie dzięki ,,Rozmowom'' Eckermanna. Kafka zostawił dzieło tak poetycko skoncentrowane, w którym transformacja artystyczna jest tak daleko posunięta, że wdzięczni jesteśmy Gustawowi Janouchowi za notowanie każdej rozmowy z nim w latach 1920-21, za bezpośrednią rewelacją człowieka. *Kafka m'a dit* (Calmann-Lévy, Paris, 1952) jest wizerunkiem doktora Franza Kafki pracującego w praskim Instytucie Ubezpieczeń Społecznych, który co kilka dni widuje młodego Janoucha, początkującego poetę, dając mu rady, rzucając uwagi na najróżniejsze tematy. Urzekająca jest prostota, skromność, a zarazem głębia Kafki, która przebija przez każdą najdrobniejszą nawet wypowiedź. Czy Kafka mówi o Żydach, o literaturze, czy o polityce, wszystko co powie łączy się z jego życiem, z jego dziełem, z jego wizją świata. *Kafka m'a dit* jest wzorem wewnętrznej prawdy i rygoru.



Obserwujemy dość nieoczekiwany rozkwit elementu fantastycznego we francuskiej literaturze współczesnej. Ta nowa reakcja na szarość, fałszywą społeczność, banalny naturalizm i ogólnie niwelacyjny nurt literacki różni się od surrealistycznej reakcji sprzed dwudziestu lat. Julien Gracq, André de Mandiargues i teraz młody Guy Dupré *(Les Fiancées sont froides*, Plon, Paris 1953), element snu i fantazji łączą z erudycją historyczną, z wyra-

finowaną intuicją przeszłych epok, z wycyzelowaniem *stylu*. Nawiązują do literackiej tradycji Cazotte'a czy Barbey d'Aurevilly, do gotyckiej powieści romantycznej. Sceną powieści Dupré jest niemieckie wielkie księstwo z lat tysiąc osiemset trzydziestych. Na tym fantastycznym państewku ciąży terror pułku czarnych huzarów. Dziwny terror, gdyż huzarzy wprowadzili germańską wersję ,,tebańskiego legionu'' i krwawo narzucają ludności srogi ład pederastii. Znajdą się jednak dezerterzy, którzy zorganizują powstanie kobiet i smutny pułk zostanie wybity w pień. Temat do komedii ?

Tak by się mogło wydawać. Ale Dupré pisze swą książkę z poetycką pasją, z wizją melancholii i okrucieństwa. Temat ,,zmiany życia'', temat buntu i zagadnienie komunikacji pomiędzy mężczyzną i kobietą nic nie traci na fantastyce ujęcia i na skomplikowanej muzykalności stylu.

(j)

Przegląd czasopism

W kwietniowym numerze *The Twentieth Century* zamieszcza w artykule wstępnym interesującą analizę problemu sukcesji Stalina :

,,Wśród dawnych wspólników i obecnych następców Stalina nie widać nikogo, kto by był w stanie zostać uosobieniem reżimu. Oczywiście, może w kulisach czeka ktoś bardziej imponujący od Malenkowa, bardziej porywający od Mołotowa, mniej podatny nagłej likwidacji od Żukowa. W tej chwili takiego człowieka nie widać. Związek Sowiecki rządzony jest tymczasem przez komitet którego przewodniczący (z wyboru czy autodesygnacji) jest zarazem najprzeciętniejszym i najbardziej wystawionym na niebezpieczeństwa członkiem rządzącej grupy. Malenkow, w odróżnieniu od swych bezpośrednich wspólników, nie stoi na czele żadnego silnego ,,aparatu'' w którego korporacyjnym interesie byłoby utrzymanie swego szefa na czele. Nie można twierdzić, że reprezentuje on partię, tak jak jego koledzy reprezentują biurokrację, tajną policję czy armię — gdyż rola partii w erze postalinowskiej stoi właśnie pod znakiem zapytania. Wyjątkowa pozycja Stalina polegała właśnie na jego umiejętności reprezentowania i symbolizowania jednocześnie funkcji partii wewnątrz państwa i autorytetu samego państwa. Jego nominalny następca jest w najlepszym razie najwyższym przedstawicielem partyjnych kierowników, a być może tylko prawie że neutralnym rozjemcą w tajnej walce pomiędzy biurokracją i wojskowymi. Z pewnością brak mu aury rewolucyjnego przewódcy czy wojennego wodza : dwóch pratypów wśród których autorytet Stalina zostanie ostatecznie podzielony. Nominacja starego marszałka Woroszyłowa na stanowisko głowy państwa jest wskaźnikiem że Kreml rozumie tę potrzebę, tak jak niezawodnie musi ją odczuwać sowiecka ludność''.

Twentieth Century zastrzega się dalej, że ten proces nie oznacza poważnego i nagłego zagrożenia reżimu, ale że jego autorytet skurczył się tak w stosunku do własnej ludności, jak wobec zewnętrznego świata, łącznie z wielkim komunistycznym rywalem rządzonym z Pekinu. Zdaniem *Twentieth Century*, sytuacja ta powinna być wykorzystana przez wolny świat w wojnie politycznej ,,pod warunkiem, aby nie traktować poważnie fantazji emigrantów''. ,,Stratedzy zimnej wojny i specе od wojny psychologicznej winni z pożytkiem zastanowić się nad tym jakby można przyśpieszyć bez wojny transformację reżimu sowieckiego w otwarty bonapartyzm w miejsce jego obecnej kamuflowanej formy''. Związek Sowiecki pozostałby wów-

czas nadal ogromnie potężny i potencjalnie groźny, ale zanik hasła ,,stałej rewolucji od góry'' i reżimu partyjnego spowodowałby zmianę w stosunkach międzynarodowych''.

W tym samym numerze *Twentieth Century* omawia książkę Vladimira Dedijera o Ticie (,,Tito Speaks'', Weidenfeld and Nicolson, London 1953) i widzi w zniknięciu Stalina ze sceny politycznej otwartą możliwość ponownego przyłączenia się Tity do bloku sowieckiego. Książka Dedijera rzuca, zdaniem *Twentieth Century*, ciekawe światło na Stalina : ,,nie wygląda on tam na męża stanu XX wieku, ale na zadziwiająco anachronistyczny przeżytek''. W pojęciach politycznych współczesnych Stalin orientował się dość słabo : nie mógł się zdecydować co było błędem Tity — to że dążył do federacji bałkańskiej, czy że nie dość energicznie do niej dążył. Z pomniejszych kwestii, z rozmów Stalin-Tito wynika, że Stalin nie wiedział czym jest Benelux, ani jakie religie wyznawane są w Albanii.



Kwietniowy numer *Preuves* poświęca sporo miejsca śmierci Stalina i jej skutkom. Richard Loewenthal omawia testament Stalina — na podstawie jego ostatnich wypowiedzi — analizując problemy i sprzeczności, które pozostawił on spadkobiercom. Franz Borkenau (nawiasem mówiąc jedyny publicysta, który w styczniu przepowiedział nadchodzącą nagłą śmierć Stalina) wnikliwie demaskuje tendencje biografii Stalina napisanej przez znanego Polakom p. Deutschera. André Prudhommeaux omawia zagadnienia związane z ,,czystką lekarzy''.

Preuves wybija w tym numerze na czołowe miejsce artykuł Jana Ulatowskiego o sztuce i polityce, w którym autor omawia rysunek Picassa przedstawiający Stalina i londyński konkurs rzeźby na ,,pomnik nieznanego więźnia politycznego''. Artykuł Daniela Halévy o Patrycji Neway w ,,Tosce'' ilustrowany jest rysunkiem Józefa Czapskiego.



Kongres Wolności Kultury wydaje nowy kwartalnik w języku hiszpańskim : *Cuadernos* (41, Avenue Montaigne, Paris-8e). Pierwszy numer (marzec-maj 1953) zawiera wybór kilku artykułów, które ukazały się poprzednio w ,,Preuves'' (Silone, Bondy, Nabokow). Dochodzi kilka essey'ów pisarzy hiszpańskich (z emigracji) i południowo-amerykańskich, jak Natalicio Gonzalez, Salvador de Madariaga, Julian Gorkin. *Cuadernos* — o pięknej formie zewnętrznej — zapełniają znaczną lukę : jest to pierwsze pismo kulturalne międzynarodowe w języku hiszpańskim, które może odegrać ważną rolę w południowo-amerykańskich środowiskach intelektualnych.



Les Temps Modernes przynoszą znowu przykład rewolucyjnej scholastyki : antystalinista Claude Lefort zarzuca Sartre'owi zdradę rewolucji poprzez polityczny empiryzm. Sartre zarzuca Lefortowi zdradę rewolucji poprzez polityczny kwietyzm. Claude Roy w ,,Kluczach do Chin'' zadziwia chłopięcą naiwnością; do rewolucji chińskiej ma nas przekonać szereg obrazków stanowiących jakby ,,Bibliothèque Rose'' postępowego ,,konformizmu. ,,Autokrytyka'' grzecznych dzieci przypomina wiktoriańskie postanowienia noworoczne w których Jaś i Zosia obiecują sobie całe żniwo dobrych uczynków. Najciekawszy w numerze kwietniowym jest ustęp z powieści Jacques Lanzmanna ,,La glace est rompue'' — są to ,,wspomnienia'' z pobytu w Islandii w r. 1950 w których elementy surrealizmu i dowcipnej mistyfikacji łączą się w subtelną współczesną ,,bajkę filozoficzną''.

Les Temps Modernes dają złośliwe, ale dość trafne określenie *N.R.F.* : miesięcznik ten jest swoistym komentarzem, uzupełnieniem, bibliograficznym przyczynkiem do zamkniętej już sumy literackiej Wielkich Pisarzy Francuskich, którzy w latach 1918-1939 stanowili czołową ekipę Gallimarda. Rzeczywiście, to co w *Nouvelle NRF* jest najciekawsze dotyczy przeszłości, choć nie zawsze francuskiej. W kwietniowym numerze nieopublikowany dotychczas ,,List do Ojca'' Kafki uderzająco potwierdza teorie wysunięte przez psychoanalityków co do autora ,,Procesu''.

◆

Mit Kafki jest tak żywy (historia i psychologia współczesnego człowieka wciąż potwierdza jego wizję poetycką), że odnajdujemy jego nazwisko w każdym niemal numerze francuskich czasopism literackich. *Lettres Nouvelles* z kwietnia dają pięć jego notatek — krótkich pomysłów nowel, których nie zdążył napisać. W tym samym numerze essey Dionys Mascolo ,,O mej własnej głupocie'' — olśniewający inteligencją.

◆

Każdy tłumacz powinien przeczytać kwietniowy numer *Parisienne*. Audiberti, Pierhal, Martine, James Le Baron Boyle i szereg innych twórczych tłumaczy daje tu zbiór essey'ów pod znakiem Św. Hieronima, który ucieszyłby nawet Valéry Larbaud. Do tego dochodzą (*Parisienne* celuje w tym doborze ,,surowego materiału'') przykłady mylnych tłumaczeń, wyjątki ze słowników i wreszcie pouczające ,,ćwiczenia'' w których jeden tekst przechodzi przez ręce kilku pierwszorzędnych tłumaczy i wreszcie powraca (jakże zmieniony) do oryginału. I tak Saint-Simonowski portret Duc de Noailles metamorfozuje się stopniowo poprzez tłumaczenia hiszpańskie, stąd włoskie, stąd angielskie, stąd chińskie i stąd znowu francuskie (ale tu otrzymujemy portret mandaryna, nie wersalczyka). W tym samym numerze, notatki Alekseja Remizowa, znanego czytelnikom ,,Kultury'', o książkach Gogola.

◆

Der Monat ogłasza w kwietniowym numerze list Hugo Neumanna, b. senatora Wolnego Miasta Gdańska, który stanowi ciekawy przyczynek do historii ostatnich miesięcy przed agresją Hitlera na Polskę. Neumann był przyjacielem i kolegą w Senacie zmarłego dziś prof. Ludwika Noe, ówczesnego dyrektora międzynarodowej stoczni gdańskiej. Noe, choć antyhitlerowiec, który skończył w niełasce, cieszył się wówczas zaufaniem rządu niemieckiego i uchodził za specjalistę od spraw angielskich, ponieważ spędził wiele lat w Anglii i łączyły go przyjazne stosunki z czołowymi osobistościami brytyjskiej polityki. W maju 1939 r. Hitler wezwał Noe do Berchtesgaden i oświadczył mu co następuje :

,,Panie Profesorze, zna pan dynamiczną politykę zagraniczną Niemiec. Obecnie nadszedł czas rozwiązania problemu polskiego. Nie widzę żadnej możliwości rozwiązania tego problemu drogą pokojową i uważam, że z Polską można mówić jedynie tym językiem, który ten naród rozumie, to jest językiem armat. Dlatego wierzę, z całkowitą pewnością, w wojnę z Polską. Chciałbym teraz od Pana usłyszeć, czy w świetle pana znajomości Anglików i brytyjskich stosunków sądzi pan, że Anglia rzeczywiście dotrzyma gwarancji danej Polsce ?''

Noe odpowiedział :

,,Herr Reichskanzler, uważam za mój obowiązek oświadczyć panu całkiem szczerze i jasno, że nie powinien Pan mieć żadnej wątpliwości co do tego, że Anglia w razie napaści na Polskę udzieli temu krajowi pomocy

wojskowej i przez to nie tylko rzuci na szalę swoje niewyczerpane zasoby i całą potęgę Imperium, ale doprowadzi do wojny światowej".

Hitler spochmurniał i wściekle bębniąc palcami po szybie odparł :

,,Istnieje rzeczywiście dużo argumentów na poparcie pańskiej tezy, ale mam też tysiące argumentów wskazujących na to, że Anglicy bluffują. W pierwszym rzędzie mój Ribbentrop jest tego zdania. Stawiając tak kategorycznie twierdzenia, czy ma Pan na ich poparcie jakikolwiek dowód ?"

Noe odpowiedział, że nie ma oczywiście żadnego dowodu, oprócz przekonania opartego na znawstwie Anglii i jej ludzi, ale zaproponował Hitlerowi wysłanie go do Anglii w towarzystwie jakiegoś swego męża zaufania, celem przeprowadzenia rozmów z angielskimi politykami, rozmów z których by zdał Hitlerowi sprawę obecny przy nich mąż zaufania. Hitler przystał na tę propozycję z entuzjazmem i przydzielił Noemu gauleitera Forstera. W tydzień później Noe wraz ze swym aniołem stróżem przyjęty był przez Churchilla, który zwrócił się wprost do Forstera :

,,Łatwo się mogę domyśleć dlaczego pan został wysłany do Anglii przez swego Fuehrera, Herr Forster. Wiem, że chce mi pan opowiedzieć o zamiarach pokojowych Hitlera. Ale przyjechał pan za późno. Zbyt ciężkie chmury zebrały się na politycznym horyzoncie i nie wydaje mi się, aby można było uniknąć ich wybuchu. Według mnie wybuch ten nastąpi w ciągu najbliższego roku : będzie to najstraszniejsza wojna jaką zna historia. Być może, że mój kraj zażąda mych usług w tym czasie śmiertelnego niebezpieczeństwa i oczywiście będę gotów mu służyć... Myślę, że po dwóch latach wojny uda mi się uzyskać wystąpienie Stanów Zjednoczonych po mojej stronie, co doprowadzi do końca wojny, końca który na długie lata zabezpieczy Anglię przed agresją niemiecką".

Forster wysłuchał tej churchillowskiej wypowiedzi i z podnieceniem wtrącił, że celem polityki Hitlera jest pokój i że oprócz znanych już pretensji Niemcy nie mają więcej roszczeń terytorialnych w Europie.

Churchill odparł :

,,Byłbym jako Anglik karygodnie nieodpowiedzialny, gdybym miał zaufać słowom Hitlera, gdyż Hitler nie dotrzymał dotychczas żadnej obietnicy i tylko na to zawiera traktaty, aby je zerwać w dogodnej dla niego chwili".

Prof. Noe zaprowadził następnie Forstera do płk. Kennedy, redaktora ,,Timesa". Kennedy jeszcze ostrzej napiętnował politykę Hitlera. Oświadczył on, że Anglia na pewno dotrzyma gwarancji danej Polsce i dodał :

,,Wszystkie oceany świata nie zmyją z niemieckiego imienia hańby, którą sprowadzą nań naziści przez wywołanie straszliwej wojny".

Po kilku podobnych rozmowach Forster skłonił się ku zdaniu Noego. Wspólnie sporządzili raport dla Hitlera stwierdzający, że Anglia na pewno zbrojnie wystąpi w razie agresji przeciw Polsce i że gwarancja marcowa nie jest ,,bluffem".

,,Jaki był skutek tego raportu — mówi nam historia", kończy swój list Neumann.

◆

Jednym z najlepszych wydawnictw informacyjnych dotyczących spraw sowieckich, krajów ujarzmionych i europejskiego komunizmu są *Ostprobleme* (Bad Godesberg I, Postfach 400), wydawane przez władze amerykańskie w Niemczech. *Ostprobleme* przesyłane są bezpłatnie ,,ograniczonej grupie polityków, publicystów i specjalistów" i zawierają przedruki, w niemieckim tłumaczeniu, z ciekawszych artykułów w prasie sowieckiej, krajów ujarzmionych, w prasie amerykańskiej i zachodnio-europejskiej, oraz pewną ilość oryginalnych opracowań. Numer z 26 marca zawiera

między innymi przedruk artykułu z londyńskiego ,,Polish Affairs'' o organizacjach młodzieżowych w Polsce. Numer z 9 kwietnia poświęcony jest zagadnieniom kulturalnym i zawiera przedruki szeregu aktualnych artykułów sowieckich dotyczących sztuki, literatury i satyry. Tłumaczony jest również artykuł z ,,News Behind the Iron Curtain'' (organu Radia Wolnej Europy) pt. ,,Wisielczy Humor'', o reżimowym humorze i satyrze w Polsce. *Ostprobleme* wprowadziły ostatnio dział bibliografii artykułów, które ukazują się w prasie światowej na interesujące ich tematy. Redakcja prosi czytelników o przesyłanie im takich artykułów w wycinkach, z podaniem źródła i daty.

◆

Mamy przed sobą komplet węgierskiego tygodnika emigracyjnego *Vilag* (Świat), wychodzącego w Brukseli (47, Rue de Houblon), pod redakcją Sandora Szombati. Każdy numer zaopatrzony jest w angielski i francuski skrót artykułów, z którego można sobie wyrobić zdanie o tym żywym i interesującym piśmie. *Vilag* jest organem demokratycznego odłamu węgierskiej emigracji. Współpracuje z nim szereg zachodnich polityków i publicystów : i tak widzimy tam artykuły Spaaka, Van Zeelanda, Raymond Arona, Irving Browna, Ignazio Silone. Z Węgrów zanotujemy nazwiska hr. Jerzego Apponyi, długoletniego przywódcy węgierskich liberałów; Paul de Auer, b. posła w Paryżu i członka Ruchu Europejskiego; największego współczesnego pisarza węgierskiego, przebywającego obecnie w Ameryce, Aleksandra Marai; Laszlo Hamori, publicysty osiadłego w Szwecji. *Vilag* stara się realistycznie komentować politykę międzynarodową i zwalczać reżim komunistyczny na Węgrzech odcinając się jednocześnie od emigracyjnej reakcji i studiując zmiany zachodzące w węgierskiej strukturze społecznej i gospodarczej. Najciekawsze dla nas są węgierskie stosunki emigracyjne : i tak *Vilag* stara się realistycznie hamować ,,wojenne'' zapędy i nadzieje wywołane wśród emigracji przedwyborczą deklaracją Eisenhowera; krytykuje zachodnie audycje radiowe w języku węgierskim, które ograniczają się do występowania przeciw komunizmowi nie zajmując żadnego stanowiska wobec oblicza przyszłych Węgier; zarzuca węgierskiemu komitetowi narodowemu w Nowym Jorku bezczynność wobec problemów wykształcenia węgierskich mas emigracyjnych. Charakterystyczne dla stosunków emigracyjnych jest wystąpienie pewnego węgierskiego generała na emigracji, który przez Radio Wolna Europa oświadczył : ,,Wszyscy którzy współpracowali z komunizmem na Węgrzech, łącznie z ministrami i posłami, powinni być powieszeni bez sądu i po zwykłym stwierdzeniu tożsamości''. *Vilag* stwierdza, że generał ten jest nieświadomym sprzymierzeńcem komunistów, skoro w myśl tej deklaracji powieszenie grozi wszystkim Węgrom (,,kolaboracja'' jest tam przecież warunkiem egzystencji), a wobec takiej groźby mogliby się oni nawet skupić wokół znienawidzonego reżimu, aby walczyć z reakcyjnymi emigrantami, którzy żądają eksterminacji milionów niewinnych ludzi.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

ZAHORSKA (S.). *Stacja Abbesses.* Str. 2121. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy. Na emigracji, w Anglii, 1952. Rysunki i układ graficzny Feliksa Topolskiego).

LEGEŻYŃSKI (S.). *Złota brama.* Wiersze. Str. 16. (Wyd. ,,Grupa Rytm'', Londyn, 1953).

CZERNYSZEWICZ (F.). *Wicik Żywica.* Str. 310. (Wyd. Stow. Lit. i Dzien. Pol. w Argentynie, Buenos Aires, 1953. Cena 650 frs.

DANILEWICZOWA (M.). *Blisko i daleko.* Str. 182. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawn. ,,Veritas'' jako Tom II ,,Biblioteki Polskiej'', Londyn, 1953. Cena 15 sh.).

JASIEŃCZYK (J.). *Brunatne i czerwone.* Str. 217. (Wyd. GRYF Publications, Ltd., Londyn, 1953. Cena 12/6).

HUXLEY (A.). *Les Diables de Loudun.* Traduit de l'anglais par Jules Castier. Pp. 392. (Ed. Plon, Paris, 1953. Frs. 690).

DOKUMENTY CHWILI

Les archives secrètes de la Wilhelmstrasse. IV : *Les suites de Munich* (Octobre 1938-Mars 1939). Documents traduits de l'allemand par Michel Tournier. Pp. 612. (Ed. Plon, Paris, 1953. Frs. 1.275).

JAEGHER (de R.) et CORBALLY KUHN (I.). *Tempête sur la Chine.* Pp. 300. (Ed. Plon, Paris, 1953).

POBÓG-MALINOWSKI (Wł.). *Najnowsza Historia Polityczna Polski. 1864-1945.* Tom I. Ze słowem wstępnym Michała Sokolnickiego. Str. 400. (Nakładem Autora, Paryż, 1953).

LEAO (A. Carneiro). *Panorama sociologique du Brésil.* Préface de Georges Day. Pp. 152. (Ed. Presses Univesitaires de France, Paris, 1953. Frs. 600).

GLUCKSTEIN (Y.). *Les satellites européens de Staline.* Pp. 327. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1953, frs. 750).

LAZAREVITCH (L. dr.). *La médecine en U.R.S.S.* Préface du Dr Jean Paraf. Pp. 217. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1953, frs. 450).

MOORHEAD (A.). *Les espions atomiques.* La double vie de Fuchs, Pontecorvo et Nunn May. Pp. 284. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs. 500).

ŻYLIŃSKI (W.). *Sytuacja Kościoła Katolickiego w Polsce* (1939-1953). Str. 32. (Londyn, 1953).

HUNT (Carew R. N.). *Théorie et pratique du communisme.* Traduit de l'anglais par Max Petel. Pp. 306. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1952, frs. 630).

SOSNKOWSKI (K.). *Sytuacja światowa na tle agresji sowieckiej.* Str. 30. (Wyd. Inst. Józefa Piłsudskiego, Oddz. w Londynie, 1953)

RÓŻNE

ZALESKI (Z.L.). *Balzak między Polską a Rosją.* Str. 20. (Wyd. GRYF Publications, Ltd., Londyn, 1953).

BLUM (P.) *La peau.* Pp. 126. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs. 150).

FOCH (R.). *La haute autorité de la vallée du Tennessee.* Pp. 167. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1952. Frs. 500).

Klapa Bezpieczeństwa. (Antologia humoru zakurtynowego. Zebrał, opracował i opatrzył przedmową Aleksander JANTA. Str. 234. (Buffalo, 1953).

KUKIEL (M.). *Kurs dziejów porozbiorowych Polski.* Cz. I : Czasy walk zbrojnych o przywrócenie Państwa. 1795-1865. Str. 176. (Wyd. Polski Uniwersytet na obczyźnie, Londyn, 1953).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

O, niewysłowiony liryzmie powrotu ! Po z górą rocznej nieobecności, znowu w zacnym, drogim polskim Londynie. Przyleciał człowiek z tego dalekiego (hm !) Berlina i zaczyna chodzić po londyńskich ulicach zawstydzony, zażenowany, niezorientowany. Tak właśnie, jak ktoś kto przyjechał z głuchej prowincji do olśniewającego, wszechwiedzącego i władczego Centrum. Omal że wstydzi się przyznać, że pozostawał tak długo poza zasięgiem jego dobroczynnego promieniowania. Stąpa nieśmiało, kłania się nisko i ogarnia go uczucie błogiej wdzięczności, gdy ktoś go dobrotliwie poklepie po ramieniu, rzuci od niechcenia pytanie : ,,No, jak tam było ?'' i, nie czekając na odpowiedź, przechodzi zaraz do poważnych, do londyńskich spraw.

Stopniowo ustępuje to pierwsze zalęknienie i przybysz z prowincji zaczyna się śmielej rozglądać dokoła. O mój Boże kochany, ,,wszystko tak jak było, tylko się ze starości nieco pochyliło''. Te same twarze w ,,Orle'' i u ,,Daquise'', w ,,Ognisku'' i w kawiarni SPK, tu i ówdzie tylko trochę bielsza siwizna, trochę więcej zmarszczek na zasępionych obliczach mężów i, co gorsza, dam. A zresztą wszystko inne tak samo, to samo. Tylko jeszcze wprawniej, sprawniej, z większą rutyną, frazesy są jeszcze okrąglejsze, konferencje jeszcze lepiej uzgodnione, dystansik od rzeczywistości wzięło się jeszcze większy, *emigritis acuta* przeszła w stan chroniczny i dokucza tylko z lekka, w regularnych odstępach, ,,nie przerywając snu''.

Życie się jakoś ułożyło, poglądy na sprawy publiczne skanalizowały tak, że na każde pytanie ma się już, Bogu dzięki, odpowiedź gotową. Po prostu wyciąga się z szufladki i już. Przyjechał Tito ? No więc, kiwa się z politowaniem głową nad naiwnością Anglików i wzdycha się : ,,Czy ta wizyta jest potrzebna ?'' (Oczywiście, bo komu jest potrzebny wojskowy sojusz Jugosławii z Turcją i Grecją ? — jakieś tam Bałkany). Wystawa sztuki abstrakcyjnej ? Zaraz jakiś uniwersalny krytyk wyrokuje : ,,To przejdzie, to tylko degeneracja'' (nie ma to jak ,,socjalistyczny realizm'' !) Ktoś bąknął, że w przyszłości może nie wszystko będzie tak jak kiedyś było ? Zaraz mu się pogrozi paragrafem i ,,zdradą stanu''. Patrzcież jakie to wszystko łatwe i proste, aż dziw !

Nasza doskonała prasa emigracyjna odegrała, trzeba przyznać, ważną i wybitną rolę w tym organizowaniu publicznej edukacji. Nasza prasa jest świetnie poinformowana, wie gdzie kozy kują, gdzie raki zimują, słyszy jak trawa rośnie i jak się wyrabia patenty na patriotyzm. Artykuły są pisane z zacięciem i z temperamentem. Czasami nawet się wydaje, że pisane są tylko po to, aby się ich autorowie ,,wyżyli'', jakby to wyżywanie się stanowiło główny cel naszej politycznej działalności. Myli się ten, kto sądzi, że to jest podrygiwanie staruszków na imieninach prababki. O nie ! To tylko pieśń wiecznej młodości : ,,hejże, ha !''

Może mi ktoś wytłumaczy dlaczego w tym środowisku, gdzie nie brakuje ludzi rozsądnych i do rzeczy — zapanowały wszechwładnie : werbalizm i płytkie moralizatorstwo, te dwie siostry nierozłączne w goryczy staropanieństwa ? Może to już jest w naturze rzeczy ? Może to już tak być musi ?

Przecież wiemy, że po Piłsudskim, w ocenach i w mowie aż do brutalności realistycznym, rozszalała się epigońska piłsudczyzna w łatwiźnie mocarstwowej tromtadracji i w po prostu nieprzyzwoitym zachłystywaniu się frazesami (A i w Londynie — ledwo Eisenhower coś mruknął, już ktoś plecie, że właśnie oddał on hołd ,,majestatowi Rzeczypospolitej''). Przecież wiemy, że po Dmowskim, precyzyjnym w swych pismach i po zachodniemu chłodnym w rozumowaniu, nastąpił okres oenerowskich mgieł, mitów a czasem wprost łobuzerii. Czy tak być musi ?

Chyba nie, bo przecież jest jeszcze coś co było i będzie miarą rzeczy — jest życie. Nieubłagane ale prawdziwe, życie które, prędzej czy później, zniszczy wszystko co jest tylko złudą, pozorem czy załganiem — a pozostawi to, co ma prawo do istnienia...

Szanowny Panie Redaktorze ! Od czasu kiedy powróciłem do Londynu, mam chwilami wrażenie, że jestem w obliczu zgromadzenia sędziów, to znów że na mityngu Armii Zbawienia. Szanuję sędziów, cenię Armię Zbawienia. Ale coś mi się wydaje, że trudno jest prowadzić akcję polityczną tylko przy pomocy psalmów i wyroków sądowych. A może się mylę ? W takim razie proszę o wyjaśnienie.

Z poważaniem *J. PRĄDZYŃSKI*



Szanowny Panie Redaktorze.

Ten mój list do Pana nazwałbym chętnie : ,,Z rozważań wielkopostnych'', bowiem piszę go w Wielkim Tygodniu, okresie refleksji i rachunku sumienia.

Przedwczoraj przeczytałem w paryskim ,,Słowie Polskim'' (z dnia 28/29 marca br.) artykuł zatytułowany ,,Nagroda dla Miłosza'', a podpisany literami ,,W.N.'' Ten artykuł jest dla mnie typowym przykładem postawy pogańskiej, achrześcijańskiej i akatolickiej w publicystyce.

W. N. potępił Miłosza i orzekł, że nie wejdzie on do Panteonu sławy polskiej. Powodem tego jest praca Miłosza (do 1950) w aparacie służby zagranicznej reżimu komunistycznego i przeszłość komunistyczna Miłosza (n.b. Miłosz w książce *Zniewolony umysł* stwierdza, że nigdy do partii komunistycznej nie należał).

Przede wszystkim, o ile chodzi o metodę, jaka została użyta w zbudowaniu tego artykułu. Jest to metoda dobrze znana w pogańskich systemach politycznych. Polega ona na opieraniu arbitralnych orzeczeń na mgławicowych przesłankach. Polega na wywoływaniu silnych emocji u czytelnika w celu sparaliżowania kontroli przez rozum wniosków, które są narzucane w artykule.

W.N. potępia Miłosza powołując się na to, że ,,...naród ma prawo sądzić życie publiczne artystów''.

Pewność siebie, z jaką W. N. wydaje w imieniu narodu wyrok na Miłosza zwana jest inaczej brakiem elementarnej pokory lub — jeszcze inaczej — grzechem pychy.

Niesprawiedliwość w ocenie postępowania ludzi i krzywda ludzka jest jedną z jej konsekwencji.

Nasuwa się pytanie : czy zostały dokładnie poznane motywy decyzji Miłosza pracy w administracji Bieruta ? Czy zostało poznane dokładnie zachowanie się Miłosza w tej pracy ? Chyba tak, skoro wydaje się na niego wyrok potępienia. A w takim razie musi być podane do wiadomości publicznej dokładne — nie ogólnikowe — uzasadnienie tego wyroku.

Miłosz mógł być przekonany i był przekonany, jak to wynika z jego książki *Zniewolony umysł*, że potrafi znaleźć swoją polską ścieżkę pracując w administracji Bieruta, że potrafi służyć sprawie polskiej.

Z punktu widzenia postawy katolickiej, która powinna być bliska obyczajom naszego życia zbiorowego, jest nie do pomyślenia przechodzenie do porządku dziennego nad indywidualnymi motywami postępowania danego człowieka, nawet w dziedzinie publicznej. Katolicyzm nie zna pojęcia odpowiedzialności zbiorowej i odwrotnie — zbiorowego przebaczenia za czyny w życiu publicznym.

Przyjmuję na chwilę, że motywy działania Miłosza i jego postępki były sprzeczne z interesami Polski. Katolicyzm zna pojęcie nawrócenia i przebaczenia, które obowiązują również w życiu publicznym. Mickiewicz namawiał Polaków na emigracji do złożenia wiernopoddańczej petycji carowi Mikołajowi I-mu. Fakt ten nie stanął na przeszkodzie wejściu Mickiewicza do Panteonu sławy polskiej. Otchłań publicznego niebytu, w jaką W. N. chciałby wtrącić Miłosza lub ludzi, którzy kiedykolwiek zbłądzili na polskiej drodze, nie da się pogodzić z elementarnymi pojęciami polityki chrześcijańskiej.

Przypominam jeszcze raz, że Miłosz jest autorem książki pt. *Zniewolony umysł*. Jest to chyba najbardziej wnikliwa analiza, jaka ukazała się na Zachodzie, warunków, które stwarza system komunistyczny dla każdego twórcy — artysty i intelektualisty. Wydaje mi się, że wkład Miłosza — w postaci tej książki — do walki z komunizmem i pośrednio do sprawy polskiej jest ogromny. Nie wiem, czy podobnym wkładem może się pochwalić jakikolwiek inny pisarz polski przebywający na wolnym Zachodzie.

Niestety, W. N. tego wkładu nie zauważył.

Na tym tle przypomina mi się fragment polemiki, jaką kiedyś przeprowadził Maritain ze sformułowaniami hitlerowskiego teoretyka Schmitta. Według Schmitta istota polityki polega na stosunku ludzi do ludzi. Maritain uważał, że jest to formuła pogańska, ponieważ punkt ciężkości został przesunięty z c e l u, jaki ma być urzeczywistniony, na walkę z l u d ź m i, którym bardzo często całkowicie niesłusznie przypisuje się wrogość do danego celu.

Miłosz powinien być osądzany na podstawach polityki chrześcijańskiej a mianowicie na podstawie celów, jakim obecnie służy i na podstawie tego jak im służy. Dowody? Książka *Zniewolony umysł*.

Zechce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy szacunku i poważania.

W. TYMOWICZ

Champigny s/Marne, 30 marzec 1953.

◆

Artykuł p. Mieroszewskiego jest ciekawą mieszanką pojęć i twierdzeń. Mieszanką, gdyż aż roi się w nim od twierdzeń natury empirycznej, to znaczy takich, jak np. „Mam tę książkę u siebie na półce'' lub „W tym pokoju są cztery krzesła'', meta-zdań i zaleceń, które jeszcze do innych należą kategorii.

Jest ciekawy, gdyż ilustruje przykładowo niebezpieczeństwa opisane w wypadku fizyków i innych naukowców, którzy zaczynają filozofować za punkt wyjścia biorąc osiągnięcia swojej dziedziny badań. P. Mieroszewski bowiem popełnia podobny błąd, jak postaram się poniżej wykazać.

Choć nie zgadzam się z formą artykułu, ze sposobem potraktowania tych wielorakich zagadnień, głównym celem mego listu nie jest krytyka. Z więk-

szością bowiem twierdzeń p. Mieroszewskiego nie można się nie zgodzić. Wkradły się jednak między nie pewne nieścisłości, które należy sprostować.

P. Mieroszewski wydaje się przeceniać np. znaczenie jakie w zawodowych kołach filozoficznych przywiązywane jest do wypowiedzi filozoficznych Einsteina i innych naukowców. Jest to wyrazem panującego dziś powszechnie przekonania o konflikcie między ipse dixit nauk ścisłych i tym co nam o świecie mówi ,,koński rozum'' i o bezwzględnej przewadze autorytetu nauki. Bezwątpienia odkrycia naukowe dały początek wielu spekulacjom filozoficznym. Teoria kwantów i zasada Heisenberga ciągle jeszcze używane są w dowodach wolności woli i fałszywości zasady przyczynowości. W dyskusjach filozoficznych jednak nazwiska Einsteina, Schroedingera itp. spotykane są na ogół nie często. Otwórzmy np. *Philosophical Analysis* wydaną przez M. Black w U.S.A. w 1950. Książka ta zawiera 18 artykułów napisanych przez współczesnych filozofów, głównie angielskich i amerykańskich. Są to artykuły na przeróżne tematy; etyczne, lingwistyczne, estetyczne, logiczne i teorii prawdopodobieństwa. Żaden z naukowców wspomnianych przez pana Mieroszewskiego nie jest tam wspomniany ani razu. Wynik będzie bardzo podobny i w wypadku innych książek, chyba że dyskutowany będzie związek teorii nauk ścisłych z filozofią. Taką jest np. *Philosophy and Physicists* (proszę zwrócić uwagę na charakterystyczny tytuł) S. Stebbing, gdzie krytykuje ona bezlitośnie filozoficzne wycieczki naukowców. Chcę tu zastrzec, że zdaję sobie sprawę z wartości jaką p. Mieroszewski przypisuje tej samorodnej ,,filozofii'. Mimo to zostawia on nam wrażenie, że jest to jedyny rodzaj jaki jest nam dziś dostępny, jaki jest dziś ogólnie praktykowany. A tak nie jest.

Nie jest wystarczająco jasne, na czym polega ,,bezradność filozofii''. By zdać sobie sprawę z natury jakiegoś pytania, warto jest zastanowić się nad pytaniem zupełnie odwrotnym. Na czym np., polegałaby ,,zaradność filozofii'' ?

Niezbyt trafny wydaje mi się użytek jaki czyni p. Mieroszewski ze słów takich jak ,,metafizyka'', ,,metafizyczny'' i ,,materializm''. Zdanie takie jak np. ,,Człowiek jest fizyką i metafizyką równocześnie'' posiada syntaktycznie nie wiele sensu, możemy to jednak pominąć bez specjalnych obaw, gdyż jasne jest o co w tym wypadku chodzi. Natomiast przeciwstawianie materializmu metafizyce jest już mniej szczęśliwe. System materialistyczny odrzucił wiele pojęć używanych w innych systemach metafizycznych, nie stracił jednak przez to charakteru metafizycznego. I dlatego właśnie, i tylko dlatego, może p. Mieroszewski napisać, słusznie czy niesłusznie, że ,,o bankructwie materializmu zadecydowała bowiem nie tylko fizyka lecz według mojego przekonania w pierwszym rzędzie socjologia i psychologia''.

Tu znów nacisk położony jest na psychologiczną niemożliwość przyjęcia materializmu, na gwałt jaki w ten sposób zadany jest naturze ludzkiej. Pogląd ten wydaje się być psychologicznie prawdziwy. Należy jednak zwrócić uwagę, że kryterium to jest charakteru pragmatycznego. Stosunek zaś p. Mieroszewskiego do pragmatyzmu nie został dostatecznie wyjaśniony. O ile przyjmuje on pewne bezwzględne prawdy, nie powinien używać w dowodzeniu ich słuszności kryterium, który prawd takich nie uznaje.

Uczciwość jednak nakazuje dodać natychmiast, że interpretacja moja jest najmniej dla argumentu p. Mieroszewskiego korzystna i bynajmniej nie jedyna. Wypływa ona jednak z wymogów zwartości i ścisłości w formułowaniu poglądów filozoficznych, których brak powoduje chaos i dezorientację ,,małych ludzi''.

Tadeusz GIERYMSKI

Londyn, dn. 14 lutego 1953 r.

W numerze 11/61 — 1952 miesięcznika ,,Kultura'' Redakcja umieściła list ks. Józefa Majewskiego, głoszący, iż Polska nie posiada praw do Wilna i Lwowa i domagający się rezygnacji Polski z Ziem Wschodnich na rzecz Litwy i Ukrainy.

List ten ukazał się w ,,Kulturze'' bez komentarza Redakcji, wobec czego Zarząd Główny Związku Ziem Północno-Wschodnich zwrócił się z zapytaniem czy Redakcja zamierza stwierdzić, iż się nie solidaryzuje z jego treścią.

W odpowiedzi na to w numerze 1/63 — 1953 ,,Kultury'', w dziale ,,Kronika Ukraińska'', pod tytułem ,,Nieporozumienie czy tani patriotyzm'' ukazała się Nota Redakcji, w której Redakcja nie tylko nie zajmuje krytycznego stanowiska w stosunku do listu ks. Majewskiego, ale na odwrót, uznaje za konieczne poddanie rewizji granic wschodnich Polski w celu pozyskania Ukraińców i Białorusinów dla idei federacji wschodnio-europejskiej.

W związku z powyższym zaznaczamy, co następuje :

1) Już samo zamieszczenie Noty Redakcji oraz listów protestujących przeciwko wywodom ks. Majewskiego w sprawach Ziem Wschodnich R. P. z Wilnem i Lwowem w dziale ,,Kronika Ukraińska'' jest dowodem traktowania Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej poza Jej granicami, a tym samym próbą wyłamania się od zasady obrony całości Polski.

2) Wyrażanie zgody na jakąkolwiek dyskusję co do granicy z 1939 roku jest podważaniem naszych słusznych praw ustalonych w 1923 roku przez Radę Ambasadorów Mocarstw Sprzymierzonych w oparciu o postanowienia Traktatu Wersalskiego, a przedtem objętych Traktatem Ryskim pogwałconym przez Związek Sowiecki w dniu 17 września 1939 roku.

3) Wschodnie granice Polski wyznaczone zostały wysiłkiem i krwią całego Narodu — świeżym świadectwem czego są takie fakty dziejowe, jak obrona Lwowa w latach 1918/1919 oraz tłumny zaciąg mieszkańców Wileńszczyzny do Armii Krajowej w czasie ostatniej wojny. Są one zabezpieczeniem Polski od najazdu ze Wschodu i ponadto są gwarancją niepodległości państw bałtyckich, Rumunii i Węgier.

4) Obrona Ziem Wschodnich z ich wielowiekowym wkładem kultury polskiej, to nie jest ,,nieporozumienie czy tani patriotyzm'', ale spełnienie obowiązków ciążących na naszym pokoleniu w imię dobra i przyszłości całej Polski.

5) Próby pozyskiwania przyjaznych stosunków z innymi narodami drogą wykazywania gotowości do ustępstw terytorialnych mogą tylko utrudnić szanse porozumienia, gdyż osłabiają przekonanie kontrahenta, iż Polska będzie do upadłego bronić swych granic.

Wyrażając ubolewanie z powodu treści zamieszczonego przez ,,Kulturę'' listu ks. Majewskiego oraz treści Noty Redakcji — stwierdzamy, że godzą one w najbardziej żywotne interesy Polski i obrażają uczucia społeczeństwa polskiego.

Za Związek Ziem
Północno-Wschodnich R.P.
Prezes Rady Naczelnej
Olgierd DANIŁŁOWICZ
Wiceprezes Zarządu Głównego
Eugeniusz CHEŁCHOWSKI

Za Związek Ziem
Południowo-Wschodnich R. P.
Prezes Zarządu Głównego
Adam TRESZKA
Wiceprezes Zarządu Głównego
Józef NAROŻAŃSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Po ukazaniu się na łamach ,,Kultury'' listu ks. J.Z. Majewskiego, miałem zamiar z miejsca odpowiedzieć temu ,,słudze bożemu',' że tego rodzaju wypowiedzi są zdradą Narodu Polskiego i Państwa. Zastanowiwszy się jednak nad całością treści wspomnianego listu, zaniechałem tego zamiaru, gdyż wdawanie się w dyskusję z człowiekiem o tak słabej znajomości historii i Narodu Polskiego nie przyniosło by mi zaszczytu. Prócz tego stwierdziłem, że wielebny księżulo z Afryki dotknięty nadmiernym działaniem słońca uległ popędowi wypłynięcia na powierzchnię jako nowy apostoł i może przysposabia się na prywatnego kapelana do p. Mikołajczyka.

Byłem jednak zdziwiony, znając Pana Redaktora tyle lat jako dobrego Polaka, że pozwolił Pan umieścić w tak poważnym piśmie tego rodzaju list. Myślałem jednak, że to jakieś przeoczenie, albo pomyłka i że w następnym numerze znajdę wyjaśnienie. W międzyczasie wielu moich znajomych z oburzeniem wskazywało na ten nieszczęśliwy list. Uspokajałem każdego, że to się wyjaśni. Ostatnio numer ,,Kultury'' nadszedł dosyć późno i gdy przeczytałem w nim notę Redakcji, zrobiło mi się bardzo przykro, gdyż z ,,noty'' tej wynika wyraźnie, że Panowie solidaryzujecie się z ks. Majewskim. List Związku Ziem Półn.-Wsch. Rzeczypospolitej Polskiej jest krótki i wyraźny, pragnę dodać do tego, że wg Kodeksu Karnego odpowiada za zdradę stanu nie tylko ten, kto popełnia czyn przestępczy, ale i ten kto współdziała z obwinionym. Nie cofnę prenumeraty na b. rok jak to czyni słusznie oburzony p. Mieczysław Nowara, gdyż czytuję niemal całą prasę, bez względu na poglądy — jednak z żalem zaznaczam, że takie stanowisko Redakcji straciło wielu dawnych zwolenników i przyjaciół, do których i siebie zaliczałem.

Łączę wyrazy poważania

Wiktor TROFIMCZYK
R.C.A.F. Station
Clinton, Ontario

◆

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę również zabrać głos w ,,sporze o Lwów i Wilno'', jeśli wolno mi tak nazwać te osiem głosów (,,Kultura'', Nr 1/63 i 2/64-3/65), które się ukazały w związku z listem J. Z. Majewskiego.

Jestem autorem popularnej broszurki pt. ,,Sumienie Polski'' — rzecz o Wilnie i Kraju Wileńskim'', wydanej w Londynie w r. 1946 nakładem Związku Ziem Północno-Wschodnich. Ponieważ tytuł tej broszurki mówi sam za siebie, więc nie będę tu recytować swego credo w tym nieco dziwnym — z polskiego punktu widzenia — sporze. Powiem tylko krótko, że się solidaryzuję z opinią wyrażoną w listach pp. Relidzyńskiego, Nowary, Skarbka-Michałowskiego oraz prezydium Związku Ziem Północno-Wschodnich. Nie podobają mi się jednak pewne zwroty i oceny, które znalazły się w tych listach. Osobiście nie zamierzam ani dawać Redakcji lekcji ,,dobrych obyczajów pisma niepodległościowego'', ani dopatrywać się cech ,,zdrady stanu'' w wypowiedzi ks. Majewskiego. Nie będę też groził ,,Kulturze'' utratą popularności''. A najdalszy jestem myśli zrezygnowania z prenumeraty miesięcznika, który, jak dotąd, nie ulega terrorowi czytelników i w imię *prawdziwej* wolności słowa odważnie stawia czoło różnym cenzurom ,,moralnym'' prowadzonym pod hasłem ,,świętości'', których szargać nie wolno. To ostatnie oświadczenie składam z tym większą satysfakcją, że należę do tych — prawdopodobnie nielicznych — czytelników ,,Kultury'', którym co najmniej połowa ukazujących się w niej artykułów i oświadczeń ,,nie odpowiada'' ani ideowo ani psychicznie.

Z listów na temat Wilna i Lwowa najbardziej mnie zastanowił list p. Karola Piszczka. Autor stawia szereg postulatów, którym chcę poświęcić trochę uwagi.

1. Pan Piszczek wysuwa żądanie, aby w sprawach politycznych kierować się rozumem, a nie uczuciem. Wynikało by, że autor chce całkowicie wyeliminować uczucie ze sfery polityki. Zgadzam się, że nadmiar emocjonalności gubił i gubi Polaków, ale — czy można się jej wyzbyć całkowicie ? Czy jest to rzecz w ogóle w stosunkach ludzkich osiągalna ? Sądzę, że ludzie nie są maszynami kalkulacyjnymi i że usunięcie odruchów uczuciowych ze sfery ich myślenia i działania byłoby zabiegiem nie tyle sterylizacyjnym ile niewykonalnym. Toteż nie ten, zdaniem moim, kieruje się rozumem kto pragnąłby przeistoczyć polityków w jakieś roboty abstrakcyjnego rozsądku, wyjałowione ze wszelkich emocji, ale ten, kto element uczucia bierze w rachubę również w dziedzinie polityki. Rzecz inna, że w imię złotego umiaru musimy wszyscy dążyć do tego, aby element emocji nie zagłuszał głosu rozsądku.

2. Pan Piszczek mówi : ,,Musimy wybierać : albo Lwów i Wilno, albo Wrocław i Szczecin''. Jestem wdzięczny autorowi za postawienie kwestii śmiało, bez oglądania się na różne milczące ,,tabu'' naszej niepisanej cenzury emigracyjnej. Pan Piszczek już sam dokonał wyboru : wybrał Wrocław i Szczecin. Załóżmy, że nie ma trzeciej alternatywy i że musi być to ,,albo — albo''. Czy w takim wypadku wybór p. Piszczka jest trafny ? Pan Piszczek z pewną ironią (bo w cudzysłowie) mówi o naszej ,,misji na wschodzie'', a jednocześnie chwali Niemców za ich niezaprzeczalne zalety, m. in. wytrwałość i zdyscyplinowanie, no i wspomina ich misję wschodnią — Drang nach Osten. Widzę w rozumowaniu p. Piszczka pewien błąd. Bo jeśli mamy traktować Drang nach Osten jako zjawisko nie przemijające, jeśli nadto weźmiemy pod uwagę, że na wschodzie leżą wielkie obszary nie skrystalizowane etnograficznie (Białoruś i Polesie) oraz małe obszary etnograficzne (kraje bałtyckie), które wzięte z osobna nie są zdolne do istnienia na dalszą metę bez dobrowolnego wcielenia się w jakiś większy system (federację), to dojdziemy chyba do wniosków zgoła innych, niż te, które wyciąga p. Piszczek. Innymi słowy : jeśli naprawdę nie ma trzeciej alternatywy i jeśli mamy głosować na ,,albo — albo'' według recepty p. Piszczka, to niżej podpisany ,,głosuje'' za Wilnem i Lwowem, a nie za Wrocławiem i Szczecinem.

3. Pan Piszczek odrzuca a priori ideę wszelkiego condominium. Nie myślę aby miał rację. Nie ulega wątpliwości, że dzielenie się skórą niedźwiedzia, który cieszy się jak dotąd dobrym zdrowiem, nie należy do zajęć wdzięcznych. Ale — dlaczego nie pofantazjować, skoro koniec końcem wszelkie planowanie i wizje należą do sfery wyobraźni, a więc poniekąd i fantazji ? Jeśli więc puścimy wodze naszym wizjom, to dlaczego nie stworzyć koncepcji, że np. Wilno będzie dwu lub więcej języczną stolicą federacji środkowo-wschodnio-europejskiej, a Wileńszczyzna (która nb. w swej części zachodniej ma lub przynajmniej miała w r. 1939 przytłaczającą większość polską), stanie się europejskim ,,dystryktem Kolumbii'' ? Zostawiając jednak fantazje na stronie, chciałbym zanotować, że sam spotykałem niedawno Litwinów (i Ukraińców), którzy — oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami — przystaliby na koncepcję condominium. Po co więc zrzekać się czegoś z góry — bez targu ? Federacja (czy choćby pokojowe współżycie sąsiedzkie) jest nie do pomyślenia bez uprzedniego kompromisu. A wszelki kompromis mieści w sobie pojęcie przetargów. Ks. Majewski i p. Piszczek popełniają więc błąd czysto *taktyczny*, gdy lekką ręką i z lekkim sercem — bez poprzednich targów — oddają partnerowi to, co może dało by się jakoś wytargować.

4. W post scriptum do swego listu p. Piszczek zaznacza, że urodził się we Lwowie i że ,,po tamtej stronie'' pochował co miał najdroższego. Po-

wiem bez złośliwości, że zazdroszczę — jemu i jego kolegom — prężności charakterów. Podziwiam mianowicie jak to ci „lwowiacy" (p. Piszczek sam umieścił ten wyraz w cudzysłowie) przystosowali się bezboleśnie do Śląska, a później zapewne i do Parany. Mnie osobiście taka idea „ojczyzny na kółkach" nie odpowiada.

Racz przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI
Berkeley, California

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem śledzę dyskusję wywołaną niefortunnym listem księdza Majewskiego, zamieszczonym w listopadowym numerze „Kultury" i trudno mi oprzeć się pokusie wtrącenia swoich trzech groszy do tej sprawy. Muszę się przyznać, że choć nie zgadzam się z treścią tego listu i wysuniętymi w nim postulatami, to jednak również mam poważne zastrzeżenia w odniesieniu do reakcji jaką on wywołał.

Księdzu Majewskiemu chodzi o nawiązanie zgodnej współpracy i przyjaznych stosunków przez nas Polaków z naszymi sąsiadami : Litwinami, Biało-rusinami i Rusinami po ewentualnym konflikcie zbrojnym, który doprowadzi do oswobodzenia Europy środkowej i wobec tego uważa, że powinniśmy się całkowicie i definitywnie wyrzec całych kresów wschodnich wraz ze Lwowem i Wilnem. O ile założenie powyższe jest słuszne o tyle sposób, który ksiądz proponuje zastosować, by dojść do tego celu, musi budzić poważne zastrzeżenia. Tereny, które zwykliśmy określać „Kresami wschodnimi" stanowią zbyt skomplikowany problem pod względem etnograficznym, kulturalnym, geograficznym i politycznym, by można go rozwiązać w tak naiwnie uproszczony sposób jak to proponuje autor listu, nota bene całkowicie na naszą niekorzyść. W przeciwieństwie do różnych projektów rozwiązania tego zagadnienia, jakie pojawiały się na łamach „Kultury" (np. bardzo ciekawy projekt Łobodowskiego, proponujący polsko-ukraińskie condominium na niektórych terenach), tezy wysunięte w liście księdza Majewskiego nie mają na celu znalezienia jakiegoś kompromisowego rozwiązania, które w pewnej mierze zadowoliłoby oba od wieków osiadłe na tych terenach narody, lecz równa się po prostu „Unconditional surrender" polskich interesów i praw na rzecz naszych sąsiadów. Przy tym w liście niepotrzebnie znajdują się zdania prowokacyjne jak np. „Niech nad Lwowem powiewa sino-żółty sztandar", które muszą drażnić polskiego czytelnika i budzić wątpliwości, czy wielebnemu księdzu chodzi o pogodzenie obu sąsiadujących narodów, czy też wyłącznie o zaspokojenie maksymalnych apetytów Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Teza wreszcie, że „kresy wschodnie zostały przez Rosjan „oczyszczone" z Polaków i, że wobec tego po uwolnieniu ich polskie aspiracje do tych ziem muszą automatycznie upaść" też nie wytrzymują krytyki, gdyż przesiedlenia dokonane przez Rosjan po wojnie przeprowadzone zostały przede wszystkim pod kątem widzenia związania tych terenów jak najtrwalej z Rosją Sowiecką. Nowych kolonistów dobierano bardziej pod kątem widzenia ich komunistycznej prawowierności, niż przynależności etnicznej. Utrzymanie więc tego stanu oznaczało by włączenie do przyszłych państw narodowych względnie Unii Środkowo-Europejskiej elementów wrogich demokracji i w wielu wypadkach etnicznie obcych, które stanowiłyby stałe źródło fermentu i niepokoju.

Tyle o tezach listu, który doczekał się niezasłużonego zupełnie omówienia na łamach „Kultury".

Druga sprawa to reakcja jaką wywołał on u licznych czytelników, którzy nadesłali swoje odpowiedzi. Listy te w większości swojej są bardzo charakterystyczne dla polskiego podchodzenia do zagadnień narodowych. Dowodzą one również, że długoletni nasz pobyt wśród Anglików niewiele wpłynął na zmianę naszej mentalności.

Jeśli chodzi o natężenie uczuć patriotycznych to nie jest ono z pewnością mniejsze u Brytyjczyków niż u nas. Różnica polega jednak na tym, że podczas gdy angielski patriotyzm można by (bardzo ogólnie) określić jako silnie zakorzenione poczucie solidarności między wszystkimi członkami brytyjskiej społeczności i objawia się przede wszystkim w sprawach praktycznych — o tyle u nas przybrał on charakter religii. Z tego religijnego charakteru wynika, że nasz patriotyzm operuje dogmatami, które przyjmujemy niemal bezkrytycznie i biada temu, kto ośmieli się podać dogmat taki w wątpliwość. Takim dogmatem była w 1938 r. „słuszność naszych praw do Zaolzia" w czasie okupacji Polski przez Niemców : „Nieugięta postawa wobec okupanta" a obecnie „Nienaruszalność naszych kresów wschodnich i granicy na Odrze i Nysie". W średniowieczu heretyków paliło się na stosie — w polskim średniowieczu 20-go wieku każdego, kto ośmieli się podważyć jeden z przyjętych dogmatów obwołuje się zdrajcą sprawy narodowej i miesza się z błotem. Jest natomiast rzeczą charakterystyczną, że tam właśnie, gdzie angielski patriotyzm występuje najsilniej tj. na polu gospodarczym — polski często bardzo zawodzi. Z własnego terenu i doświadczenia stwierdzić mogę, że niejeden Polak, który ze łzami w oczach i drżeniem w głosie deklamuje o „bohaterstwie polskiego żołnierza" i „wspaniałej postawie Narodu Polskiego w czasie wojny", gdy staje wobec praktycznego zadania życiowego, najchętniej pomija polskie firmy i polskich fachowców i zwraca się do firm miejscowych.

Uczuciowość polska sprawia, że polityka, która powinna być rezultatem zimnej kalkulacji strat i zysków staje się w polskiej interpretacji serią czysto emocjonalnych odruchów, prowadząc nas w ciągu ostatnich 15 lat od katastrofy do katastrofy.

Obecna sytuacja światowa zdaje się powoli lecz nieuchronnie prowadzić do rozgrywki między Wschodem a Zachodem. W jej wyniku dojdzie do oswobodzenia Europy środkowej. Będzie to prawdopodobnie dla Polski i innych narodów Europy środkowej ostatnia w dziejach szansa odzyskania i utrwalenia ich niepodległego bytu, a także pełnego rozkwitu gospodarczego w oparciu o olbrzymie bogactwa naturalne tego obszaru. Czy wyciągniemy pełne korzyści z tej szansy zależeć będzie przede wszystkim od tego czy znowu damy się powodować naszym uczuciowym bodźcom i działać będziemy w myśl naszych przyjętych dogmatów, czy też postępowanie nasze będzie wynikiem ścisłego i rzeczowego rozumowania.

Sądząc, że historia ostatnich lat 15-tu musiała dostatecznie przekonać każdego, kto ma odrobinę poczucia rzeczywistości, że zarówno Polska jak i inne państwa Europy środkowej nie mogą ostać się jako niezależne jednoski, agresywnej potędze dwóch naszych sąsiadów od zachodu i wschodu, federacja zatem państw tych staje się warunkiem ich bytu. Na to, żeby federacja taka mogła dojść do skutku konieczne jest przyjazne porozumienie się tych narodów i zgodne wyrównanie 30-tu, jak powiadają, istniejących na tym obszarze sporów granicznych.

Jest wielką zasługą „Zespołu Kultury", że od kilku lat podjęła prawdziwie syzyfową pracę przygotowywania gruntu wśród emigracji środkowoeuropejskich pod przyszłą federację oraz urabiania mentalności tych narodów dla lepszego zrozumienia tego co ich łączy a przezwyciężenia tego, co ich dzieli.

Łączę wyrazy szacunku *S. GINWITT*

Szanowny Panie Redaktorze,

List ks. Majewskiego ogłoszony w nr 11/61 „Kultury" jest wydarzeniem przełomowym w dziedzinie, na którą lubimy się powoływać jako na przyświecającą nam dewizę, mianowicie : wolności słowa. Niestety dotychczasowa praktyka świadczy o jaskrawej sprzeczności z tą dewizą. Wprawdzie „wolność" skanduje się w dalszym ciągu na różne sposoby, odmienia we wszystkich przypadkach i oczywiście przeciwstawia metodzie niewoli słowa stosowanej przez bolszewików, w istocie jednak żadnej prawdziwej wolności słowa u nas nie ma. To co jest, to są dyskusje obracające się w ciasnych ramach, wytyczonych przez postulowany patriotyzm polityczny, zarówno z formy jak treści bardziej zbliżone do propagandy niż do niezależnej publicystyki. Istotne sprawy pozostają poza nawiasem dyskusji. Przytoczę dla przykładu :

Niedopuszczalne jest wygłoszenie poglądu, który by się zasadniczo różnił od postulatów uświęconych przez większość, w następujących sprawach : granice zachodnie; granice wschodnie; polityka episkopatu w kraju; polityka i działalność AK podczas wojny; sprawa aktualnego nie-oporu przeciw okupantowi sowieckiemu; przymusowe wysiedlenie milionów ludzi z tzw. „ziem odzyskanych"; praworządność rozbrojenia wojsk polskich na Zachodzie w latach 1945/46 itd. itd. W ten sposób istnieje faktyczny zakaz poruszania szeregu najistotniejszych spraw, które obchodzą cały naród. Dyscyplina polityczna rozciągnięta jest nie tylko na wystąpienia publiczne, jak tego mieliśmy dowód w reakcji na nieśmiałą broszurę śp. płk. Pstrokońskiego, ale nawet prywatne i drobne, jak tego dowiodła reakcja na gest prof. Studnickiego, który zgłosił się na świadka obrony w procesie gen. Mannsteina.

Wprawdzie mówi się w tych wypadkach nie o dyscyplinie politycznej, a o dyscyplinie patriotycznej, ale najszczerszy nawet patriotyzm nie może być zjawiskiem pozytywnym nigdy wtedy, gdy doprowadza do ograniczenia, a tym bardziej zakazu wolnego słowa. Poza tym dyscyplina tego rodzaju osiąga cel odwrotny od zamierzonego. Jeżeli zamiarem jej ma być wykazanie, że przytłaczająca większość narodu trwa przy pewnych postulatach, to fakt ten może być ujawniony wyłącznie na drodze wykazania znikomej mniejszości po przeciwnej stronie. Praktycznie w postaci wolnej dyskusji, ale nigdy w jej zakazie. Przynajmniej o ile chodzi o ustrój demokratyczny, którego rzekomo jesteśmy tak wielkimi entuzjastami. Tylko w ustrojach totalitarnych tzw. „jedność całego narodu" znajduje wyraz w ramach urzędowych postulatów, z którymi nikt nie ośmiela się dyskutować. Ale absolutna jednomyślność całego narodu, który ma aspiracje do wyższego szczebla rozwoju kulturalnego, jest rzeczą nierealną, nieprawdziwą, a przeto budzi zawsze podejrzenie czegoś sztucznego, narzuconego czy wymuszonego, a zatem pewnej niewiadomej, do której się nie ma zaufania. Tak na przykład nigdy nie moglibyśmy mieć konkretnego pojęcia o słabości ruchu komunistycznego, czy faszystowskiej grupy Mosley'a, gdyby zakazano im w Anglii ujawniać ich działalność i publikować swoje poglądy.

Nie po to usiłujemy ratować kontynuację tradycji narodu polskiego na emigracji przed miażdżącym ją psychicznie totalizmem bolszewickim w kraju, aby wytwarzać kontrtotalizm i namiastkę społecznej policji politycznej. Niestety, jesteśmy świadkami, że z braku pałek policyjnych i lokalów aresztanckich stosuje się sankcje tzw. „moralne", które właśnie moralnymi nie są : piętnowanie, wykluczanie, bojkot i jakże często — oszczerstwo.

Abstrahuję w tej chwili od sprawy jedności politycznej i politycznego działania. Mówię nie o działaniu, a o — wolności słowa. „Kultura" zamieściła list ks. Majewskiego w sprawie, która obchodzi wszystkich. Ks. Majewski nie dokonał żadnego politycznego czynu, on tylko po prostu —

wypowiedział swoje zdanie. Każdemu, kto się ze zdaniem ks. Majewskiego nie zgadza, wolno jest zwalczać go kontrargumentami, lub zlekceważyć; polemizować z nim albo nie polemizować. Natomiast reakcja ze strony pewnych sfer polskich na wypowiedziane przez ks. Majewskiego poglądy, przybrała w poszczególnych wypadkach takie formy, które jeszcze raz potwierdzają smutną rzeczywistość. Tę mianowicie, że większość Polaków wciąż nie może pojąć, iż prawdziwej kultury nie zdobywa się za pośrednictwem drylu i to nie tylko na podwórzu koszarowym, ale także nie na podwórkach otoczonych drutem politycznego regulaminu.

Ja osobiście z ks. Majewskim też się nie zgadzam, a w każdym razie zgłosiłbym tyle poprawek do jego koncepcji uregulowania sprawy Wilna i Lwowa, iż mogłoby się okazać, że stoimy na przeciwległych sobie biegunach. Poza tym samo operowanie terminem ,,Ziemie Odzyskane'', na który ks. Majewski kładzie tak duży nacisk moralny, budzi we mnie odruchowe zastrzeżenia.

Przyjmuję jednak do wiadomości, że absolutna większość Polaków jest innego zdania. Sądzę jednak, iż nie powinno to pozbawiać mnie prawa do wypowiedzenia swego, podobnie jak ks. Majewski ma prawo wypowiedzieć swoje zdanie. I wreszcie redakcja każdego pisma ma prawo wydrukować, albo nie wydrukować, to co się jej podoba, albo tego co się jej nie podoba. Dlatego nie mógłbym mieć żalu do redakcji ,,Kultury'', jeżeli nie zechce np. zamieścić niniejszego, mego listu. Natomiast absolutnie niezgodne z pojęciem kultury jest grożenie ks. Majewskiemu paragrafami kodeksu karnego tylko za to, że ośmielił się mieć inne zdanie niż wszyscy. A taki właśnie wypadek zaszedł.

Już kiedyś czytałem w jednym z pism polskich w Londynie zarzut, że ,,Kultura'' zamieszcza rzeczy, które ,,obrażają'' uczucia Polaka. — Otóż w tej sprawie chciałbym dorzucić jeszcze kilka uwag. Słyszałem definicję ,,człowieka kulturalnego'', która mi szczególnie przypadła do przekonania:

,,Kulturalny człowiek — według tej definicji — to jest taki, z którym można rozmawiać o wszystkim. To znaczy w każdej dziedzinie, którą zna, lub która go interesuje, lub w której w ogóle rozmawiać chce. Może nie chcieć, może go coś nudzić, albo nie interesować, ale kulturalny człowiek nigdy się na poruszony przez kogoś temat — nie obraża...''

Józef MACKIEWICZ



Listy, otrzymane od pp. T. Drobniaka i St. W. Szczepanowskiego, których z braku miejsca nie możemy wydrukować w bieżącym numerze — zamieścimy w następnym i na nich zamkniemy dyskusję, spowodowaną wypowiedzią J. Z. Majewskiego. Mimo namiętnego tonu i rozpiętości poglądów wykazała ona, że społeczeństwo rozumie wagę problemu polsko-ukraińskiego i konieczność jego pokojowego i racjonalnego rozwiązania.

Zamieściliśmy wszystkie listy — nawet najbardziej dla nas nieprzyjemne — z wyjątkiem anonimów i listów, w których poza demagogią i złą wolą nic nie mogliśmy znaleźć. Na szczęście tego rodzaju prób nadużycia wolnej trybuny jaką jest nasz dział ,,Listy do Redakcji'', było zaledwie parę.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Juliusz MIEROSZEWSKI examine, à propos du livre de James Burnham « Containment or Liberation », les grandes lignes de la politique américaine envers l'Europe Orientale. La conception de « libération » lui semble tout aussi négative que celle du « containment », la politique se définissant par ses buts et non pas par une intensité émotive. Les buts que le monde libre se propose d'atteindre en Europe Orientale sont bien peu précis. Burnham nous parle dans son livre de l'effet psychologique qu'aurait par exemple un détachement d'Ukrainiens libres combattants en Corée. Or, il faudrait encore, pour que cet effet soit profond, et peut-être même pour rendre ce combat possible, que les Ukrainiens sachent qu'ils combattent vraiment pour la liberté de leur peuple. Mieroszewski définit ainsi les grandes lignes que devrait prendre une politique américaine de libération :

1) Déclarations sans équivoque que les Etats-Unis n'admetteront jamais l'esclavage des peuples derrière le rideau de fer et ne reconnaîtront jamais la légalité de cet état de choses.

2) Déclaration que les Etats-Unis veulent établir un système ou des systèmes de sécurité collective à travers un contrôle international de l'énergie atomique.

3) Déclaration que les Etats-Unis demanderont au moment de leur choix l'évacuation des pays d'Europe Centrale et Orientale par l'Armée Rouge et précision que l'armement américain est poursuivi dans le but de prêter un poids suffisant à cette exigence.

« L'Amérique devrait conduire sa politique de libération en alliance avec les masses des nations lésées — conclut Mieroszewski. Ces nations sont des alliées naturelles des Etats-Unis et elles sont intéressées en premier lieu dans l'organisation d'un nouveau système international qui marquerait la fin d'un « légitimisme » des congrés de Vienne ou de Yalta, ou des millions d'hommes étaient livrés en esclavage a des tsars blancs ou rouges ».

« L'Amérique a besoin d'amis et d'alliés et non pas de fonctionnaires américains originaires d'Europe Orientale ».

K. A. JELENSKI analyse 30 poésies parues dans la presse polonaise en hommage à Staline après sa mort. Il rappelle au lecteur polonais que leur ton servile qui nous révolte n'est pas hélas une innovation des staliniens et que les « collaborateurs » d'aujourd'hui sont souvent les « conformistes » des régimes d'avant-guerre.

Le philosophe espagnol exilé José FERRATER MORA, professeur à l'université américaine de Bryn Mawr consacre son article intitulé « Deux Excellents Ouvrages » aux livres de deux logiciens polonais en exil : J. Lukasiewicz, professeur de l'Académie Royale Irlandaise (« Aristotle's Syllogistic from the Standpoint of Modern Formal Logic », Oxford, Clarendon Press, 1951) et le Père I.M. Bochenski, O.P., professeur à l'Université de Fribourg (« Ancient Formal Logic », North Holland Publishing Company, Amsterdam, 1951).

Dans « Vérité ou Convention » Jan ULATOWSKI présente l'art moderne en tant qu'interprète de notre réalité contemporaine comme elle nous est révélée par la science.

« L'Américain rentre-t-il chez lui ? Alexandre HERTZ nous dit que tandis que l'automobile en faisait un nomade, la télévision le retient dans son foyer. Quelles seront les conséquences de cette révolution du mode de vie américain ? Hertz en examine les éléments, mais estime une réponse prématurée.

Le célèbre procès du Père Grandier n'inspira pas seulement le roman d'Aldous Huxley « Les Diables de Loudun », mais aussi une nouvelle de Jaroslaw Iwaszkiewicz, « Mère Jeanne des Anges », publiée à Varsovie en 1946. Czeslaw MILOSZ compare ces deux livres, et nous parle du procès de Loudun.

Wlodzimierz BACZKOWSKI donne un commentaire sceptique à la récente « offensive de paix ».

Le présent numéro présente dans la section « La plus récente histoire de Pologne » un protocole inédit d'un conseil de ministres de 1930, signé par Pilsudski.

On parle de politique et de la vie des émigrés dans les chroniques : ukrainienne, allemande, anglaise, brésilienne et australienne.

La chronique des arts et des lettres contient une lettre d'Edouard RODITI sur les écrivains d'Allemagne Orientale; des critiques de films et d'expositions; un compte-rendu de la récente attribution du « Prix Européen » à Czeslaw Milosz et à Werner Warsinsky; des revues de livres récents polonais et étrangers.

Do prenumeratorów „Kultury"

Przypominamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji w międzynarodowych kuponach pocztowych lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego „Kultura" jest prenumerowana — w znaczkach pocztowych.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis en l'Ile, Paris (IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 2e trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — **JERZY GIEDROYC**

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Walery Bader,** Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; **Julia Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-IVe	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Stan. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; **H. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève. Tel. 2-23-58.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 9/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, «Gryf Publ.»,** 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Cretowicz,** 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 3856 E. Stiles St Philadelphia 37, Pa.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/71, Battersea Church Road, London, S.W.11 ..	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

IMPRIMERIE RICHARD, Paris-18e

Cena 150 frs